

STAJNIA W PIENKACH



TOM I

IZABELLA FRĄCZYK

Koncert

cudzych życzeń

Prószyński i S-ka



STAJNIA W PIEŃKACH



TOM I

IZABELLA FRĄCZYK

Koncert
cudzych życzeń

Prószyński i S-ka

Rozdział 1

Magda energicznie strzepnęła przemoczony trencz i udała, że nie widzi kropli wody na podłodze. Normalnie chwyciłaby za szmatę lub mopa, ale dziś miała to w nosie. W końcu to nie moje mieszkanie i nie moja podłoga, wzruszyła ramionami. Wymamrotała coś pod nosem i nastawiła wodę na herbatę. Do powrotu reszty domowników pozostały jeszcze trzy godziny.

Odkąd przestała pracować, każdy dzień dłużył się niemiłosiernie. Przyzwyczajona do zawodowego rozgardiaszu, nie potrafiła znaleźć sobie miejsca. W związku z restrukturyzacją firmy, w której miała etat od pięciu lat, w ramach oszczędności obcięto zatrudnienie. Również i jej stanowisko trafiło pod topór. Jako szefowa działu kadr zdobyła wprawdzie niemałe doświadczenie, ale w niczym jej to nie pomogło. Centralizacja zakładała przeniesienie komórki zasobów ludzkich do warszawskiej centrali, więc Magda zainkasowała półroczną odprawę i pozwoliła się zwolnić za porozumieniem stron. Doceniono ją jako fachowca i przedstawiono propozycję przeniesienia do stolicy, co przez chwilę brała nawet pod uwagę – mąż, z wykształcenia farmaceuta pracujący jako kierownik apteki, z pewnością znalazłby zajęcie i tam. Ale zanim zdążyli poważnie zastanowić się nad tematem, do akcji wkroczyła Leontyna, teściowa Magdy.

– Absolutnie odrzucam taką ewentualność! – zachnęła się, wzorem zubożalej arystokratki. – Mój Tomuś miałby się tułać po świecie za robotą? Przecież tutaj ma wszystko! To znaczy, prawie wszystko – poprawiła się szybko, z naciskiem na ostatnie dwa słowa.

– Ale... – Magda spróbowała wtrącić coś na temat rozwoju zawodowego, jednak teściowa nie dopuściła jej do głosu.

– Miejsce syna jest przy starej matce! – oznajmiła twardo. – Chyba wiesz, że po bajpasach nie czuję się już tak dobrze jak kiedyś? W każdej chwili mogę umrzeć. A umrzeć, nie doczekawszy wnucząt, to prawdziwa hańba dla każdej szanującej się potencjalnej babci!

O Boże, znowu się zaczyna!, westchnęła Magda w duchu. Nie miała już siły tłumaczyć, że w jej życiu istnieją rzeczy ważniejsze od powiększenia rodziny. Ledwie skończyła dwadzieścia dziewięć lat i na razie nie zauważała u siebie wyraźnych macierzyńskich ciągót. Nie zaglądała innym matkom do wózków, nie interesowały jej pasjonujące opowieści o kupkach, a na zaślinione ząbkujące maluchy patrzyła z niechęcią. Jej dzieciacie koleżanki wcale nie wyglądały jak szczęśliwe mamuski z telewizyjnych reklam płatków śniadaniowych, a ich opowieści o porodzie, położu, nieprzespanych nocach i bolących kręgosłupach wcale nie zachęcały do zmiany poglądów. Choć dziecko, jako takie, znajdowało się w planach Magdy. Może nie w najbliższych, ale jednak. Nie, nie była jakąś wynaturzoną karykaturą kobiety, która nie chce potomstwa. Bynajmniej. Pragnęła go, ale jeszcze nie teraz. Kiedyś. Wielokrotnie rozmawiała na ten temat z mężem i była przekonana, że są w tej kwestii zgodni. Najpierw chcieli się usamodzielnąć i odłożyć w banku trochę oszczędności. Ponieważ dla Magdy istotny był również rozwój zawodowy, uznała, że zdobędzie szczyty, dopóki jeszcze jej się chce i dopóki ktokolwiek ma chęć w nią zainwestować. Tomek, zajęty swoją pracą, nie widział problemu, dopóki do akcji nie wkraczała kochana mamusia.

Pani Leontyna przez dziesięciolecia prowadziła sklep obuwniczy w centrum Gdańska. Jako jedyna potomkini rodziny słynnych trójmiejskich szewców siłą rzeczy przejęła obuwniczą schedę, choć nie miała

zielonego pojęcia o fachu. Ale też nikt od niej takiej wiedzy nie wymagał – czasy się zmieniły, rzemiosło przestało być w cenie i trzeba było nieco zmienić profil działalności. Z biegiem lat zatem zakład szewski zmienił się w sklep jakich wiele, jednak jego właścicielka nie miała drygu nawet do handlu. Aspirując do grona urodzonych wysoko, oczywiście we własnym mniemaniu, twierdziła, że takie zajęcie nie przystoi damie, jest dobre dla Żydów i przekupek. Nic dziwnego, że pozbawiony dozoru biznes zaczął kuleć i tylko przypadek sprawił, że pani Leontyna nie doprowadziła go do bankructwa. Dosłownie w ostatniej chwili przebrnęła się i zrezygnowała z obuwia na rzecz dewocjonaliów. Budowa licznie odwiedzanego przez pielgrzymów sanktuarium sprawiła, że w okolicy zaroilo się od chętnych na różańce i obrazki z podobiznami świętych. Nowy profil okazał się strzałem w dziesiątkę. Wprawdzie zmiana kosztowała bizneswoman mieszkanie, ale od czego są dzieci? Czteropokojowy apartament na przedmieściach Sopotu podarowała kiedyś synowi i jego żonie w prezencie ślubnym, ale ten drobiazg nie stanowił przeszkody, by wprowadzić się do młodych w chwili kryzysu. Mamusia przypomniawszy sobie, że formalnie nie przeniosła prawa własności, i po godzinnej naradzie decyzja zapadła. Magda była tym faktem nieco zbulwersowana, ponieważ pozostawała w przekonaniu, że mieszka u siebie, ale na teściową z pakunkami nie było mocnych. Na domiar złego Leontyna zabrała od siebie kosztowne pseudorustykalne meble z Kalwarii Zebrzydowskiej, meblując nimi, ku zgrozie synowej, wolny pokój czekający na przyszłego potomka. Zadysponowała po prostu, co gdzie ma stać, i umościła się w przepaścistym fotelu. Dosłownie w ostatniej chwili Tomkowi udało się przekonać matkę, że jej zabytkowe siedzisko nijak nie pasuje do wystroju salonu, w dodatku ulokowane na samym jego środku, tuż przed telewizorem. Pani Leontyna niechętnie zgodziła się wynieść rupieć do siebie, pod warunkiem że otrzyma własny odbiornik.

– Gdzie telewizor? – zdziwiła się Magda wieczorem w sypialni.

– Oddałem mamie. – Tomasz wzruszył ramionami

– Jak to: oddałeś? Dałeś jej mój telewizor? – Magda popatrzyła na męża ze zdumieniem. – Jeśli zapomniałeś, przypominam, że dostałam go od ciebie na gwiazdkę. A teraz tak po prostu oddałeś go mamie?

– Kochanie, tylko pożyczyłem. Na jakiś czas.

– Na jaki?

– Na czas jej pobytu tutaj. Uznałem, że chyba lepiej będzie, jak oddam jej ten mniejszy telewizor z sypialni, niż na okrągło mieć ją w salonie. Razem z tym jej zabytkowym tronem.

– To ona nie może oglądać telewizji z kanapy?

– Nie może. Bo kanapa podobno źle jej robi na kręgosłup czy na coś tam. No, nie gniewaj się, przecież chciałem dobrze. Poza tym takie rozwiązanie uchroni nas przed nieustannym oglądaniem transmisji z Watykanu.

– Tym mnie przekonałeś – mruknęła Magda i z uśmiechem zarzuciła mężowi ręce na szyję. – Jak dzisiaj w aptece?

– Marnie. Cały dzień łało jak z cebra. Ale to dobry znak, ludzie się poprzeciębiają. A nawet jeśli nie, to wmówi im to telewizja. Zobaczysz, gdy tylko przestanie łać, ustawi się kolejka.

Udobruchana Magda przysiadła na chwilę przed komputerem.

Jako że ostatnimi czasy polubiła oglądanie filmów przed zaśnięciem, postanowiła poszukać czegoś ciekawego w sieci. Znalazła ulubioną sensację, a przy okazji sprawdziła skrzynkę mejlową w nadziei, że być może pojawiła się w niej jakaś oferta nowej pracy. Ponieważ nic nie było, zniechęcona poszła do kuchni, żeby coś zjeść, i przekonała się, że jej ulubiona polędwica łososiowa została pożarta. Magda musiała zadowolić się kanapką z dżemem truskawkowym.

Dżem smakował, hm, osobliwie, ale nic dziwnego, skoro zamiast owoców zawierał całe mnóstwo przestodzonej galaretki. Odkąd teściowa zaczęła robić zakupy, pomyślała Magda, w naszym domu

pojawiają się przedziwne wynalazki. Ostatnio Tomasz zdziwiła nawet nieco szynka wieprzowa, składająca się z zaledwie kilkunastu procent mięsa, a tłumaczenia mamusi, że była promocja, nie zdały się na wiele.

Początkowo synowa nie protestowała, mając nadzieję, że to tylko stan przejściowy. Ba, była zadowolona, bo odpadło jej regularne gotowanie. Choć, nawiasem mówiąc, lubiła kuchenne eksperymenty – w jednym miesiącu z kuchnią francuską, w innym z azjatycką – tyle że Tomasz, przyzwyczajony do polskiej tradycji, nieraz po kryjomu załapywał się na obiad u rodzicielki. Nawet przez myśl mu nie przechodziło, żeby mówić o tym żonie. Nie miał zamiaru sprawiać jej przykrości, ale powrót do maminych dań przyjął z pewną ulgą, bo chilli i zioła prowansalskie już dawno wyszły mu bokiem.

Ponieważ Tomek w aptece nie zarabiał kokosów, choć na zwykłe wydatki starczało, Magda machnęła ręką na kuchnie świata i zaczęła rozglądać się za pracą. Miała nadzieję, że stan wymuszonego lenistwa nie potrwa długo, ale rzeczywistość nie okazała się łaskawa. Tomasz w pewnej chwili zaproponował nawet, by pomogła jego mamie w sklepie, co wywołało niekłamana radość pani Leontyny, która już zacierała ręce na okoliczność darmowej pomocnicy. Tymczasem jednak poznała nowe kumoszki, parafialne aktywistki. Jako właścicielka interesu z dewocjonaliami została wiceszefową kółka różańcowego i zanim się obejrzała, musiała obiecać posadę ekspedientki córce odwiecznej przyjaciółki.

Magda finalnie odetchnęła z ulgą i zajęła się własnymi sprawami.

Pierwsze miesiące wspólnego pomieszkiwania mijały bezboleśnie, dopóki nie okazało się, że docelowo teściowa wcale nie ma zamiaru się wyprowadzać. Impas tłumaczyła brakiem funduszy na nowe lokum. Za jej przykładem sklepy z podobnym asortymentem wyrosły w okolicy niczym grzyby po deszczu i obroty interesu spadły znacząco.

– Czy ona już na zawsze pozostanie z nami? – pytała Magda przed zaśnięciem.

– A przeszkadza ci? – Tomek mocno objął żonę ramieniem.

– Dopóki pracowałam, nie przeszkadzało mi wcale.

– A teraz?

– Całymi dniami siedzisz w aptece, więc nie masz pojęcia, co tutaj się ostatnio wyrabia. Te jej koleżanki z kościoła to jakieś wariatki!

– Coś się stało? – zaniepokoił się Tomasz.

– Niedawno zauważyłam, że codziennie w samo południe mama organizuje dla nich *Anioł Pański*. Nie żebym miała cokolwiek przeciwko wspólnej modlitwie, ale to samo powtarza się o osiemnastej. A ostatnio wpadło mi w ucho, że planują coś o dwudziestej pierwszej.

– Jakież kolejne modlitwy? – domyślił się Tomek.

– Zgadza się. Sprawdziłam w internecie.

– Co tym razem?

– *Apel Jasnogórski*. Tomek, to mi zaczyna załatywać fanatyzmem. Na okrągło leci Radio Maryja, matka w pokoju zbudowała ołtarzyk z Matką Boską Ostrobramską, w ogóle nie interesuje się biznesem i na okrągło mi truje o wnuczku. A jak ja mam myśleć o wnuczku, skoro zajęła jego pokój? – wyrzuciła z siebie Magda na jednym oddechu.

Tomek westchnął głęboko i palcami przecesał zmierzwioną blond czuprynę. Od jakiegoś czasu przestał strzyc się na jeża; nieco dłuższe włosy dodawały mu chłopięcego uroku. Zwłaszcza w połączeniu z piwnymi oczami i naturalnie oliwkową karnacją, co stanowiło całkiem atrakcyjne połączenie. Siedzący w czterech ścianach farmaceuta zazwyczaj bywa biały jak syn młynarza, ale Tomek nie zaliczał się do bladych twarzy. Wiosną wystarczał mu krótki spacer na słońcu.

Magda, podobnie jak mąż, również mogła poszczycić się naturalnym blondem, ale do karnacji nie miała

już tyle szczęścia. Chcąc zyskać choćby odrobinę apetycznej i zdrowej opalenizny, musiała odsiedzieć swoje na leżaku, choć nigdy nie przepadała za opalaniem. Solarium, o którym nasłuchiwała się wiele złego, nie wchodziło w grę, a użycie samoopalacza zawsze kończyło się nierównymi, ciemnymi plackami na skórze.

Gdy szli razem ulicą, zdarzało się, że brano ich za rodzeństwo. Ona, przy swoich stu siedemdziesięciu centymetrach, w szpilkach, niemal dorównywała mężowi. Kiedyś, jako najwyższej w klasie, wzrost nieraz przysparzał jej zmartwień. Oliwy do ognia dołał jeszcze przydomek „Żyrafa” i Magda zaczęła się garbić. Musiało upłynąć ładnych parę lat, zanim dotarło do niej, że ukrywa przed światem wszystko, co ma najlepsze – nie za duży, ale kształtny biust zdecydowanie lepiej prezentował się przy wyprostowanej sylwetce. Magda miała niezłą figurę, może trochę zbyt wąskie biodra, za to długie nogi i piękne smukłe palce pianistki. Koleżanki miały szczerą ochotę zamordować ją, gdy narzekała. One walczyły z nadwagą, biegały po nocach, uprawiając jogging, wyciskały z siebie ostatnie poty na siłowni, byle tylko zbliżyć się do proporcji malkontentki. Aż wreszcie Magda dała się przekonać, że wąskie biodra da się zamaskować szerszym krojem spódnicy czy spodni, i podziękowała Bogu, że nie ma odwrotnego problemu.

– Moja droga, na takie chude biodra jak twoje najlepsze jest dziecko – perorowała mimo to teściowa. – Po porodzie od razu zrobisz się szersza – nie ustawała w czynieniu aluzji w kwestii wnuka.

Magda rozumiała jej tęsknoty, więc tylko kiwała głową, ale pewnego dnia nie wytrzymała.

– Czy ty na serio chcesz mieć już dziecko? – zapytała Tomasza. – Ale tak szczerze?

– Cóż, nie pogniewałbym się. Wszyscy moi kumple od dawna są już dzieciaki.

– Bo w większości wpadli nie z tymi kobietami, co trzeba. Nie zapominaj, że przynajmniej połowa z nich jest już po rozwodach.

– Kto wie, czy nie lepiej czasem wpaść? Popatrz choćby na twoją siostrę. Jak znam Sylwię, gdyby natura nie zdecydowała za nią, ona sama nie podjęłaby decyzji jeszcze długo. Przy jej nadczynności tarczycy to nie byłoby łatwe.

– Wiem, wiem. – Magda potaknęła ruchem głowy, choć wiedziała doskonale, że problem nie tkwił wyłącznie w tarczycy. Sylwia od małego zarzekała się, że nie będzie mieć dzieci. Po prostu ich nie lubiła i uważała, że nie nadaje się na matkę.

Była starsza od Magdy o dwa lata. Wraz z mężem stanowili szczęśliwe stadło – ona zapracowana bizneswoman z regularną pięciocyfrową pensją, Adam zdolny programista gier on-line. Nigdy nie narzekali na brak pieniędzy. Bez reszty pochłonięci zawodowymi sprawami nie mieli ani czasu, ani ochoty na powiększenie rodziny. Sylwia zorientowała się, że jest w ciąży, dość późno, więc o aborcji, którą rozważała całkiem poważnie, nie mogło być mowy. Ale od początku dla wszystkich było oczywiste, że z jej odmiennego stanu nie wyniknie nic dobrego. I tak też się stało. Sylwia fatalnie znosiła ciążę, a sam poród okazał się wyjątkowo ciężki. Do tego przyplątała się depresja poporodowa. Zła na dodatkowe kilogramy i nabrzmiałe piersi, świeżo upieczona matka z punktu zrezygnowała z karmienia, a równie świeżo upieczony ojciec, pragnąc jak najszybciej powrócić do wirtualnego świata, od pierwszego dnia zafundował synkowi profesjonalną opiekunkę, prosto z renomowanej agencji. W krótkim czasie oboje scedowali na nianię obowiązki związane z potomkiem, zatem pozbawiony rodzicielskiej czułości Antoś prezentował się jako egzemplarz najbardziej niezdolny z niezdolnych, co było źródłem nieustannych komplikacji. W efekcie po paru latach wylądował w szkole z internatem.

– Cóż, mimo wszystko moja siostra nie jest wzorem matki. Może to u nas rodzinne? – Magda zerknęła na męża z ukosa. – Ale pomyślę o dziecku. – Uśmiechnęła się przymilnie.

– Przecież ja nie nalegam.

– Wiem. Ale jednak kiedyś trzeba się zdecydować. Choć tymczasem siedzi nam na głowie twoja matka. Zajął dziecięcy pokój.

– Och, nie przesadzaj. Dziecko nie musi mieć od razu swojego pokoju, a poza tym mama mogłaby nam pomóc. Przynajmniej na początku. Ale decyzję pozostawiam tobie – zastrzegł się Tomek. – W końcu to ty masz chodzić w ciąży, rzygać co rano i urodzić. – Czułe odgarnął z czoła żony jasną grzywkę. – Choć jeśli o mnie chodzi, mogę zacząć starania już teraz.

Pocałunek, z początku nijaki, przerodził się w bardziej namiętny, a dłonie Magdy zawędrowały pod koszulę męża.

Uwielbiała to ciało – smukłe, sprężyste i apetyczne. Już sam jego widok podniecał ją wystarczająco, by od razu chciała wylądować z nim w łóżku. Teraz przedłużające się zetknięcie warg odebrało jej zdolność trzeźwego myślenia. Magda zapomniała o bożym świecie, przysiadła na kuchennym blacie, opłotła męża nogami i właśnie zaczęła dobierać się do guzików przy jego spodniach, gdy wparowała teściowa. Zgorszona, przystanąła.

– Och! – Niemal krzyknęła, po czym przesłoniła dłonią usta i wybiegła.

– Myślisz, że poszła się pomodlić w intencji naszych bezceństw? – zapytał Tomek i pomógł żonie zeskoczyć na ziemię.

– A niby co ona sobie wyobraża? Że w ciążę zachodzi się przez modlitwę i niepokalane poczęcie? – obruszyła się Magda, zła, że im przeszkadzono.

Podniecenie, jakiego nie czuła od dawna, w jednej sekundzie prysło jak bańka mydlana.

– Chodź. Idziemy do siebie – zaproponował Tomek cichutko.

– Nie, zostaję tutaj. Jakoś mi się odechciało. – Magda uśmiechnęła się smutno, obciągając podkoszulek.

– Jak sobie chcesz – mruknął niezadowolony.

Magda ponownie zajrzała do lodówki, ale zrezygnowała – było już późno, a ona nie lubiła najadać się przed snem. Wyjęła z szafki wafle ryżowe do pochrupania. Zwinęła się na fotelu w salonie i otulona puszystym pledem przeleciała pilotem po kanałach w poszukiwaniu czegoś sensownego, ale wszędzie albo trwały niekończące się reklamy preparatów na regenerację wątroby i wzrost potencji, albo reality show, albo właśnie kończył się film. Zniechęcona wyłączyła telewizor i odruchowo pogłaskała się po płaskim brzuchu.

Wyobraźnia podsunęła jej widok małego człowieczka, któremu mogłaby dać życie. Zdziwiałające, ale ten obrazek wcale nie był niemiły. Prawdę mówiąc, Magda nie miała pojęcia, skąd wzięły się jej obawy. Może podświadomie potraktowałam jako przestrożę przykład własnej siostry?, pomyślała. Ale przecież nas obie wychowywano całkiem normalnie.

Mama nie szczędziła obu córkom czułości, a dopóki nie odszedł ojciec, ich szczęśliwa rodzina była pod każdym względem jak inne. Rodzice pracowali, dziewczynki chodziły do szkoły. Co roku obowiązkowo spędzane razem zimowe ferie, obowiązkowo w górach, bo cała czwórka zgodnie dzieliła narciarską pasję. Odkąd ojciec awansował i sytuacja finansowa rodziny poprawiła się znacząco, zaczęły się wyjazdy za granicę, co roku do coraz to innego narciarskiego kurortu. Niestety, urlopy rodziców nie były z gumy, zatem letnie wakacje dziewczynki spędzały na wsi. Na ten czas Magda zawsze czekała z utęsknieniem, bo babcia, mama taty, zarządzała stadniną należącą do pewnego zdziwaczałego arystokraty, któremu czas zatrzymał się mniej więcej przed drugą wojną światową. Początkowo babcia Fela zajmowała się wyłącznie kuchnią i prowadzeniem domu, ale z czasem zajęła się całym, mocno okrojonym przez komunistów, majątkiem. Hrabia, widząc, że obrotna kobieta świetnie sobie radzi, scedował na nią niemal wszystkie obowiązki. Sam polował, planował zawody hippiczne i odwiedzał dalekich krewnych we Francji.

Magda uwielbiała posiadłość, choć kostyczny staruch napawał ją szczerym strachem.

– Nie przejmuj się, moje dziecko – mawiała babcia. – To tylko stary sklerotyk. Wcale nie jest taki zły.

– Ale babciu, on tak groźnie na mnie łypie!

– A kto by się tam go bał? Takiego zaszuszonego dziada? – Babcia jedną ręką przytulała wnuczkę, drugą mieszając w garnku bulgoczącym na staromodnej węglowej kuchni.

To właśnie w majątku Magda pokochała konie i wszystko, co z nimi związane. W przeciwieństwie do siostry, która panicznie bała się tych zwierząt, mogła nie wychodzić ze stajni. Szczytem jej marzeń w tamtym czasie było czyszczenie końskiej sierści i wygarnianie ściółki z boksów. Po raz pierwszy, pod okiem instruktorki, pojechała konno w teren już jako dziesięciolatka.

Zofia, kobieta już niemłoda, za to pasjonatka hippiki, najchętniej zamieszkałaby ze swoimi podopiecznymi. Przez całe życie chodziła w oficerkach i bryczesach, uwielbiała konie i znała się na nich jak nikt. Była zdeklarowaną starą panną, choć po okolicy krążyły plotki o jej niegdysiejszym romansie z hrabią, w czasach kiedy ten był sporo młodszy i wiedział jeszcze, na jakim świecie żyje. Za młodu Zofia niewątpliwie musiała być kobietą piękną.

Powrót z pierwszej pamiętnej przejażdżki nastąpił w porze obiadowej.

Magda wracała zmęczona, ale i przepelniona dumą z własnego wyczynu, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie pochwali się Sylwii i babci, że nawet galopowała po polnej drodze. Że stara kobyła szła jak po sznurku, że wszystko było cudowne i...

Widok karetki pogotowia nie pozostawił złudzeń. Stało się coś złego. Magda pomyślała, że to coś z babcią Felą, ale okazało się, że to Sylwia dostała ataku astmy. Gdyby nie szybka interwencja lekarza, udusiłaby się niechybnie. Zanim stajenny wytłumaczył Magdzie, co zaszło, młodsza siostra niemal umarła ze strachu.

– Biedna Sylwia! I co teraz? – zapytała.

– Nic, moje dziecko – odparł stajenny. – Najpierw wyczyścimy konie. Potem Zofia pomoże nam z obiadem. Coś przecież trzeba zjeść, prawda?

Mimo zdenerwowania starał się mówić spokojnie.

– Dobrze – wyszeptła Magda i posłusznie powędrowała do stajni, rozczarowana, że nie dane jej było się pochwalić.

To było ostatnie wspólne lato obu sióstr.

W szpitalu zdiagnozowano u Sylwii alergię na końską sierść, co wykluczało jej dalsze pobyty w stadninie. Podczas następnych wakacji rodzice wysłali ją na obóz językowy, a Magda spędziła lato u babci Feli sama.

Doskwierał jej trochę brak rówieśników, za to szybko znalazła wspólny język z siedem lat starszym od siebie Staszkiem, który wkrótce stał się obiektem jej westchnień. Chłopak, niestety, nie odwzajemniał uczucia, ale obecność płaczącego się za nim dziewczęcia znosił cierpliwie. On także przepadał za końmi, więc pomimo różnicy wieku wspólnych zajęć i tematów do rozmów obojgu nie brakowało. Każdego wieczoru siadywali na zadaszanej werandzie i popijając domowej roboty kwas chlebowy, do upadłego grali w makao. Magda uwielbiała te wspólne chwile, zwłaszcza gdy Staszek mówił o koniach. Wpatrzona w niego jak w obraz, z otwartymi ustami słuchała jego opowieści. Ciemne oczy chłopaka po zmroku stawały się czarne prawie jak węgiel...

Nie był młodzieńcem szczególnie urodziwym, ale jego włoski typ urody niewątpliwie przykuwał uwagę rówieśnic; z tłumu, nie licząc oczu, wyróżniały go kruczoczarne kręcone włosy. Pochłonięty wakacyjną pracą w stajni i korespondowaniem ze szkolną sympatią, kompletnie nie zdawał sobie sprawy z wrażenia, jakie wywiera na małej wnuczce Felicji.

Tamtego lata Magda wróciła z wakacji szczęśliwie zamroczona platoniczną miłością. Pełna energii właśnie startowała w nadchodzący rok szkolny, gdy w domu wybuchła bomba stulecia – w ostatni sierpniowy wieczór matka zaprosiła obie córki do jadalni i oznajmiła im, że tego dnia ich ojciec nie wrócił do domu. I że, prawdę mówiąc, nie wróci już nigdy. Otóż spotkał inną kobietę i pokochał ją tak

bardzo, że zdecydował się zostawić dla niej rodzinę.

W ciągu godziny runął świat. Sylwia, introwertyczna od zawsze, wycofała się jeszcze bardziej i zakopała w książkach, a Magda w skrytości lizała rany. Jako jedenastolatka nijak nie potrafiła pojąć, na czym polegają dorosłe sprawy, i nękała starszą siostrę pytaniami.

– Co zrobiliśmy źle, że tata już nas nie chce?

Bo ich nie chciał. I zachował się jak tchórz. Nie stać go było nawet na szczerą rozmowę i choćby garść wyjaśnień. Po prostu pewnego dnia zniknął z życia córek i rozpoczął swoje gdzie indziej – w innym mieszkaniu, z inną kobietą i jej kilkuletnim synem. Nawet się nie pożegnał.

Mama była dzielna, choć mówiąc o rozwodzie, z trudem tłumiła płacz. Za nic nie chciała dać poznać córkom, jak bardzo skrzywdził ją mąż. Co prawda od jakiegoś czasu podejrzewała, że coś jest na rzeczy, lecz nie przypuszczała, że sprawy zaszły aż tak daleko. Gdy zapytała, mąż nawet nie próbował kłamać, tylko od razu przyznał się do wszystkiego. Negocjacje „dla dobra dzieci” odrzucił w przedbiegach. Po prostu dokonał wyboru: zrzekł się swojej części wspólnego majątku i zadeklarował, że będzie płacił alimenty. Nie chciał niczego oprócz wolności. I dostał ją, w pakiecie z ograniczonym kontaktem z córkami. Tym razem matka była konsekwentna – z dziewczynkami miał się spotkać jedynie wtedy, gdy one wyrażą chęć. Znała je i wiedziała, że nie zechcą.

Ojciec nie próbował walczyć.

Sylwia, która od zawsze potrafiła odciąć się od świata bezpieczną barierą, uciekła w naukę. Magda nieraz zazdrościła siostrze tej umiejętności. Ona nie umiała opancerzyć się na tyle, by przestać czuć, choć rozpaczliwie potrzebowała dystansu. Bezbronną i ufna, cała sytuacja ugodziła boleśnie – nastolatka dowiedziała się, że na świecie nie jest ani różowo, ani czarno-biało, jak się jej wydawało dotychczas. Kochała tatę i nie przypuszczała, że on zada jej tak potężny cios. Ten sam kochany tatuś, który przez całe życie dawał jej poczucie bezpieczeństwa, teraz odebrał je w jednej chwili! Wybrał nową, lepszą rodzinę, choć ani jego córki, ani żona nie miały na sumieniu niczego złego!

Młodziutka, kompletnie niedoświadczona dziewczynka walczyła dzielnie, lecz pod naporem złych emocji musiała się ugiąć. Kłopoty w szkole zaczęły się już po kilku miesiącach. Z jednej strony Magda bardzo kochała mamę, więc nie chciała przysparzać jej zmartwień, z drugiej tak bardzo chciała być dla kogoś ważna i przez kogoś kochana, że zapomniała, po co uczęszcza do placówki edukacyjnej. Na wieść, że minione wakacje u babci w stadninie były ostatnimi, zareagowała młodzieńczym buntem. Nie dość, że nie chciał mnie tata, to jeszcze i babcia Fela? Ta sama, która piekła drożdżowe bułeczki z kruszonką, opatrywała pozdzierane kolana i tuliła do snu, zapewniając, że wieczorne pohukiwanie sowy to nic strasznego i zwiastuje spokojny sen? Ta babcia? Jej babcia?

Tego już było zbyt wiele.

Rozdział 2

Smętne zimowe dni wlokły się zdecydowanie zbyt powoli.

Magda nie znosiła ciągłego wieczoru za oknem. Jak kania dżdżu łaknęła ciepła i słońca. Energia opuściła ją zupełnie. Owszem, wytrwale szukała pracy i rozsyłała oferty, ale bezskutecznie. Jeszcze niedawno, od czasu do czasu, odzywał się ktoś względnie zainteresowany, lecz od dwóch tygodni telefon milczał jak zaklęty.

Z nudów zapisała się na zajęcia jogi i pilates. Przynajmniej trochę się poruszam i dostarczę organizmowi hormonów szczęścia, stwierdziła. Z lubością chłonęła atmosferę ćwiczeń i babski gwar w szatni, ale dopiero po dwóch tygodniach, gdy biegiem pędziła na trening, zdała sobie sprawę, jak bardzo pragnęła towarzystwa.

Od zawsze była rzutka i energiczna, w szkole otoczona gronem koleżanek i kolegów, a teraz wokół niej powstała pustka. Całe jej towarzystwo pożeniło się, większość rozmnożyła i wyjechała za granicę, rozluźniły się kontakty. Z dzieciami przyjaciółkami nie za bardzo było o czym rozmawiać, a współpracownicy jakby zapomnieli, że Magda jeszcze niedawno należała do ich grona. Raz czy dwa odwiedziła byłą firmę, z nadzieją na kawę i nowe ploteczki, którymi żyło środowisko, i choć za pierwszym razem było niemal jak kiedyś, przy kolejnej wizycie dano jej jasno do zrozumienia, że w nowym układzie jej obecność jest zbędna. Bo niby w jakim charakterze? Wprawdzie jedna z dziewczyn z jej byłego działu próbowała zorganizować jakiś wypad na piwo, ale nie wypalił. To znaczy wypalił, ale bez Magdy. W pubie, pod który podjechała wieczorem gnana kobiecą intuicją, choć wcześniej odebrała telefon, że imprezę odwołano, prawda dotarła do niej z całą oczywistością – zwyczajnie była w tym babskim gronie persona non grata. Należało się pogodzić z tym faktem, tyle że przejście nad nim do porządku dziennego nie było łatwe.

Po treningu zziębnięta wróciła do domu, gdzie już w przedpokoju powitał ją intensywny zapach bigosu. Z przyjemnością wciągnęła go w nozdrza.

– O, już jesteś! – zaszcebiotała teściowa i wyłączyła palnik.

– Witaj, mamó. Pięknie pachnie. Na pewno wszyscy sąsiedzi już wiedzą, co mamy na obiad. – Puściła oko.

Włożyła kapcie i poszła do salonu.

W progu odebrało jej mowę. Miała wrażenie, że pomyliła pokoje. Gdzie, do licha, znikły eleganckie, gładkie kremowe zasłony?, zastanowiła się, widząc w oknach mięsiste welurowe story w kolorze burgunda. Grube złote sznury i wykończenia dodatkowo jeszcze przydawały ciężkości. Wątpliwej pełni szczęścia dopełniał suto drapowany, przyozdobiony złotą lamówką lambrekin pod sufitem.

– O Boże! – wyszeptwała.

– I jak? Podoba ci się? – pisnęła za jej plecami teściowa.

Wyglądała na bardzo z siebie zadowoloną. Wyraźnie oczekiwała pochwały.

– Skąd się to wzięło? – zagaiła Magda ostrożnie.

– Wiesz, ta moja Józia właśnie dostała te zasłony w prezencie od stryjenki z Ameryki. Tamta biedaczka zapomniała, że Józia niedawno zamieniła mieszkanie na mniejsze i nie ma aż tylu okien, więc dostałam je

w prezencie. Wybrałam burgund do salonu, bo fiolet wydał mi się nieco przyciężki.

– To mama ma tego więcej?

– Fiolet wisi już u mnie. Chodź, zobacz! – trajkotała podekscytowana teściowa, ciągnąc za sobą Magdę.

O Chryste..., westchnęła w duchu dziewczyna na widok aksamitu w odcieniu purpury. Na końcu języka miała pytanie, czy to aby nie dekoracja na okoliczność Wielkiego Postu, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Leontyna chciała przecież dobrze.

– I jak? – dopytywała matka Tomka. – Prawda, że ładnie? Taka okazja nie trafia się codziennie. Sama przyznaj.

– Mimo wszystko wolę poprzedni wystrój salonu – bąknęła Magda. – Nie gniewaj się, ale uważam, że z tymi nowymi zasłonami jest trochę za ciemno.

– No widzisz, bo tak ma być! Jak przyjdzie lato, trzeba się będzie chronić przed słońcem. Zasuń je i nawet w największe upały będziesz miała chłodek.

I ciemno jak w dupie, dodała Magda w myśli, kiwając smętnie głową.

Uznała, że musi porozmawiać o tym z Tomkiem, gdy tylko mąż wróci z pracy.

Czekała do wieczora, ale nie doczekała się, bo jej ślubna połowa już spod domu została wezwana z powrotem do apteki, do której właśnie ktoś się włamał. Tomek poprosił tylko o zamówienie mu czegoś do jedzenia z dostawą; wykończony wrócił do domu dopiero przed świtem. Magda poczuła jego obecność przez sen. Mąż pogłaskał ją po głowie i przytuliwszy się do jej pleców, zasnął jak kamień.

Rano Magda nie miała sumienia go budzić.

Była sobota, więc wyskoczyła z łóżka i spakowała torbę na jogę, nie mogąc doczekać się pogaduszek o diecie, ćwiczeniach i zakwasach na siedzeniu. Ostatnio po każdych zajęciach bolało ją coś nowego, więc obiecała sobie, że po powrocie do domu sprawdzi, z ilu mięśni składa się człowiek, skoro bez przerwy nadweręża sobie inne ich partie.

Zmęczona jogą, ale szczęśliwa, wyszła z klubu na ulicę.

Śnieg stopniał już całkiem, za to od kilku dni lało bez przerwy. Zupełnie jakby ktoś na górze przedziurawił pojemnik z deszczem, przyszło jej do głowy. Magda zagapiła się na zasnuwane chmurami niebo, ale na poprawę pogody nie było co liczyć.

Odebrała telefon od Tomka, który, o dziwo, był już w pracy. Kupiła mu w bistro przekąskę i podjechała do apteki.

Przed wystawą parkował dostawczy samochód. Szklarze właśnie montowali nową witrynę.

– Matko... – wyszeptała na widok zniszczeń.

Wokół wszędzie walało się potłuczone szkło.

W apteczkę siedział Tomek z nosem w stercie wydruków. Wyglądał strasznie. Wory pod oczami zdradzały niewyspanie i stres.

– Cześć, kochanie. – Magda pocałowała męża na powitanie. – Przyniosłam ci coś do jedzenia. Wzięłam też kawę. Widzę, że słusznie. – Zerknęła na puste miejsce po ekspresie. – Też go ukradli?

– Żeby tylko! Zginęły wszystkie leki o działaniu narkotycznym. Plastry morfinowe. Wszystko.

– Kurczę, ktoś się nieźle obłowił. – Łup na czarnym rynku wart był krocie. – Co na to policja? Co z monitoringiem?

– Nic się nie nagrało. Ochrona przyjechała za późno. Szlag by trafił!

– W końcu płacicie ochroniarzom za czujność. Przecież to jakaś heca!

– Jak widać, płacimy za naklejkę na szybie. Moi szefowie będą ich skarżyć o odszkodowanie. Na razie jednak to ja jestem głównym podejrzanym.

– Ty?! – Magda zrobiła oczy jak spodki.

– No właśnie. Bo wychodziłem ostatni. Bo włączyłem alarm, który nie zadziałał.

– O nie...

Jak do tej pory Tomek złożył zeznania. Poproszono go, aby w najbliższym czasie pozostawał do dyspozycji śledczych i nie opuszczał miasta. Na głowie miał szczegółową inwentaryzację i mnóstwo tłumaczenia się. Najbliższy czas nie zapowiadał się ulgowo.

– Kiedy wrócisz do domu? – zapytała Magda.

– Nie mam pojęcia – westchnął jej mąż, rozglądając się bezradnie dokoła.

– Nikt nie może ci pomóc? Mogę tu z tobą zostać.

– Może by i ktoś się znalazł, ale skoro ja za to odpowiadam, sam chcę sprawdzić najbardziej strategiczne medykamenty. Resztę niech sobie liczą sami. Siedź spokojnie w domu i się w to nie mieszaj.

– Widziałeś już nowe zasłony w salonie? – zapytała Magda i natychmiast pożałowała, że otworzyła usta w tej kwestii.

W zaistniałych okolicznościach pytanie zabrzmiało co najmniej idiotyczne.

– Jakie zasłony?

– Nie, nic takiego. Nieważne. – Uśmiechnęła się przepaszająco.

Uzgodnili jeszcze, że Tomek wróci do domu jak najszybciej, gdy tylko zakończy remanent. Do poniedziałku apteka miała pozostać nieczynna, ale właściciele nie chcieli słyszeć o dłuższym przestoju. Z początkiem nowego tygodnia wszystko miało funkcjonować po staremu.

Po powrocie do domu Magda sprawdziła najnowsze oferty pracy – znalazła dwa interesujące ogłoszenia i wysłała aplikacje. Nie znosiła robić tego w ciemno, a wysyp na rynku firm poszukujących pracowników anonimowo mierzył ją serdecznie. Nie potrafiła zrozumieć, dlaczego większość z nich traktuje nabór wstydliwie i nie chce podpisywać się pod nim własnym logo. Dla niej znajomość potencjalnego pracodawcy była informacją istotną, choćby ze względu na wymóg złożenia listu motywacyjnego. To kuriozalne, żeby pisać uzasadnienie, jeśli nie zna się profilu działalności, zrywała się. Owszem, można stworzyć bajkę o motywacji finansowej i poszukiwaniu możliwości rozwoju osobistego, ale tak robi każdy. Ten cały list zalatuje ewidentną fikcją. Przy założeniu, że w ramach rekrutacji ktokolwiek go czyta, trzeba się nieźle nagłowić, żeby popełnić coś, co sprawi wrażenie szczerego, niewymuszonego i podkreślającego zawodowe atuty.

Nacisnęła przycisk „wyślij” i poszła po deskę do prasowania. Rozstawiła ją w salonie, włączyła telewizor; właśnie nadawano program o sprzątaniu, w którym prowadząca wychwalała pod niebiosa samobieżny odkurzacz. Magda przytargała stos wymiętych ubrań i w kuchni nastawiła wodę na herbatę. Jej ulubiona, zielona z dodatkiem opuncji figowej, właśnie się skończyła, choć dałaby głowę, że dzień wcześniej w pudełku było jeszcze kilka saszetek. Sięgnęła po owocową, ale i tutaj dno pojemnika zaświeciło pustkami.

Zdaje się, że kółko różańcowe ma spore potrzeby, pomyślała kąśliwie i zaparzyła czarną liściastą. Nigdy nie lubiła płujek, więc przecedziła napar, dołała do kubka odrobinę wiśniówki i obiecała sobie, że następnym razem ulubione herbaty zakamufluje staranniej.

Żelazko już się nagrzało, więc na pierwszy ogień poszły Tomkowe koszule. Ostatnim razem Magda prasowała przed kilkoma dniami, toteż nie przyszło jej do głowy, żeby sprawdzić stan ceramicznej stopy, której podobno nie daje się przypalić.

– Cholera jasna! – zaklęła, gwałtownie podrywając żelazko do góry.

Za późno. Na najnowszej białej koszuli widniał czarny ślad spalenizny. Bieg do łazienki i zapranie kołnierzyka nie zdały się na nic.

Tymczasem w salonie pojawiła się teściowa, która z właściwym sobie beztroskim szczebiotem zaczęła opowieść o promocji w osiedlowym markecie. Zakupione wiktuały położyła na stole.

– Niechże mama już przestanie! – powstrzymała ten słowotok zirytowana Magda.

– Hm, no właśnie, zapomniałam ci powiedzieć, że to żelazko przypala. Wczoraj zauważyłam, kiedy o mało nie zniszczyłam najładniejszej bluzeczki Józki.

– Że co?

W oczach Magdy malowało się bezbrzeżne zdziwienie.

– No przecież mówię, że jako niepracująca pani domu powinnaś zadbać o takie rzeczy. – Pani Leontyna wzruszyła ramionami i pobierawszy swoje łupy z Biedronki, wymaszerowała do kuchni.

Magda zamrugała z niedowierzaniem i dla pewności uszczypnęła się w rękę.

– Idę do sklepu – oznajmiła zimno i zdjęła z wieszaka puchowy płaszcz.

Ponieważ nigdzie nie mogła znaleźć czapki, zamotała wokół głowy szalik. Włożyła kozaki.

– A gdzie ty idziesz w taki ziąb? – Zza kuchennych drzwi wychynęła głowa teściowej.

– Do sklepu. Po ocet. To mama nie wie, czym usuwa się spaleniznę z żelazka? – powiedziała Magda i nie czekając na odpowiedź, wyszła na korytarz.

Przez chwilę bezmyślnie gapiała się na panel przy windzie.

Wcale nie miała ochoty iść po ocet, chciała po prostu spokojnie pomyśleć. W sumie nie miała nic przeciwko temu, żeby matka Tomka używała jej rzeczy, ale już fakt, że prasuje rzeczy jakiejś Józki – i jeszcze ma pretensje, że coś jest nie tak z żelazkiem – wytrącił ją z równowagi. Powinna porozmawiać o tym z mężem, ale on przecież miał teraz na głowie ważniejsze sprawy niż prasowanie, ginącą herbatę, wodnisty dżem i inne, z jego punktu widzenia, bzdety.

Magda spięta się cała na wspomnienie zdenerwowanego Tomka. On naprawdę przeżył to włamanie, a fakt, że jest głównym potencjalnym podejrzanym, tylko dolewał oliwy do ognia.

Zjechała windą na parter i udała się do osiedlowego sklepiku. Nie robiła w nim zakupów nigdy wcześniej, z czego zdała sobie sprawę, gdy sięgnęła do pustej, jak się okazało, kieszeni. Zapomniałam portfela, westchnęła w duchu i wściekła odstawiła nieszczęsny ocet z powrotem na półkę.

– Czy coś się stało? – wykazała się czujnością sprzedawczyni.

– Nie, nic. Po prostu wyszłam z domu bez pieniędzy. – Magda uśmiechnęła się blado.

– Później mi pani doniesie. Nie ma problemu. Może być jutro.

– Poważnie?

– No pewnie! – roześmiała się sklepowa. – Połowa osiedla tak kupuje. Jeden ocet więcej, jeden mniej to żadne ryzyko. To jak? Pisać na zeszyt?

– Tak, proszę. Zapłacę jutro – mruknęła Magda, chowając butelkę do kieszeni płaszcza.

Poczuła na sobie czyjś wzrok i podniosła oczy. Natknęła się na znaczące spojrzenie sąsiada z naprzeciwka i skinęła mu głową na powitanie.

Pewnie pomyślał, że wódkę upycham, zadumała się w windzie.

Jeszcze nigdy nie brała w żadnym sklepie niczego na kredyt i fakt ten uwierał ją bardziej, niż się spodziewała. Jak burza wpadła do mieszkania, postawiła ocet na komodzie w przedpokoju i capnęła portfel z torebki. Z pokoju teściowej dobiegał monotonny głos chóralnej modlitwy. Magda przewróciła oczami, zamknęła za sobą drzwi i nie czekając na windę, zbiegła na dół, uregulowała dług i podziękowała sympatycznej kasjerce. Zatrzasnęła przegródkę z bilonem i wepchnęła w odpowiednie miejsce wystający zagięty banknot. Odruchowo przeliczyła pieniądze.

Była pewna, że wieczorem miała w portfelu o połowę więcej. Przystanęła wtedy przed bankomatem, żeby wypłacić trochę gotówki, ale przeliczyła zasoby i uznała, że stówka w gotówce w zupełności wystarczy na jej potrzeby. Za późniejsze zakupy płaciła kartą.

Tymczasem w portfelu znalazła tylko zagiętą pięćdziesięciotówkę.

– Hm, dziwne – mruknęła pod nosem. – Może zgubiłam? – spróbowała logicznego tłumaczenia.

Oczywiście zwątpiła w to, czego wcześniej była pewna na sto procent. Przecież kasa mogła wypaść,

gdy płaciła kartą.

Może wala się gdzieś w samochodzie?, zastanowiła się. W końcu płaciłam za parking nieopodal apteki, stwierdziła, ale postanowiła sprawdzić to nazajutrz.

Zza chmur niespodziewanie wyszło słońce. Ciemna, zwisająca nad miastem czapa w jednym miejscu rozstała się i kilka promieni padło na ziemię. Magda uśmiechnęła się i z lubością uniosła ku nim twarz. Pospacerowała chwilę, aż wreszcie niechętnie zawróciła do mieszkania.

W drzwiach minęła się z koleżankami teściowej. Ukłoniła się rozplotkowanym kobietom i niespodziewanie pozazdrościła matce Tomka tak zgranego towarzystwa. To nic złego, że przychodzą się modlić, skoro sprawia im to przyjemność, doszła do wniosku. Ale nie licząc modłów, umawiały się jeszcze na herbatkę albo na spotkania w klubie seniora. A Leontyna brylowała wśród nich, zamiast zajmować się sklepem.

Magda zdjęła okrycie, umyła ręce i z oporami podeszła do biurka, gdzie czekał na nią stos faktur. Nie znała się zbyt dobrze na firmowych finansach, ale kiedyś liźnęła co nieco wiedzy na ten temat, która teraz była jak znalazł. Teraz, gdy po długich negocjacjach zgodziła się dopilnować księgowości dewocjonalnego biznesu. Wprawdzie rozliczenia były proste i mało skomplikowane, ale zajmowanie się interesem teściowej wydawało się jej niezręczne. Tomek wreszcie przekonał żonę, że pozostając chwilowo bez zajęcia, będzie mogła pomóc jego matce choć w taki sposób.

– Proszę cię, przecież to bez sensu płacić komuś obcemu. Przecież umiesz, to proste.

– Nie wiem, czy umiem. – Magdę dopadły wątpliwości.

– Przynajmniej spróbuj. Tylko przez jakiś czas. Na próbę, czy sobie poradzisz. Przynajmniej w taki sposób możemy się mamie zrewanżować.

– Zrewanżować? A za co? – Magda uniosła brew.

– Za wszystko. Za mieszkanie, za prowadzenie nam domu, za to, że mnie urodziła i że jest z nami – wyrecytował Tomasz na jednym oddechu, zupełnie jakby przygotował sobie te argumenty już wcześniej.

Do tego wspomniał jeszcze o tych nieszczęsnych bajpasach i złej kondycji sklepowych finansów, która sprawiła, że teściowa zrezygnowała z usług księgowego. Pod naporem takich argumentów Magda uległa, zwłaszcza że roboty istotnie nie było dużo, lecz pomimo starań przez ostatni kwartał nijak nie mogła naciągnąć przykrótkiej finansowej kołderki. Niby wszystko grało, a z miesiąca na miesiąc bilans nie dopinał się coraz bardziej. Oczywiście najlepszym wyjściem byłoby zamknięcie sklepu i zwinięcie nierentownego biznesu, ale dumna Leontyna nawet nie chciała słyszeć o takiej opcji.

Magda zrobiła sobie kawę i z westchnieniem zasiadła do zniechęconych papierów. Zbliżał się termin rozliczenia z urzędem skarbowym. Po dwóch godzinach rozmasowała ścierpnięte plecy i przeciągnęła się. Zgodnie z jej oczekiwaniami, w minionym miesiącu przychody nie zrównoważyły wydatków. Ba, było nawet gorzej niż wcześniej. W branży obroty zwykle wzrastały wiosną, dzięki sezonowi komunijnemu, ale w tym roku nie było na co liczyć. Skoro w ślad za reformą oświaty do szkoły posłano sześciolatki, to trzeba było wstrzymać komunie na rok, żeby do sakramentu mogły przystąpić dzieci dziewięcioletnie – w tym wypadku już trzecio-, a nie drugoklasiści. Większość parafii podpisała się pod tym pomysłem, ale za to branża odczuła spadek obrotów. Nikt nie kupował białych książeczek do nabożeństwa, gromnic i całej reszty potrzebnej dzieciom do Pierwszej Komunii.

W ocenie Magdy był to gwóźdź do trumny. Nie było na co czekać. Konieczność odbycia z teściową zasadniczej rozmowy zbliżała się nieuchronnie. Nie można już było dać się po raz kolejny zbyć machnięciem ręki i beztróskim stwierdzeniem, że jakoś to będzie.

– Otóż nie będzie – powiedziała Magda z naciskiem, wytrzymując złowrogie spojrzenie.

– Wiedziałam, że tak się to skończy! – prychnęła urażona pani Leontyna. – Ty nie masz pojęcia o księgowości! A Tomuś tak mnie zachęcał. Chociaż Józia uprzedzała, że...

– Mamo! – Tomek nie wytrzymał i wszedł matce w słowo. – Magda ma rację. Twój biznes kuleje i coś trzeba postanowić, zanim będzie za późno. Na poprzednim straciłaś mieszkanie.

– Już jest za późno – mruknęła pod nosem Magda, wychodząc z pokoju żegnana teatralnymi spazmami teściowej.

Krzążąc się po kuchni, uważnie nadstawiała ucha. Miała pełną świadomość, że właśnie wetknęła kij w mrowisko, ale przecież ktoś musiał. Ostatnimi czasy jej życie rodzinne znalazło się na równi pochyłej; kłopoty Tomka, nieopłacalny dewocjonalny biznes i bezowocne starania o pracę nikogo z domowników nie napawały optymizmem. W którą stronę człowiek się nie obrócił, wszystko szło nie tak.

Akurat wyjątkowo starannie myła talerze, gdy z salonu dobiegł ją podniesiony głos męża. Po chwili dało się słyszeć przejmujący szloch matki i uspokajający głos jej syna. Magda zaciekawiła się, co też teściowa próbuje wymóc tym razem, ale nie miała ochoty być świadkiem tego cyrku, więc została w kuchni. W końcu Tomek i tak powie mi wszystko, a scenariusz dalszego ciągu znam, pomyślała. Za chwilę zapłakana Leontyna pójdzie do siebie, w przedpokoju, na wysokości kuchni, zapewne przygarbi plecy, zwiesi głowę, a później najciszej, jak tylko się da, zamknie za sobą drzwi. Oboje z Tomkiem znali te wyćwiczone, pełne ostentacji zagrania na wylot i już od dawna nie dawali się brać na litość.

Projekcja rzeczywistości trwała kadr po kadrze. Wszystko przebiegało zgodnie z utartym cyklem, lecz do pewnego momentu. Tym razem Tomek nie poszedł do łazienki, tylko wpadł do kuchni i energicznie przystąpił do przekopywania szafki pod zlewozmywakiem.

– Mamy wódkę? – zapytał, tłukąc niemiłosiernie sprzętami.

– Co takiego? – Magdzie opadła szczęka.

– Mamy gdzieś wódkę czy mam iść do monopolowego? – powtórzył pytanie jej mąż.

Jego spojrzenie było tak wymowne, że Magda odwróciła wzrok.

– Nie mamy. Bo niby skąd? Jedyne trochę wiśniówki – powiedziała cicho, pewna, że za chwilę i tak dowie się wszystkiego.

Ale Tomek tylko włożył kurtkę i bez słowa wybiegł z mieszkania.

No pięknie! Mój niepijący mąż właśnie poszedł po alkohol, pokręciła głową Magda.

Sytuacja była tak niezwykła, że nie wiedziała, co myśleć.

Po kwadransie z nerwów zabrała się do sprzątnięcia szafki z przyprawami. Tutaj zawsze znajdzie się coś, co się rozsypało, stwierdziła. Albo jakaś nieszczelna butelka, po której coś pociekło spod zakrętki, spłynęło pod denko i odbiło się kółkiem na półce.

Rozdział 3

Dochodziła dwudziesta druga. Zaniepokojona Magda zadzwoniła do męża, ale sygnał jego komórki dobiegł z sąsiedniego pokoju. Tomka nie było w domu już od ładnych paru godzin. Tymczasem teściowa zaledwie raz wyszła od siebie i cichcem przemknęła do łazienki, stąpając najciszej, jak się dało. Magda udawała ślepa i głucha. Była wystarczająco zmartwiona, nie chciała dodatkowo podkreślać atmosfery niechcianą rozmową. To, że się z Tomkiem pokłócili, nie ulegało wątpliwości, ale lepiej by się czuła, wiedząc, co jest grane. Żeby wyprowadzić z równowagi tak spokojnego człowieka jak on, trzeba było naprawdę bardzo się postarać. A zdenerwowanie go do tego stopnia, żeby szukał alkoholu... To już Magdzie nie mieściło się w głowie. Tomek prawie nigdy nie pił. Owszem, czasami wysączył jakieś pojedyncze piwo przy okazji meczu, wino do obiadu albo naparstek wiśniówki na smak. Miał słabą głowę i wolał nie ryzykować, bo wystarczały dwa kieliszki, aby zaczął głupio się uśmiechać i gadać od rzeczy.

Minęła kolejna godzina.

Magda ze zdenerwowania nie mogła usnąć. Miała jeszcze nadzieję, że mąż poszedł do apteki dopilnować remanentu. Zadzwoniła, ale po drugiej stronie brzmiał miarowy sygnał. Nikt nie odbierał.

– Tomek, gdzie jesteś? – wyszeptała w stronę połowy łóżka męża i pogładziła dłonią pustą poduszkę.

Gdy wreszcie rozległ się szcęk kluczy, odetchnęła. Tomek najwyraźniej nie był w najlepszej formie, bo zanim z hukiem wpadł do przedpokoju i zatrzasnął za sobą drzwi, minęła spora chwila. Przerażona Magda zacisnęła powieki; w obawie, co zobaczy, wolała nie wstawać. Na wszelki wypadek odwróciła się i naciągnęła kołdrę na głowę. Natychmiast zrobiło się jej gorąco.

Jej mąż z trudem pokonał pełną niewidzialnych przeszkód drogę do sypialni i jak kłoda, w ubraniu, zwałił się na łóżko. Nie zdjął nawet kurtki, choć zważywszy na jego stan, był to najmniejszy kłopot. Po pięciu minutach oddychał już spokojnie.

Magda ostrożnie wystawiła głowę spod kołdry. W nozdrza uderzył ją odór wymiocin i alkoholu.

O matko święta, ale się spruł, pomyślała i wstała ostrożnie. Równie ostrożnie zdjęła Tomkowi buty i na bosaka udała się do łazienki. W drodze powrotnej, na wszelki wypadek, wzięła ze sobą miednicę, ręcznik i butelkę wody mineralnej. Ustawiła to wszystko przy nocnej szafce męża, który właśnie ułożył się na wznak i zaczął chrapać. Spróbowała przetoczyć bezwładne ciało, ale ani drgnęło. Przez godzinę zaciskała powieki w walce o sen, lecz bez skutku – zalany w trupa Tomek chrapał jak wściekły. Nie pomagały gwizdy i szarpanie za ramię. Po dwóch kolejnych próbach Magda zrezygnowała i przeniosła się na kanapę do salonu, gdzie nawet pomimo zamkniętych drzwi słychać było odgłosy z sypialni. Wykończona, o czwartej rano wreszcie zasnęła. Obudziła się wcześniej, kompletnie ścierpnięta, nieprzyzwyczajona do spania na czymś tak miękkim jak kanapa. Jęknęła i rozmasowała obolały kark.

Na zewnątrz było już widno, ale w domu panowała cisza, choć zwykle o tej porze Leontyna już słuchała radia, w kuchni bulgotała woda na herbatę, a z łazienki dochodził szum wody lejącej się do umywalki. Tomek zwykł wstawać najwcześniej ze wszystkich, lecz tego dnia istniała obawa, że wstanie najpóźniej. O ile wstanie w ogóle. Magda wymieniła filtr w ekspresie do kawy i nasypała nową porcję zmielonych ziaren; po chwili woda zawrzała, a kuchnia wypełniła się intensywnym aromatem świeżej kawy.

Rozmroziła przyszykowane wcześniej ziarniste bułeczki własnej roboty i poszła do łazienki zająć się sobą. A że przez najbliższą godzinę żaden z domowników nie dawał znaku życia, upewniła się, że jej pogrążony w pijackiej malignie mąż wciąż oddycha. Zostawiła na nocnej szafce szklankę z sokiem, położyła obok tabletkę musującej witaminy C i pojechała na fitness, gdzie natychmiast zapomniała o dziwnej sytuacji w domu i całkowicie oddała się ćwiczeniom. W planie miała rzeźbienie brzucha, ud i pośladków, zatem z góry wiedziała, co będzie ją bolało nazajutrz, niemniej jednak pilnie przyłożyła się do ćwiczeń. Na efekty nie trzeba było długo czekać – z siłowni wyszła na miękkich nogach.

W pobliskim sklepiku zrobiła podstawowe zakupy, nareszcie kupując to, co lubiła. Postanowiła poinformować pozostałą dwójkę, że serek wiejski grani, polędwica łososiowa i mieszanka sałat z rukolą znalazły się w lodówce wyłącznie z myślą o niej i że ona, Magda, zabije każdego, kto zamachnie się na jej osobiste zapasy.

W mieszkaniu nadal panowała niczym niezmacona cisza. Przez uchylone drzwi od kuchni Magda dostrzegła teściową, siedzącą w jadalni – skulona i z pochyloną głową, w ciszy siorbała swoje śmierdzące ziółka. Tomek kiwał się nad kawą. Wyglądał jak półtora nieszczęścia. Jego twarz przybrała bladozielonkawy odcień; worki pod oczami wyraźnie świadczyły o ciężkiej nocy. Mokra włosy sterczały w nieładzie. Magda z niejaką ulgą odnotowała fakt, że mąż jednak wziął prysznic i przebrał się w czyste ciuchy.

– Cześć. Jak się czujesz? – zagaiła ciepło.

– Ledwie żyję – odmruknął.

– Odpocznij, ja zajmę się wszystkim. Porozmawiamy później.

Pani Leontyna dopiła właśnie cuchnący napar i bez słowa wstała od stołu. Zgarbiła się jeszcze bardziej, jakby chciała pozostać niewidoczna. Zupełnie jak nieprzygotowany do lekcji uczeń, w chwili gdy nauczyciel zastanawia się, kogo wyrwać do odpowiedzi.

– Nie! Porozmawiamy teraz! – Tomek spojrzał twardo na matkę. – Zostajesz! Mamo, siadaj, proszę.

Magda zdjęła płaszcz. Pewna, że oto za chwilę dowie się czegoś, co od wczoraj wystawiało jej ciekawość na ciężką próbę, nalała sobie kawy i zajęła miejsce na krześle.

– Słabo mi! – jęknęła teściowa i zaczęła wachlować się serwetką.

– Mamo, skończ to przedstawienie. Już dość! – zakomenderował Tomek.

Magda aż wstrzymała powietrze w oczekiwaniu na nadchodzącą niewątpliwą sensację.

– Czy ja się w końcu dowiem, o co tu chodzi? – straciła cierpliwość.

– Tak, kochanie. Otóż musimy sprzedać nasze mieszkanie – wypalił bez ogródek Tomek.

– Jak to? Dlaczego?

– Bo moja szanowna matka narobiła długów na blisko sto tysięcy złotych. Właśnie dobrał jej się do skóry komornik.

– Rany boskie!

– No właśnie – powiedział z naciskiem Tomek, wymownie spoglądając na rodzicielkę.

– Ale na co było mamie tyle pieniędzy? – Magda miała wrażenie, że śni.

– Żeby utrzymać tego cholernego wikarego! – ryknął wściekle jej mąż i zerwał się z krzesła.

W biegu porwał kurtkę i wzburzony wybiegł z domu.

A pani Leontyna skorzystała z okazji i czym prędzej czmychnęła do siebie.

Magda nie wytrzymała i zastukała do drzwi, ale odpowiedziała jej cisza. Nacisnęła na klamkę.

Teściowa klęczała przed ołtarzykiem. Jej rozmodlona twarz, zwrócona w stronę okna, wyrażała najwyższe skupienie.

– Co to wszystko ma znaczyć? I co to za wikary?

– Modlę się, nie widzisz? – rzuciła z wyrzutem pani Leontyna.

– Tere-fere kuku! To przestań się modlić! Do cholery, ja też mam prawo wiedzieć, co jest grane, bo to, co nawyczyniałaś, to jakiś skandal! Teraz już wiem, dlaczego w firmie było tak dramatycznie! – syknęła Magda. – O co chodzi z tym wikarym?

Teściowa, jak na zawołanie, zaniósła się płaczem. Magda zdążyła już wprawdzie poznać się na jej aktorskich zdolnościach, ale tym razem łyzy leciały naprawdę.

– Mam raka... – wykrztusiła pani Leontyna pomiędzy spazmami.

– Co takiego?

Tego już było za wiele. Jakieś tajemnice, jakiś wikary na utrzymaniu, jakaś choroba i gigantyczne długi. Do tego roztrzęsiony mąż, jakby miał za mało kłopotów z apteką. A na samym końcu ona. Bez jakiegokolwiek konkretnej wiedzy, a przecież to, co się dzieje, dotyczy również i jej. Jakiś kompletny, totalny kosmos!

Tomek wrócił po godzinie, gdy trochę ochłonął. Wziął żonę pod ramię i zaprowadził do sypialni.

– Cholera, co jest grane? Wyjaśnisz mi w końcu, bo czuję się jak jakiś widz w ostatnim rzędzie, a nie jak osoba żywo i zainteresowana... – Magda znacząco zawiesiła głos.

– Przepraszam. Powinienem powiedzieć ci od razu, ale nie chciałem cię martwić. Poza tym tak się wkurzyłem, że straciłem nad sobą panowanie. Wolałem wyjść.

Magda zapragnęła przytulić się do męża, by dodać mu odwagi, ale wyraźnie wyczuła dziwny dystans. Tomek spał się, wytwarzając wokół siebie coś w rodzaju pola siłowego, zupełnie jak z kreskówki o kosmitach, którego przekroczenie wieściło zgubę. Odpuściła.

– No to mów – zachęciła spokojnie i przycupnęła na łóżku. – Ja mam czas.

– Mama narozrabiała. Najpierw pożyczyła sporo pieniędzy koleżance.

– Niech zgadnę. Józi?

– Nie. Jakiejś Władzi. Tyle że Władzia zniecka zmarła i zabrała całą kasę do grobu. Po jej śmierci wnuki nie przyjęły do wiadomości informacji o długu, a mama zaczęła się zapożyczać. Do tego doszły stare długi i strata mieszkania.

– A ten wikary?

– A to już inna bajka. Coś mi się zdaje, że mama się zakochała.

– W duchownym? – Magda omal nie spadła z łóżka.

– No i masz! Nie dość, że w duchownym, to jeszcze w młodszym od niej o dwadzieścia lat. A w pewnym momencie zaczęła mu pomagać finansowo.

– O Boże, a za co? Oni chyba nie...

– A właśnie że chyba tak – zasepił się Tomek. – Choć i mnie nie mieści się to w głowie. Myślę, że mama chciała dowartościowania jako kobieta, a ta chęć okazała się silniejsza niż ogólnie pojęta przyzwoitość. I jeszcze choroba. Mama żyje tak, jakby jutro miała umrzeć.

– O ja piernicę, ale jazda. – Magda potarła dłońmi twarz i naciągnęła skórę pod oczami.

Wyraźnie poczuła, że jest sucha i gładka jak pergamin. Oto efekty zapomnienia o kremach, pomyślała.

– No właśnie – ciągnął Tomek. – Dodaj jeszcze do tego zadłużenie w Providencie, u tej całej Józi, i mamy komplet. Plus pieniądze potrzebne na leczenie. Wiesz już?

– Wiem. Ma raka. Podobno.

Magda zbyt dobrze znała efekciarskie zagrania teściowej, więc w skrytości ducha miała nadzieję, że i tym razem Leontyna wymyśliła chorobę wyłącznie na potrzeby poprawy własnego wizerunku.

– Tak. Nerki. I trzeba operować go jak najszybciej. Na szczęście obejdziesz się bez chemii, ale wydatki i tak będą kosmiczne. Leki są drogie. Mogę załatwić tańsze, ale to niewiele da. Długi trzeba spłacić, jakoś trzeba żyć. A ty nie pracujesz.

– Nie musisz mi o tym przypominać! – zachnęła się Magda. – Rozumiem, że stąd ta sprzedaż

mieszkania? Naszego mieszkania – dodała z naciskiem. – O ile mi wiadomo, jakiś czas temu tak właśnie brzmiała oficjalna wersja. Że to jest nasze mieszkanie, tak? To co? Zamiana na dwie garsoniery i mamcia osobno?

– Nie. Ona jest chora i będzie wymagać opieki. Chyba wygodniej, by mieszkała z nami. Swoje lata ma i trzeba ją mieć na oku w trakcie leczenia.

– Jasne – mruknęła bez entuzjazmu Magda.

Niestety, tłumaczenie Tomka miało sens.

– Pomyśl o dzieciach – ciągnął. – Mama może nam pomóc. Ty wrócisz do pracy, a ona zajmie się wnukiem. Twoja pensja...

– Tomek! Co ty pieprzysz? – nie wytrzymała Magda. – Właśnie okazuje się, że kobieta jest chora, i to być może śmiertelnie, że siedzi po uszy w długach, a my razem z nią, ja bez pracy, ty masz kłopoty w swojej. I jeszcze pierniczysz o wnukach?!

– Magda!

– Stuknij się w głowę! Tak się nie da żyć! Ja rozumiem, że trzeba jej pomóc, ale chciałabym w końcu znów mieć poczucie, że moja lodówka jest wyłącznie moja, że moje ulubione mydło należy tylko do mnie i że nie muszę go chować za szafką! A rankiem pewność, że nikt mi w nocy nie zjarł mojego jogurtu! Rozumiesz? Czy to tak wiele?

– Kochanie. Uspokój się. – Tomek delikatnie przytulił żonę. – To przejściowe, zaufaj mi. Niedługo wszystko się ułoży, choć sytuacja wymaga poświęceń. W mniejszym mieszkaniu też damy sobie radę.

– Mam nadzieję. – Magda, zrezygnowana, pokiwała głową. – Ale stawiam jeden warunek.

– Jaki?

– Zgodzę się na zamianę, ale tylko na lokum o takiej samej liczbie pokoi. Metraż może być mniejszy, ale sam wiesz...

– Wiem, kochanie, wiem. – Tomek czule pogłaskał żonę po włosach.

A Magda objęła go mocno i wsunęła dłonie za jego pasek.

Spodnie były luźniejsze niż ostatnio.

– Chcę się kochać. – Lekko dmuchnęła mu w ucho.

Tomek zareagował natychmiast i mimo chwilowej obniżki formy stanął na wysokości zadania.

Może zadziałał stres, ale Magda tym razem dała z siebie wszystko. Kochała męża jak nikogo na świecie. Chciała go mieć na zawsze i tylko dla siebie. W końcu go wybrała i za niego wyszła, a nie za jego matkę. Wprawdzie wiedziała doskonale, że prędzej czy później będą mieli Leontynę na głowie, ale nie spodziewała się, że to nastąpi tak szybko i w takim wymiarze. Aż do teraz Leontyna była modelową teściową idealną, ale sytuacja zmieniła się diametralnie i stała się, mówiąc oględnie, dynamiczna. Przyszedł czas na przewartościowanie priorytetów. Magdzie przez chwilę zaświtał pomysł, żeby spróbować pożyczyć pieniądze od Sylwii, ale ta idea ulotniła się równie szybko, jak się pojawiła. Zakładając, że siostra dysponowałaby potrzebną kwotą, i tak należałoby jej oddać pieniądze. Dług to dług. Nieważne u kogo, uregulować go trzeba, a do tego Magda aktualnie nie mogła się zobowiązać. Rzeczywiście, sprzedaż mieszkania była rozsądnym wyjściem, ale potrzebowali z Tomkiem jeszcze kilku dni, żeby przemyśleć sprawę. Również choroba Leontyny na pewien czas zdominowała ich życie, na szczęście rokowania były raczej optymistyczne. Termin usunięcia nerki wyznaczono już na koniec marca i operacja zbliżała się wielkimi krokami. A teściowa, wraz z podjęciem decyzji o likwidacji sklepu, sprawiała wrażenie pogodzonej z losem. Nie było na co czekać.

Magda energicznie zabrała się do działania. Zamieściła kilka ogłoszeń w internecie i rozpuściła wici po okolicy. Chętny do przejęcia lokalu znalazł się niemal natychmiast, więc rodzina odetchnęła z ulgą, że nie trzeba płacić wynajmującym kilkutyśięcznego wypowiedzenia. Wszystko miało szansę zgrać się

praktycznie na zakładkę, a w miejscu sklepu z dewocjonaliami powstać miała mała gastronomia z asortymentem i cenami w sam raz na kieszenie pątników. W zamian za zwrócony do hurtowni towar teściowa odzyskała kwotę, dzięki której miała szansę pokryć znaczną część kosztów leczenia. Nowy najemca nie posiadał się ze szczęścia, że zdąży uruchomić lokal jeszcze przed sezonem.

Lecz o ile sprawa sklepu została załatwiona dość szybko i bez kłopotów, o tyle z kwestią mieszkaniową już nie poszło tak lekko. Magda z Tomkiem nie zakładali co prawda, że na tak duże mieszkanie będzie wielu chętnych, ale nie przypuszczali też, że będą je musieli sprzedać niemal od ręki. Na obecnym rynku o niebo łatwiej było upłynnić małe mieszkanie niż ogromny i drogi w utrzymaniu apartament.

Po wielu próbach Magdzie udało się cudem wynegocjować w banku bardziej korzystne warunki spłaty pożyczki. Z niemałym trudem dogadała się również z komornikiem, któremu wprawdzie nieobce były największe ludzkie tragedie, a sytuacja chorej starszej kobiety nie robiła na nim wrażenia, za to wrażenie wywarły długie nogi Magdy, obute w szykowne kozaczki na wysokiej szpilce. Co rusz łakomie zerkał na to, co wystawało spod krótkiej spódniczki, aż w końcu zgodził się rozłożyć dług na raty i ustalił rozsądne terminy płatności.

A Magda w duchu gratulowała sobie własnej zapobiegliwości. Jakiś czas temu, podświadomie, zakamuflowała przed rodziną większość pieniędzy wypłaconych jej w ramach odprawy i porozumienia stron, więc teraz dysponowała niewielką kasą na czarną godzinę. Nigdy wcześniej nie miała przed Tomkiem tajemnic, ale tym razem coś ją tknęło. I dobrze, pomyślała, bo zaskórniaki już dawno podzieliłyby los reszty pieniędzy z odprawy. Finansowy deficyt, jaki zafundowała dzieciom pani Leontyna, pochłaniał wszystko. Przypominał czarną dziurę bez dna, z której od czasu do czasu wydobywało się odległe „chlup!”. Wszystko, co do niej wpadało, od razu ginęło w jej głębokich czeluściach.

Schowane ponad dwadzieścia tysięcy złotych w istocie nie stanowiło kwoty mogącej wiele zmienić, ale świadomość posiadania takiej sumy na własność dawała Magdzie względne poczucie bezpieczeństwa. Być może fakt ten wpłynął na jej decyzję w sprawie dziecka. Wszystkie wcześniejsze argumenty przeciw zaczęły nagle przemawiać na korzyść zmiany zdania oraz planów. Co dziwne, pomimo zamieszania Magda czuła się w miarę bezpieczna – Tomek miał stabilną pracę, a perspektywa zostania babcią mogła wpłynąć mobilizująco na teściową podczas rehabilitacji i powrotu do zdrowia. Z wypiekami na twarzy Magda przeszledziła w internecie wypowiedzi lekarzy na temat zagrożeń, jakie niesie ze sobą zbyt późne macierzyństwo, i z dnia na dzień odstawiła pigułki antykoncepcyjne. Była tym faktem bardzo przejęta, ale postanowiła nie mówić nikomu o niczym. Na razie sama musiała przywyknąć do podjętej decyzji i nie chciała, żeby ktokolwiek wtrącał swoje trzy grosze. Nie chciała też wywierać presji na Tomku ani rozbudzać nadziei u teściowej. Zdecydowała, że o wszystkim powie im w odpowiednim czasie, choć kiedy to nastąpi, nie miała pojęcia. Postanowiła pozostawić sprawę własnemu biegowi, codziennie wyrzucając do toalety jedną pigułkę z ponumerowanego blistra.

Pomimo noża na gardle niech będzie, co ma być, postanowiła. Pewnych rzeczy nie można odwlekać w nieskończoność. Nie puściła pary z ust i dla niepoznaki kazała przynieść Tomkowi z apteki kolejną porcję pigułek. W ten sposób wykorzystwała ostatnią już receptę od ginekologa. Z trudem udało jej się ukryć głupkowaty uśmieszek – w ostatniej chwili odwróciła się tyłem do teściowej i naląła do czajnika trzy razy więcej wody, niż potrzebowała. Była pewna, że to ten dzień. Owulację od zawsze miała jak w zegarku.

Tomek tego dnia miał być dłużej w pracy, więc zostawiła mu w mikrofalówce obiad do odgrzania.

Starannie zmyła makijaż i rozpoczęła przygotowania do snu. Następnego dnia czekała ją rozmowa kwalifikacyjna w firmie widmo, do której aplikowała niedawno, a nie miała pomysłu, jak się przygotować. Magdzie zawsze myślało się dobrze tuż przed zaśnięciem, więc i teraz uznała, że

pracodawcy nie mogą od niej oczekiwać jasnowidztwa, skoro ukrywają przed kandydatami firmową tożsamość. Ponieważ spotkanie miało się odbyć w biurze rekrutera, postawiła na naturalność i skupiła się na własnych kwalifikacjach i atutach. Nie miała nic do ukrycia. Jej teczka zawierała okazały plik dyplomów i zaświadczeń o odbytych szkoleniach, umiejętności były bez zarzutu. Już jakiś czas temu Magda doszła do wniosku, że na własne nieszczęście jest po prostu zbyt dobra. Zdawała sobie sprawę, że na lokalnym rynku działa niewiele przedsiębiorstw, które byłoby stać na wynagrodzenie, jakie otrzymywała poprzednio, jako szefowa działu. Do tego raczej nie mogła się spodziewać natychmiastowego zatrudnienia na kierowniczym stanowisku, bo takie zazwyczaj obsadzano własnymi ludźmi, a Magda była z zewnątrz. No, chyba żebym miała znajomości i niezłe chody, westchnęła. Nie dysponowała, niestety, ani jednym, ani drugim, a ponadto dokuczała jej bolesna świadomość, że trzeba obniżyć loty. Ambicja ambicją, ale sytuacja rodzinna nie pozwalała na wybrzydzenie; choć Magda nigdy nie sądziła, że nadejdzie ten dzień, była gotowa brać co popadnie. Zwłaszcza teraz, kiedy zdecydowała się na dziecko. W pierwszym odruchu pomyślała, że to trochę nie fair wobec pracodawcy, ale przecież nie byłaby pierwszą zatrudnioną kobietą, której zdarzy się urodzić. Cięża to nie choroba, a urlop macierzyński to nie koniec świata, zwłaszcza w czasach mobilnej łączności, kiedy swobodnie można doglądać służbowych spraw nawet znad dziecięcej kołyski. No ale cóż, na razie to tylko teoria, i w sprawie pracy, i w sprawie dziecka, pomyślała i mocno przytuliła głowę do poduszki. Tuż przed zaśnięciem wydawało jej się, że słyszy dźwięk otwieranych drzwi, ale na granicy snu nie miała sił, by nadstawić ucha. Zasnęła jak kamień.

W nocy obudziło ją donośne chrapanie. Odruchowo pomacała drugą część łóżka i odetchnęła z ulgą, że jej mąż jest tam, gdzie powinien być każdej nocy. Po cichutku wymknęła się z sypialni i po ciemku powędrowała do toalety, w proguomal nie wywijając orła na rozrzuconych po podłodze Tomkowych ciuchach. Pośrodku przedpokoju natknęła się na jego teczkę i buty, więc zapaliła światło i porządnie poustawiała wszystko na miejscu.

Z jej mężem działo się coś dziwnego. Zawsze taki solidny i poukładany, w sposób graniczący z pedanterią, od niedawna zachowywał się co najmniej osobliwie. Pełna najgorszych obaw Magda wróciła do łóżka i zbliżyła nos do jego ust. Odsunęła się z odrazą, wyczuwając nieprzyjemny zapach.

– Och, nie... Znowu – jęknęła cicho i odwróciła się plecami, żeby nie wdychać alkoholowych wyciewów.

Rozdział 4

Co takiego? Dobrze się czujesz? – rzuciła w telefon, ale jej siostra nie przestawała tokować.

– To jakiś skandal, normalnie w głowie się nie mieści! Stara kilkanaście lat temu olała nas ciepłym moczem, a teraz robi sobie jaja z za grobu!

Wprawdzie Sylwia piekliła się często, ale Magda już dawno nie słyszała jej tak wkurzonej.

– Ale...

– ...ta stara wariatka wstydu nie ma! – trajkotała Sylwia jak katarynka. – Nie wiem, jak ty, ale ja nie dam się ubrać w jakieś gówniane przedsięwzięcie! Wiesz, jak lubię te cholerne konie! Kurde, najlepiej na obrazku! Ja w to nie wchodzę, wykluczone!

– Ale... – Magda bezskutecznie próbowała się przebić przez siostrzany słowotok.

– Ja w to nie wchodzę i już! Nie chcę mieć nic wspólnego z tym końskim gównem!

Nie było szansy dojść do słowa. Sylwia, powiedziawszy, co leży jej na wątrobie, pożegnała się i przerwała połączenie, pozostawiając rozmówczynię w absolutnym osłupieniu.

– No to pięknie – sapnęła Magda i głęboko zaczerpnęła powietrza.

Nie miała czasu na zastanawianie się, co dalej, bo szef właśnie wezwał ją do siebie, żeby omówić sprawę reorganizacji działu sprzedaży.

Pracowała od niedawna, ale już pierwszy miesiąc w nowej firmie kompletnie pozbawił ją energii. Uznana firma produkcyjna, zatrudniająca ponad setkę osób, z prezesem zarządu, sknerą stulecia, który niekoniecznie lubił płacić w terminie. Zwykle pensje wpływały na konta pracowników z opóźnieniem, a obiecanych premii nikt nigdy nie widział na oczy. Poniewczasie Magda zorientowała się, że właśnie to jest przyczyną dużej rotacji kadr. W związku z tym miała pełne ręce roboty – rekrutacja goniła rekrutację, a nowi pracownicy wymagali podnoszenia kwalifikacji. Tymczasem zewnętrzne firmy szkoleniowe czekały na zaległe płatności i odmawiały dalszego świadczenia usług.

– Gdzie się nie obróczę, tam bagno – mruknęła Magda pod nosem, wertując okazały stosik ofert.

Kandydaci pchali się drzwiami i oknami. Młodzi wykształceni ludzie nie mieli pojęcia, w co się pakują, ale próbowali mimo wszystko.

Pomimo finansowych poślizgów atmosfera w pracy panowała całkiem znośna, więc Magda zaaklimatyzowała się w nowym środowisku nadspodziewanie szybko. Początkowo trochę dziwiło ją, że pozostali przyjmują ją tak serdecznie, ale wystarczyły dwa tygodnie, by połapać się, że spada im jak z nieba. W firmie panował niepisany zwyczaj dzielenia się obowiązkami nieobecnych, a że w dziale kadr bez przerwy był jakiś wakat, spadały one na personel innych działów. Nowa specjalistka od zasobów ludzkich już pierwszego dnia została rzucona na głęboką wodę i ochłonęła dopiero pod koniec drugiego. Powszechna radość z jej zatrudnienia bynajmniej nie wynikała z sympatii, a z możliwości pozbycia się obciążeń.

– Boże, zabierz ode mnie to cholerstwo! – Marlena, główna księgowa, z uśmiechem prasnęła o biurko Magdy stertą opasłych segregatorów.

– A, dzięki. – Magda z obawą spojrzała na dokumenty. – Co to takiego?

– Teczki personalne wszystkich pracowników.

– Żartujesz? – Oczywiście Magdy zrobiły się ogromne ze zdziwienia. – Przecież takie rzeczy trzyma się pod kluczem. To sprawy osobiste. Nie wolno tego tak po prostu przerzucać z biurka na biurko!

– Myślisz, że nie wiem? Preziowi to powiedz.

– Taaa, już lecę – odparła z przekąsem Magda.

Zdażyła się już zorientować, że szef to typ choleryka z patentem na doskonałość i biada temu, kto pokusiłby się choćby o cień krytyki pod jego adresem. Choć z drugiej strony wiedziała, że powinna mu zwrócić uwagę, dla jego własnego dobra. W obecnej sytuacji każda sprawa przed sądem pracy zostałaby rozstrzygnięta na korzyść pracownika. W firmie panował bałagan i proceduralne nieprawidłowości były na porządku dziennym. Zaplanowała już tę rozmowę, ale najpierw postanowiła przygotować się do tematu, bo zwykle wytykanie błędów i wypaczeń nigdy nie wnosi niczego dobrego, podczas gdy podanie recepty na poprawę zwykle spotyka się z akceptacją. Istniała szansa, że prezes Oleksy pójdzie po rozum do głowy i pozwoli Magdzie na nowe porządki w jej dziale. Własnych kłopotów miała aż nadto, żeby jeszcze tłumaczyć się w imieniu firmy za łamanie ustawy o ochronie danych osobowych.

Rozejrzała się po biurze za miejscem, w którym mogłaby schować wszystkie akta, ale jedyna szafa zamykana na klucz była wypchana po brzegi sprawozdaniami finansowymi. Sporą jej część zajmował pancerny sejf.

– Przestań! – parsknęła śmiechem Marlana. – Myślisz, że do jutra coś się tu zmieni? Jak ktoś chciał, to już dawno sobie pogmerał w tych papierach. Acz zakładam, że nikomu się nie chciało, bo ma pod dostatkiem własnej roboty.

– Ale tak nie można. Zaraz zażądam zakupu zamykanej szafy.

– Uważaj, bo prezio się zgodzi. Akurat! Optymistka z ciebie.

– Musi. Jeśli nie chce płacić kar tysiącrotnie większych niż jej koszt.

– Próbuj.

Marlena знаła Oleksego od dawna i była pewna, że Magda niczego nie wskóra, ale gdy ta wyszła z gabinetu szefa z szerokim uśmiechem na twarzy, trochę zrzędzła jej mina.

– I co?

– Załatwione. Mogę kupić tę cholerną szafę już dzisiaj.

– A dał ci kasę?

– Nie. Ty masz mi ją dać. To znaczy, mam wziąć fakturę na przelew, a ty masz go uruchomić. Zaraz zamawiam, na jutro powinni dostarczyć. Coś nie tak? – zaniepokoiła się Magda.

Na twarzy koleżanki błąkał się uśmieszek politowania.

– Moja droga... – Marlana rozparła się na krześle. – Nikt nigdy nie da ci tyle, ile może ci obiecać Oleksy. Ja mogę wypisać przelew, ale bez parafki prezia nie sposób go uruchomić. Tymczasem on nie lubi parafować przelewów. Bardzo nie lubi.

– To co?

– A to, że jutro rano wyjeżdża na trzy tygodnie na narty do Włoch. I niczego nie podpisze, dopóki nie wróci. Zatem na razie zapomnij o szafie i zajmij się innymi sprawami.

– Chyba ktoś tutaj nie jest normalny – stwierdziła ostrożnie Magda. – Przecież to jego interes. On łamie prawo. Ja co najwyżej złożę zeznania, a on beknie. Nie rozumiem tego.

– Ech, wyluzuj. Wiele rzeczy w tej firmie jest niezrozumiałych. Głową muru nie przebijesz.

– To co mam robić?

– Po prostu rób swoje. I módl się o kolejną wypłatę – podsumowała filozoficznie Marlana, wsadzając nos w stertę bankowych wydruków.

Magdzie przyszło do głowy, żeby schować feralne dokumenty w bagażniku – uznała, że w samochodzie będą bardziej bezpieczne niż w biurze – ale zrezygnowała po namyśle. Nie daj Bóg, żeby ktoś doniósł

szefowi, że ona wynosi z firmy służbowe akta. Mogłaby mieć jeszcze większe kłopoty, a nowa praca była jej przecież bardzo potrzebna. Finansowa sytuacja w domu wołała o pomstę do nieba i każda dodatkowa złotówka była na wagę złota.

Na szczęście teściowa zniosła zabieg usunięcia nerki całkiem dobrze i pomału wracała do zdrowia. Lada dzień miała wyjść ze szpitala, ale przecież jeszcze przez jakiś czas będzie wymagać stałej opieki. Jakoś trzeba załatać budżetową dziurę wspólnymi siłami. Nowa praca Magdy spadła jak z nieba, choć wiązała się z pewnymi kłopotami organizacyjnymi – Leontyna była chora, wymagała opieki, a ktoś przecież musiał zająć się domem.

Magda upchnęła segregatory na najniższej półce szafy i wyłączyła komputer. Zanim opuściła biuro, było już grubo po osiemnastej. Po drodze do domu zajrzała do kancelarii parafialnej przy pobliskim kościele, gdzie zapytała o wolontariat i opiekę nad potrzebującymi, ale dowiedziała się, że nic podobnego nie funkcjonuje. Trzeba wymyślić plan B, i to dość pilnie, westchnęła w duchu. Leontyna lada dzień wróci do domu i ktoś będzie musiał się nią zająć. Przynajmniej w pierwszych tygodniach po operacji.

Weszła do pustego mieszkania, wyjęła z lodówki gotową sałatkę i nastawiła wodę na herbatę. Tomka znowu nie było, a ona tak bardzo chciała z kimś porozmawiać. Czas spędzany z mężem dawał Magdzie niejasne poczucie panowania nad sytuacją, tymczasem on tkwił po uszy w pracy. Jego zastępca znalazł sobie inne zajęcie, a właściciele apteki jakoś nie kwapili się, żeby zatrudnić kogoś nowego. Nie było dnia, żeby Tomek wracał do domu przed dwudziestą pierwszą, a nierzadko zdarzało się, że Magda zasypiała, nie doczekawszy jego powrotu. Na szczęście w ostatnich tygodniach pozostawał trzeźwy, choć mając na uwadze kilka jego wcześniejszych wybryków, ona podświadomie wykazywała daleko posuniętą nieufność. Każdej nocy czujnie pociągała nosem i sprawdzała, czy dotychczasowy ideał męża pił cokolwiek. Gdy po którymś wysoku następnego dnia skacowany wtoczył się do kuchni, nie wytrzymała i po raz pierwszy w życiu urządziła mu karczemną awanturę.

– Ty idioto! – krzyczała. – Myślisz, że zapijesz wszystkie nasze problemy? Pijesz za moją pracę, za własne sukcesy czy za zdrowie swojej matki? Co? A może za powiększenie rodziny, żeby uszczęśliwić naszą rekonwalescentkę?

– Magda... – jęknął Tomek i zasłonił uszy. Ból rozsadzał mu czaszkę, a każde słowo wypowiedziane przez żonę podniesionym głosem odbierał jak silne uderzenie młotkiem w głowę. – Daj mi chwilę.

– Oczekuję wyjaśnień – powiedziała twardo Magda. – I guzik mnie obchodzi, że masz kaca. Nie, nie, nie! Co za dużo, to niezdrowo! Ja więcej ci już wody i alka-primu do łóżka przynosić nie będę!

– Kochanie, nie denerwuj się. Potrzebuję trochę czasu. – Tomek zrobił skruszoną minę.

– Czasu na co?

– Na pozbieranie się.

– W porządku. Do południa wystarczy? – ucięła.

– Nie, no. Miałem na myśli dłuższy czas. Kilka dni.

– Kochanie, ja nie mam go aż tyle – oznajmiła słodziutko Magda, choć wyraz jej twarzy zdradzał totalną złość.

Czuła, że jeszcze jedno słowo, a wybuchnie. Bogiem a prawdą marzyła się jej ostatnio ostra rozpierducha – Tomkiem trzeba było porządnie wstrząsnąć, a i ona sama szukała pretekstu do rozładowania skumulowanych emocji. Teraz sytuacja była idealna.

– Trochę się ostatnio pogubiłem. Przepraszam. – Tomek pokornie zwiesił głowę.

Nerwowo skubał paznokcie.

– Ach tak? – syknęła z przekąsem Magda. – Ty się pogubiłeś? No, pięknie! Mój mąż, który ma być dla mnie wsparciem, podobno marzący o dzieciach i byciu głową rodziny, pogubił się. Moje biedactwo – sarknęła. – Jak wytrzeźwiejesz, wiesz, gdzie mnie szukać! – fuknęła wściekle i odstawiła kubek

z głośnym stukiem.

– Ależ kochanie, my przecież... – powiedział Tomek przymilnie, ale Magda weszła mu w słowo.

– Posłuchaj no, kochaniutki. Miarka się przebrała – rzuciła przez ramię i wyszła z kuchni, dumna z siebie, że udało się jej opanować chęć przygotowania mężowi śniadania, kawy i zimnego okładu na głowę.

W zamian zafundowała mu zimny prysznic i pozostawiwszy go w osłupieniu, czekała na efekty.

Nie trwało to zbyt długo. Po jakimś czasie Tomek zameldował się w sypialni z drugim śniadaniem na tacy. Odświeżony, wypachniony i uśmiechnięty od ucha do ucha.

– Kupiłem kruche rogaliki z marmoladą. Takie, jak lubisz. – Postawił tacę obok żony, a sam przysiadł na łóżku.

Podparł się na łokciu i pogłaskał Magdę po policzku.

Zawsze lubiła tę pieśczołę, zatem i teraz przytuliła twarz do jego ciepłej dłoni. Bezwiednie przymknęła oczy.

– Przepraszam cię. Nie chciałem cię zawieść – powiedział cicho Tomek. – Ale wiesz, to wszystko... Za dużo tego. Sam nie wiem, te kłopoty po prostu mnie dobiły. Włamanie do apteki, choroba mamy, finanse. Dobrze, że przynajmniej ty poszłaś do pracy i świetnie sobie radzisz. – Objął żonę i przyciągnął ją do siebie. – Jestem z ciebie bardzo dumny. A ty taka dzielna – wymruczał jej w szyję i odnotował, że aż pokraśniała z zadowolenia.

Przesunął dłonią po jej udzie.

Magda nerwowo przełknęła ślinę. Nigdy nie potrafiła oprzeć się urokowi męża, zwłaszcza że wcale nie miała zamiaru się opierać. Regularne pulsowanie w podbrzuszu stało się bolesne, a jej umysłem całkowicie zawałdnęło pragnienie spełnienia. O pieniądzach możemy porozmawiać później, pomyślała. Długi nie zając, nie uciekną. Chciała wprowadzić rozegrac sytuację nieco inaczej, ale oręż właśnie wypadł jej z ręki. Nie dość, że roztrzaskał się o podłogę, to jeszcze w Magdzie pojawiło się potężne postanowienie przyciśnięcia męża do ściany. Nie miała siły walczyć z ogarniającym ją pożądaniem.

Tomek zadał jej jakieś pytanie, ale odmruknęła coś nieprzytomnie pomiędzy pocałunkami, wyszarpując koszulę męża ze spodni. Z przyjemnością pogładziła ciepłe i gładkie ciało i z lubością poddała się dobrze jej znanym pieśczołom. Reagowała jak instrument, posłuszny i bezwolny w rękach doświadczonego stroiciela. Nawet gdyby chciała, nie potrafiłaby się mu przeciwstawić. W ramionach Tomka traciła zmysły i tożsamość, i jak strojony instrument, wydawała z siebie na koniec finalny akord. Nadchodzący wieczór zapowiadał się wspaniale. Wiedziała, że następnego dnia zerwie się z łóżka o świcie i radosna jak skowronek powita nowy dzień. Zawsze tak bywało po wspólnej nocy. Jakże jej tego brakowało w ostatnich dniach! Chciała zrugać męża, że ją zaniedbuje, że muszą ukrywać się we własnym domu przed Leontyną, że on za dużo pracuje, że za rzadko się kochają, ale nie dał jej szansy. Pocałunkami odebrał jej zdolność logicznego myślenia. A gdy po wszystkim Magda wtuliła twarz w poduszkę, ochota na reprimendę wyparowała bezpowrotnie.

Leniwie przeciągnęła się w skotłowanej pościeli. Z łazienki doszedł ją szum wody z prysznica.

Miło byłoby dołączyć, pomyślała i rozejrzała się po podłodze za kapciami.

Nie zauważyła ich, więc podeszła do drzwi łazienki na bosaka.

Byli z Tomkiem w mieszkaniu sami, co ostatnimi czasy należało do rzadkości. Romantyczny wieczór, kolacyjka przy świecach, lampka wina, wspólna kąpiel, a później..., rozmarzyła się na całego. I omal nie oberwała drzwiami.

Tomek gwałtownie wyskoczył z łazienki. Trzymając komórkę przy uchu, nerwowo wywracał spodnie na prawą stronę.

– Dobrze, wiem! Zaraz będę! – rzucił do telefonu. – Gdzie moja niebieska koszula? – zwrócił się

bezglśnie do żony i kontynuował rozmowę.

Podskakując, wkładał skarpetki i nerwowo rozglądał się za slipkami. W końcu wyciągnął je spod łóżka, razem z kapciami Magdy.

Ona nigdy nie wstydziła się nagości, ale teraz nagle ogarnęło ją wrażenie, że jej gołe ciało to coś kompletnie nie na miejscu. Nie potrafiła sobie tego wytłumaczyć, ale w ciągu sekundy poczuła się niezręcznie. Czar chwili prysł i stanie w przedpokoju na golasa wydało się jej dziwaczne. Sięgnęła po wielki kąpielowy ręcznik i omotała się nim po samą szyję. Od razu poczuła się lepiej.

Tomek skończył rozmowę i pozbierał z podłogi resztę garderoby.

– Wybierasz się gdzieś? – zapytała z niedowierzaniem.

– Owszem. Przepraszam cię, ale muszę.

Zadarł głowę w charakterystyczny dla siebie sposób i zapiął ostatni guzik przy koszuli. Magda odruchowo podała mu krawat, ale odmówił.

– Dziękuję, nie trzeba.

– Może powiesz mi, gdzie idziesz? Wiesz, która godzina? – Nerwowo miętosiła w dłoniach zawiązany na wiśniowym krawacie podwójny windsor.

– Muszę podjechać do mamy, do szpitala. Na śmierć zapomniałem, że miałem dziś u niej być. Ale dałem ciała!

– Spokojnie. Odwiedziłam ją dzisiaj po pracy.

– Ale ona potrzebuje świeżej bielizny, lekarstw i dżemu.

– Zawiozłam jej bieliznę, koszulę nocną i nowy szlafrok, a dżemu ma jeszcze pół słoika. Możesz zatem spokojnie rozpiąć tę koszulę i wrócić do łóżka. – Magda z uśmiechem podeszła do Tomka i zabrała się do rozpinania małych guziczków.

– Przestań! – fuknął. – Mama nie ma leków.

– Jezu, czy świat hurtem zwariował? Jej życiu nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Byłam u niej dzisiaj, zawiozłam jej wszystko, co trzeba. Czują się dobrze.

– Ale te leki... Kompletnie wyleciały mi z głowy. – Tomek bezradnie rozglądał się wokół.

– Tomek! – wrzasnęła Magda na cały głos. – Opamiętaj się! Ona jest w szpitalu. W szpi-ta-lu! – przesyłabizowała dobitnie ostatnie słowo. – Nie pod mostem czy w przytułku dla bezdomnych, ale w europejskim szpitalu! I gwarantuję ci, że nie dadzą jej tam umrzeć na serce, bo piętro wyżej jest kardiologia. Oprzytomnij w końcu i popatrz na mnie!

– Magda!

– Nie idź. Proszę.

– Ale ja muszę. Ech!

Magda chciała powiedzieć coś jeszcze, ale dostrzegła w spojrzeniu męża taki wyrzut, że zamilkła w pół słowa. Po raz pierwszy w życiu widziała, jak jej mężczyzna się miota, i co gorsza, nie miała na to wpływu. Na bezdechu czekała na dalsze wydarzenia i zaczerpnęła powietrza, dopiero gdy za Tomkiem zamknęły się drzwi. Nawet nie próbowała domyślać się, gdzie poszedł. Przez głowę przemknęła jej myśl, że może wcale nie pojechał do matki, ale szybko odgoniła ją jak natrętnego owada. Potrząsnęła głową.

Nie, nie, pomyślała.

Ufała mu zawsze i nie miała zamiaru myśleć, że mógłby tak po prostu wybiec z domu do innej kobiety. Wszystko mówiło jej, że pojechał do matki, ale na wszelki wypadek postanowiła następnego dnia podpytać teściową. Przecież doskonale znała Leontynę i jej wyrafinowane egoistyczne zagrywki. Dla tej baby nie było świętości. Oczywiście nie licząc Lichenia i Telewizji Trwam.

Westchnęła ciężko. Weszła pod prysznic i stojąc w strugach wody dłużej, niż było to konieczne, zrobiła gruntowny rachunek sumienia. Z której strony by patrzeć, nie miała sobie nic do zarzucenia. Rodzina była

najważniejsza i dla niej Magda była w stanie poświęcić wiele, choć jednocześnie miała świadomość, że ważna jest ona sama, że ona też się liczy. Być może dla domowników jej samopoczucie nie było priorytetem, ale dla niej wręcz przeciwnie. Chciała dobrze się czuć sama ze sobą. Przez całe dwadzieścia cztery godziny, siedem dni w tygodniu. Praca angażowała ją teraz ponad miarę, więc zarzuciła poranne treningi na siłowni. A szkoda, bo polubiła je bardzo. Kładąc się do łóżka, Magda obiecała sobie solennie, że gdy tylko ogarnie się zawodowo, natychmiast reaktywuje tę aktywność.

Zadowolona z postanowienia, choć nie doczekała powrotu męża, zasnęła jak suseł.

Ponieważ jednak sytuacja powtarzała się przez kolejne wieczory, zaczęła nabierać podejrzeń. Kilka razy zatelefonowała do teściowej i trajkocząc jak gdyby nigdy nic, ustaliła, że jej mąż rzeczywiście regularnie odwiedza chorą w szpitalu. Summa summarum poczuła się jak skończona świnka. Tomkowi ostatnimi czasy nie jest lekko, Leontynie też nie, a ja, pomimo że wreszcie pracuję, zachowuję się jak skończona egoistka, napomniwała się w duchu.

– Weź się, kobieto, pozbieraj do kupy – powiedziała do własnego odbicia w lustrze.

Właśnie wróciła do domu i zastała mieszkanie w takim stanie, w jakim je zostawiła. Mimo że Tomek obiady jadał w jadłodajni niedaleko apteki, zabierał co rano drugie śniadanie, a Magda, w trosce o zdrowe odżywianie, szykowała sobie sałatki do pracy. Śladów jej działalności w kuchni nie sposób było nie zauważyć.

Przemoczone kozaki ustawiła w łazience przy kaloryferze, włączyła telewizor, żeby tchnąć w puste wnętrza nieco życia, i rozwiesiła pranie. Korzystając z nieobecności teściowej, ustawiła, jak dawniej, w jej pokoju suszarkę i zerknęła w okno z nadzieją, że zobaczy za szybą pierwsze oznaki wiosny. Niestety, maleńkie zielone pączki na drzewach całkiem znikły pod czapami mokrego śniegu.

Kończyła już drugą filiżankę cytrynowej herbaty, ale za nic nie mogła się rozgrzać. Włożyła ciepłe narciarskie skarpety, a z szafki na buty wygrzebała znienawidzone bezkształtne botki z australijskich owiec i przywdziawszy je, rozejrzała się za wiśniówką. Jeszcze kilka dni temu w butelce chlupotało całkiem sporo słodkiego trunku, ale teraz świeciło w niej dno. To samo dotyczyło dzinu i rumu. Tymczasem Magda mogła pójść o zakład, że jeszcze niedawno wszystkie butelki były pełne; zaledwie kilka tygodni temu sama kupiła te alkohole, na wszelki wypadek, gdyby jednak koleżanki z poprzedniej pracy chciały ją odwiedzić i złożyć jej życzenia z okazji urodzin. Nie odwiedziły. Stare znajome już nie widziały sensu, żeby w nowych okolicznościach podtrzymywać kontakt, a te z nowej firmy jeszcze go nie dostrzegły, więc trunki wylądowały w szafce pod zlewem. Nie należało spodziewać się cudów. Do Magdy dotarła bolesna świadomość, że nie ma nikogo, z kim mogłaby porozmawiać, tak normalnie, po koleżeńsku, po ludzku. Żeby ten ktoś zwyczajnie jej wysłuchał. Bez służbowych podtekstów i kalkulacji, do czego ta wiedza może mu się przydać.

Pozostawała Sylwia. Tyle że siostra dzisiejszego poranka zaprezentowała focha w kwestii testamentu i nie była w najlepszym humorze.

Magda zadzwoniła zatem do Tomka, ale usłyszała, że w aptecce właśnie ustawił się długi ogonek klientów.

Rozdział 5

Notariusz miał napięty grafik, ale z uwagi na pracę Magdy wyjątkowo zgodził się spotkać z nią w sobotę. W piątek Leontyna wróciła do domu. Pani Maria, sąsiadka z dołu, emerytowana pielęgniarka, ofiarowała się zaopiekować rekonwalescentką za rozsądne pieniądze, zatem przynajmniej ten problem spadł z głowy.

Przy wypisie Magda zamieniła kilka zdań z lekarzem i odebrawszy wyniki, zapakowała teściową do samochodu. Rokowania były dobre. Leontynie, zawsze rozmownej, nie zamykały się usta. Teściowa zachowywała się tak, jakby wracała z wczasów na Hawajach, a nie ze szpitala. Jak na tak ciężką operację czuła się całkiem nieźle. Wyglądała trochę blado, ale że przy okazji straciła kilka zbędnych kilogramów, na oko ubyło jej lat. Nieszczęsny wikary najwyraźniej już wyparował jej z głowy, lecz zamiast niego na horyzoncie pojawił się niejaki Antoni. Para poznała się w szpitalu i miała mnóstwo wspólnych tematów. Pierwszą rzeczą, jaką Leontyna zrobiła po powrocie do domu, było podłączenie telefonu do ładowarki i rozmowa z nowym znajomym. Magda uśmiechnęła się pod nosem, pewna, że nowy obiekt westchnień pomoże teściowej w rehabilitacji.

– Mama chyba znów się zakochała – powiedziała do Tomka, który znalazł chwilę, żeby zadzwonić.

– W kim?

– W znajomym ze szpitala. Jemu też wycięto nerkę, więc sam wiesz. Mają o czym gadać i gadają. Jak najęci.

– A co to za jeden?

– Nie widziałam go, ale pewnie za jakiś czas pojawi się w domu. Na szczęście księżulo poszedł w odstawkę.

– A co powiedział lekarz? – zapytał Tomek.

– To samo, co tobie. Że mama jest w świetnej formie i szybko się pozbiera. Ale poza tym chciałabym z tobą o czymś porozmawiać.

– To coś pilnego?

– W sumie to nie, ale...

– Muszę kończyć. Mam klientów – powiedział Tomek i się rozłączył.

Magda jeszcze przez chwilę wpatrywała się w szary wyświetlacz telefonu.

– To nie jest normalne – westchnęła głośno.

Czy fakt, że chcę pogadać z własnym mężem, jest z mojej strony jakimś nadużyciem?, pomyślała. Czy to, że pragnę mu powiedzieć o pewnych rzeczach, być może dla nas ważnych, to fanaberia? Przecież ja mam męża tylko na papierze! Zarobiony maminsynek, cholera! A ja? A ja to co? Dlaczego ciągle jestem sama? Dlaczego sama muszę podejmować wszystkie decyzje?

Nadchodził piątkowy wieczór, a Magda robiła się coraz bardziej wściekła. Upewniwszy się, że Leontyna jest pod dobrą opieką, po południu pojechała do pracy; była na okresie próbnym, więc załatwienie sobie wolnego przedpołudnia wymagało niemałego trudu. Dotarła do firmy w porze, kiedy reszta personelu radośnie udawała się do domu. W progu minęła się z Marleną.

– No i jak tam teściowa? Na chodzie? – zainteresowała się koleżanka.

– Dziękuję, w miarę. A co dzisiaj? Jakieś nowości?

– Nie, nic. Stary się nartoli, to i głów ludziom nie zawraca, więc spoko. Położyłam ci na biurku oferty z nowego naboru.

– A, dzięki, kochana. Coś ciekawego?

– Nie patrzyłam dokładnie, ale ze cztery dobrze rokują, sądząc po zdjęciach. Same ciacha. – Marlena parsknęła śmiechem.

– Wariatka! – Magda puściła do niej oko, zameldowała się w portierni i poszła do siebie.

Nie miała wyjścia, musiała nadrobić zaległości. Jakimś cudem na jej biurku znów urosła spora góra papierów, których przeczytanie zajęło jej dwie godziny. Do domu wróciła późnym wieczorem.

U teściowej światło było zgaszone. Tomek już spał, choć chciała z nim pogadać o mglistych rewelacjach Sylwii na temat testamentu. Chciała się go poradzić. Chciała, żeby poszedł z nią rano do notariusza i żeby był przy niej, gdy ona będzie podejmować decyzję, która jej siostrze przysłała znacznie łatwiej. Od babci nie chciała niczego.

Delikatnie pocałowała męża w usta, ale spał jak zabity.

– Tomek – szepnęła i ostrożnie potrząsnęła jego ramieniem.

Odpowiedziało jej głośnie chrapnięcie.

– Tomek? – powtórzyła, ale on, pogrążony w głębokim śnie, odwrócił się plecami.

Nakrył głowę kołdrą i mruknął coś w proteście.

Magdzie zrobiło się przykro. Chociaż wiedziała, że to normalna reakcja śpiącego, który nie ma zamiaru się obudzić, odebrała ją jak przejaw lekceważenia. Gdyby ostatnio mieli okazję normalnie funkcjonować jako małżeństwo, pewnie nie zwróciłyby na to uwagi, ale teraz jej oczy zaszczyły łzami.

– Nie to nie! – powiedziała oburzona i postanowiła załatwić sprawę we własnym zakresie.

Nazajutrz wstała, zanim Tomek się obudził. Ubrała się elegancko, przygotowała śniadanie dla Leontyny i zaniósła jej do łóżka. Zadowolona zauważyła, że po pierwszej spędzonej w domu nocy na policzkach teściowej pojawił się zdrowy rumieniec.

– Idziesz gdzieś, moje dziecko? – Leontyna z uznaniem otaksowała synową od stóp do głów. – Ładnie wyglądasz.

– Tak, mam. Mam spotkanie w sprawie pracy. Bo wiesz, ta obecna nie jest szczytem marzeń – skłamała gładko Magda.

Uśmiechnęła się szeroko i nie chcąc wdawać się w szczegóły, szybko narzuciła płaszcz i wyszła.

Na zewnątrz oślepiły ją ostre promienie słońca. Magda zmrużyła oczy i dopiero pod światło dostrzegła, jak bardzo brudną ma szybę w samochodzie. Przetarła ją rękawiczką, ale efekt był jeszcze gorszy. Wcześniej brud przynajmniej rozkładał się równomiernie, a teraz przeważały nieregularne szare smugi.

Niech to szlag!, zakląła w duchu i ostrożnie wycofała auto z parkingu. Nie było czasu na dalsze narzekania. Do spotkania u notariusza pozostał zaledwie kwadrans, a Magda miała do pokonania spory kawałek. Po drodze, jak na złość, czerwone światło paliło się na każdym skrzyżowaniu. Gdy już dojechała, trudno było znaleźć miejsce parkingowe, choć w sobotę nie powinno być z tym problemu. Zdyszana Magda wbiegła do kancelarii po czasie.

– No, nareszcie. – Sylwia ostentacyjnie przewróciła oczami.

– Co ty tutaj robisz?

– To samo, co ty.

– Przecież miało cię nie być!

– Zmieniłam zdanie. Notariusz wspominał coś o jakiejś działce budowlanej i od razu pomyślałam o młodym. Grunty zawsze były dobrą inwestycją, więc można tę działkę podzielić i zostawić.

– Już ją podzieliłaś? – zapytała Magda sarkastycznie. – A może najpierw jednak dowiemy się, o co chodzi?

Sytuacja była dziwna, zrobiło się nerwowo.

Sylwia zdradzała niezdrowe zainteresowanie spadkiem, choć przecież obie wiedziały, że babcia nie miała niczego cennego. A przynajmniej nie w czasach, kiedy zajmowała się przetrzebionym majątkiem hrabiego. Jednak teraz notariusz wspomniał Sylwii coś o koniach, więc kto wie, może w międzyczasie dorobiła się paru okazów? Siostry dziwił również fakt, że staruszka o nich pamiętała, tym bardziej że po rozwodzie rodziców zerwała z rodziną wszelkie kontakty. Wprawdzie Sylwia, od zawsze urodzona egoistka, miała w nosie sentymenty, ale z Magdą rzecz miała się zupełnie inaczej. Ona zwyczajnie kochała babcię Fełę, kochała konie, więc wiele ją kosztowało skuteczne wymazanie z pamięci wspomnień z wakacyjnych pobytów w stadninie. Trudno byłoby zliczyć jej listy do babci, które pozostały bez odpowiedzi. To bolało do dziś. Wizyta u notariusza niepotrzebnie rozdrapała stare blizny, ale trzeba było ją odbębnić i zapomnieć o temacie. Dopełnienie formalności nie może trwać długo, pomyślała. Nie, babcia, nie licząc kawałka gruntu, nie miała niczego. A nawet jeśli, nie jest to majątek, o który warto się bić.

– Panie pozwolą, że przejdę do rzeczy – zagaił notariusz.

Przez chwilę grzebał w dokumentach, aż wreszcie wyjął ten, którego szukał, i głośno odczytał jego treść.

– Ale jaja... – Magdzie na moment odebrało mowę. – Jakim cudem?

– A takim, że ten szurnięty hrabia wszystko jej zapisał. A ona zapisała to nam – powiedziała Sylwia.

– A co z naszym ojcem? Przecież to on dziedziczy po matce?

– Syn pani Felicji nie żyje od roku.

W gabinecie zapanowała niezręczna cisza. Notariusz, który nie spodziewał się, że córki nie wiedzą o śmierci ojca, przewidywał jak najgorszy scenariusz spotkania, a przecież śpieszył się na obiad u znajomych i chciał je zakończyć jak najszybciej. Sobotni termin był mu bardzo nie na rękę. Teraz zanosilo się na rodzinny cyrk.

– Aha – skwitowała krótko Magda. – Nie żyje.

– Szkoda, że nikt nas o tym nie poinformował – dodała zjadliwie Sylwia. – Nie żebyśmy bardzo go żałowały, skoro nas skreślił jeszcze w szkole, ale chyba wypadaloby, prawda?

– Drogie panie. W dzisiejszych czasach wcale nie tak prosto odnaleźć człowieka, zwłaszcza jeśli zmienił nazwisko i adres. Dane osobowe są objęte tajemnicą i bez odpowiednich uprawnień można bez skutku bić głową w mur.

– Nie w mojej firmie – bąknęła Magda pod nosem.

– Słucham? – Notariusz nadstawił ucha.

– Nie, nic takiego. Przepraszam. – Magda w porę ugryzła się w język. – Czy możemy przejść do rzeczy?

– Oczywiście. – W głosie notariusza zabrzmiała ulga.

Formalności zajęły mu kwadrans, po upływie którego skinął głową w stronę Magdy.

Za chwilę zaskoczone siostry spojrzały po sobie i poprosiły o chwilę do namysłu.

– Ja tego nie tykam. Jak chcesz, to sobie bierz – powiedziała Sylwia, gdy zostały same.

– Nie mam pojęcia, co to dokładnie jest – odparła Magda. – Jak pamiętam, wszystko było stare, a jakie jest teraz? Kto to wie? Ale uważam, że olanie tego spadku byłoby głupotą, nawet jeśli ona miała hipotekę. – Słowo „babcia” jakoś nie mogło jej przejść przez gardło.

– Nie wiem, jak ty, ale ja nie mam czasu tam jechać. – Sylwia z pogardą wydeła wypełnione botoksem wargi.

– Ja też nie! Ale, kurczę, do Tczewa przecież nie jest daleko. A stamtąd już tylko kawałek drogi.

– To sobie jedź. Ja chcę tylko tę działkę, a ty weź sobie resztę.

– W porządku, tyle że najpierw muszę to wszystko zobaczyć. Ja też nie mam czasu na użeranie się

z komornikiem i bujanie z jakąś ruiną.

– To kiedy jedziesz? Jutro niedziela.

– Nie ma szans. Od wczoraj mam w domu teściową po operacji. Przecież wiesz.

– To może przyszły weekend? Masz rację, w sumie wypadaloby obczaić, co takiego kochana babunia zafundowała nam w spadku. Niezłe jaja, co?

– W porządku, ale jedziesz ze mną. – Magda jasno przedstawiła warunki. – Wyjazd w piątek wieczorem, powrót w niedzielę.

– No dobra, może wszy nas tam nie obleżą – niechętnie zgodziła się Sylwia.

Siostry pożegnały notariusza uśmiechem i w zgodzie opuściły kancelarię.

Sylwia z gracją wskoczyła za kierownicę sportowego bmw. Nie mogła sobie darować, żeby nie obrzucić auta Magdy pogardliwym wzrokiem.

– Może w końcu kupisz sobie coś lepszego – powiedziała z wyższością i uruchomiła silnik.

– Pieniądze szczęścia nie dają – odgryzła się Magda, świadoma kłopotów siostry z Antosiem.

– No, proszę cię! – parsknęła Sylwia, urażona do żywego. – Wiesz co? Może i nie dają, ale skoro już mam płakać, to wolę ryczeć w beemce niż w tramwaju. Pa! – rzuciła obrażona i odjechała w swoją stronę.

Zupełnie jakby zapomniała, że to właśnie ona rozpoczęła tę głupią wymianę zdań.

Magdzie zrobiło się przykro. Jej fiesta miała dopiero trzy lata, sprawowała się bez zarzutu i była spełnieniem marzeń, by mieć auto tylko do własnego użytku. Tomek uwielbiał kombiaki i był zdania, że jeden samochód na rodzinę całkowicie wystarczy, Leontynie nie mieściło się w głowie, że kobieta może mieć takie fanaberie jak chęć posiadania własnych czterech kółek. Bo niby po co? W jej mniemaniu to mężczyzna powinien służyć za kierowcę. Zwłaszcza w niedzielę, do kościoła, ewentualnie na zakupy, do lekarza lub na wakacje, a jej syn podzielał to stanowisko całkowicie. Tymczasem Magda nie potrafiła zrozumieć, dlaczego to ona ma tłuc się komunikacją publiczną, podczas gdy on wygodnie jeździ do pracy autem. Pytany, dlaczego to ona musi rankiem sterczeć na przystanku w oczekiwaniu na tramwaj, Tomek w końcu obiecał, że będzie odwoził żonę do firmy, i Magda pozwoliła się udobruchać. Ale do czasu, bo już po kilku dniach okazało się, że operacja była niewykonalna logistycznie. Żeby zdążyć w oba miejsca, musieli wyruszać w porze największych korków albo grubo przed czasem, co z kolei oznaczało wstawanie przynajmniej o godzinę wcześniej i dużo wcześniejszą obecność w pracy jednego z małżonków. Takie rozwiązanie nie podobało się żadnemu, więc znów było jak dawniej.

Magda cierpliwie znosiła ten stan rzeczy, dopóki nie przemarzła na przystanku i nie złapała zapalenia płuc; po ciężkiej chorobie Tomek w końcu kupił żonie wymarzoną fiestę. Jej radość nie miała granic. Nieważne były utyskiwania teściowej, że dziesięć lat od ukończenia kursu prawa jazdy wystarczy, żeby wszystko zapomnieć. Magda wykupiła po prostu kilka jazd z instruktorem i od nowa nabrawszy pewności, z uśmiechem na ustach zasiadła za kierownicą. Przeżegnała się, zmówiła profilaktycznie zdrowaśkę i ruszyła przed siebie. W końcu czuła się wolna, niezależna i samodzielna. Przysłowiowy wiatr we włosach sprawił, że ze śpiewem na ustach minęła Sopot i Gdynię. W końcu dojechała do Wejherowa i wreszcie uznała, że najwyższy czas zawrócić. Ponieważ obawiała się wykonać oberka na jezdni, zjechała do lasu i rozpoczęła manewr. Jednak mniej więcej w jego połowie, pośrodku leśnego duktu fiesta zakaszłała i silnik odmówił współpracy.

Wzrok Magdy padł na kontrolkę poziomu paliwa. Jeszcze nie tak dawno świeciła się na żółto, pomyślała. Pochłonięta jazdą nie zwróciłam uwagi, że jest czerwona.

– No, pięknie! Ależ ze mnie fujara – mruknęła pod nosem i sięgnęła po telefon.

Była pewna, że Tomek zamorduje ją za przymusową wycieczkę na odludzie, ale nie miała wyjścia.

Komórka zapikała trzykrotnie i zgasła.

Klnąc jak furman, Magda wysiadła i stanęła na poboczu, przekonana, że inni kierowcy wezmą ją za początkującą tirówkę. Istotnie, kilku pomachało do niej, ale nie zatrzymał się żaden. Po kwadransie bezowocnych wysiłków z lasu dobiegł ją głośny dźwięk klaksonu.

Pobiegła w stronę auta.

Tuż obok fiesty stał ciągnik, wypuszczając w powietrze kłęby czarnego dymu.

– Boże! Z nieba mi pan spadł! – zawołała Magda.

– Paaani, kto to widział tak stawać? – Brzuchaty traktorzysta poskrobał się po głowie.

– Zawracałam i zgasł mi samochód. Skończyło mi się paliwo. Może mi pan odstąpić trochę?

– To ropniak?

– Tak! – zapewniła go Magda. – Pomoże mi pan?

– Chyba będę musiał – burknął grubas niechętnie i pogrzebał w schowku.

Na szczęście znalazł tam odpowiednio długi wężyk i wkrótce fiesta była na nowo gotowa do jazdy. Uszczęśliwiona Magda zapłaciła mężczyźnie i z duszą na ramieniu ruszyła na stację benzynową. Zadowolona, że jej mąż nie dowie się o niczym, wróciła do domu, gdzie czekała ją ostra reprimenda. Że tak długo jej nie było, że dzwoniąc, napędziła mu stracha, że nie odbierała telefonu, że Tomek się martwił, że...

– Dobrze, już dobrze – przerwała te żale. – Przepraszam. Wiem, że się martwiłeś, ale rozładował mi się telefon, a pojechałam na dłuższą przejażdżkę. Wiesz, tak się cieszę, że zapominam o bożym świecie. – Oczy Magdy skrzyły się szczęściem.

– A jak ci się jeździ?

– Świetnie. Super, że mam tę fiestę! – Magda wspięła się na palce i rozradowana zarzuciła Tomkowi ręce na szyję. – Dziękuję!

Fakt, że wymogła na rodzinie zakup samochodu, potraktowała wówczas jak swój osobisty sukces. Niestety, wkrótce jej motoryzacyjna niezależność stanęła pod znakiem zapytania.

Trzyletnie nieduże auto stosunkowo łatwo sprzedać. Jest jeszcze sporo warte, więc gdy tylko pojawił się problem z długami Leontyny, temat wypłynął natychmiast.

– Co takiego? – Magda zamarła z łyżką ogórkowej w pół drogi do ust.

Zupa zachlapała obrus.

– Spokojnie, kochanie – powiedział uspokajająco Tomek. – To tylko rozwiązanie tymczasowe. Minie kryzys, to kupimy coś innego. No, może trochę tańszego. Ale sama widzisz, jak jest.

– Zwłaszcza że nie pracujesz. – Leontyna nie byłaby sobą, gdyby nie wtrąciła swoich trzech groszy.

Magda aż się skuliła na myśl, że może stracić ukochane autko.

– Ale w każdej chwili mogę zacząć – powiedziała z mocą, choć miała świadomość, że decyzja już zapadła.

Tomek miał maksymalne zniżki na ubezpieczenia komunikacyjne, zatem fiesty nie opłacało się rejestrować na Magdę. Poza tym, jako prowadzący działalność gospodarczą, utrzymanie samochodu wpuszczał w koszty. Z rozsądku i dla oszczędności samochód zarejestrowano na niego, więc mógł z nim zrobić, co chciał. Magda nie miała wątpliwości, że na pomysł wpadła Leontyna, a Tomek działał za jej namową i błogosławieństwem. Nie dość, że to teściowa narobiła długów i była wyłączną winowajczynią, to jeszcze miała czelność się szarogęsić i dyktować warunki! Magda buntowała się w duchu, choć i tak wiedziała, że z tą dwójką nie wygra. Prędzej czy później i tak przekabacą mnie na swoją stronę, dumiała. Użyją rozsądnych argumentów, przy których ten, że po prostu wolę samochód od tramwaju, będzie graniczył z idiotyzmem głoszonym przez niewrażliwą i pozbawioną rozsądku egoistyczną flandrę.

Westchnęła z rezygnacją i niemal pogodziła się z sytuacją, gdy na horyzoncie pojawiła się nowa praca.

W dodatku oferująca ją firma leżała na przedmieściach, więc posiadanie auta stanowiło absolutną konieczność. Magda była uratowana. Przynajmniej chwilowo wytrąciła z ręki broń dwójce spiskowców. Nawet perspektywa zamiany mieszkania na mniejsze i wspólnego gospodarstwa z chorą teściową nie zabolą jej tak jak możliwość utraty fiesty.

Nawet przez chwilę.

Rozdział 6

Mój Boże, toż to wspaniała wiadomość! – Leontyna aż podskoczyła na dźwięk słowa „spadek”.

A gdy usłyszała, co ma odziedziczyć synowa, zaczęła teatralnie wachlować się gazetą.

– Kochanie, dlaczego nic mi nie powiedziałaś? – W tonie głosu Tomka Magda wyczuła lekką nutę pretensji.

– Próbowałam wielokrotnie, ale jakoś nam w ostatnich dniach nie było po drodze. Wczoraj byłam w notariacie, a dopiero dziś mamy okazję pogadać.

Nie chciała o sprawie rozmawiać przez telefon, zwłaszcza że miała nadzieję, że w sobotę Tomek wcześniej skończy pracę. Marzyła, żeby pójść z nim na spacer, jak dawniej, i w jakichś romantycznych okolicznościach opowiedzieć mu o testamencie, ale nadzieje okazały się płonne – jej mąż wpadł jak po ogień na obiad i z powrotem pognął do apteki. A wieczorem wrócił do domu w towarzystwie znajomego ze szkoły, którego spotkał przypadkiem.

Kolega okazał się sympatycznym człowiekiem, za to nieziemskim gadułą. Usta mu się nie zamykały, a że wiele ostatnio podróżował, miał o czym mówić. Przy okazji obszernie streścił swój życiorys, prywatny i zawodowy. W okolicy dwudziestej drugiej Magda zaczęła ziewać, ale gość nie pojął aluzji. Mając świadomość, że popełnia faux pas, gospodyni wykręciła się bólem głowy i rozczarowana poszła spać.

Pełna wrażeń nie mogła zasnąć. Próbując sobie przypomnieć jak najwięcej z wakacji spędzonych u babci, długo przewracała się z boku na bok. Udało się dopiero po północy, z chwilą, w której za gościem zamknęły się drzwi. A że panowie zdołali osuszyć butelkę whisky, następnego ranka Tomek znów miał problemy ze wstawaniem.

Znienawidzona woń niestrawionego alkoholu sprawiła, że Magda wstała z łóżka wściekła. Ubrała się i poszła na spacer, po drodze wstępując do kościoła. Wcale nie miała zamiaru tam iść, ale nogi zaniósły ją same.

Właśnie rozpoczęła się poranna msza, więc usiadła w ostatniej ławce i z przyjemnością chłonęła spokojną atmosferę starej świątyni. Nie pamiętała, kiedy ostatnio była w podobnym przybytku, chyba na ślubie kogoś z rodziny. Jej mąż, w przeciwieństwie do swojej matki, nie zaliczał się do grona ludzi pobożnych. Odkąd się pobrali, Magda przestała uczęszczać na nabożeństwa.

Zamyślona, kątem oka dostrzegła jakiś ruch – od konfesjonału właśnie odchodziła zapłakana młoda kobieta. Magda odruchowo zajęła jej miejsce. To był impuls, moment, w którym człowiek, nie myśląc, instynktownie robi rzeczy, których nie zrobiłby normalnie.

– W imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego. Ostatni raz byłam u spowiedzi świętej... – Zrobiła pauzę, żeby policzyć lata. – ...nie pamiętam kiedy. Obraziłam Boga następującymi grzechami – zamilkła ponownie.

– Tak? – Zza drewnianej kratki rozległ się ciepły głos, zachęcający do zwierzeń.

– Poza tym, że nie pamiętam, kiedy byłam u spowiedzi, i że nie chodziłam do kościoła, to właściwie nie zrobiłam niczego złego. Proszę księdza, aż mi głupio, ale żaden ze mnie grzesznik.

– Zapamiętaj, moje dziecko, że jedna nawrócona owieczka jest warta po stokroć więcej od szwadronu zakłamanych dewotek z pierwszej ławki. Co z tego, że one modlą się ramię w ramię, skoro gdy tylko

wyjdą z kościoła, od razu skaczą sobie do gardeł. Żadna z nich różańca z ręki nie wypuszcza, a w domach istne piekło. To nie o to chodzi, wierz mi. Jemu zależy na czymś zupełnie innym. – Kapłan znacząco zerknął w górę.

– A na czym? – zapytała infantylnie zaskoczona Magda.

– A na tym, żeby ludzie byli dobrzy. Nie krzywdzili bliźnich i nie obrażali Boga. On oczekuje szczerości, a nie podpisania listy obecności na roratach i niedzielnej mszy. Niemniej jednak coś musiało cię skłonić do dzisiejszej wizyty. – Ksiądz zmienił temat.

– Cóż, właściwie tak. Tyle że ma to niewiele wspólnego z Kościołem.

– Śmiało. Mamy czas – powiedział kapłan. – Teraz będzie kazanie, a nasz proboszcz to straszny głąd. Ma sklerozę i nie pamięta, co powiedział przed chwilą, więc w kółko gada o tym samym, a ludzie przysypiają.

Rozmowa z duszpasterzem bardzo Magdzie pomogła, choć ona sama nie przestawała się dziwić przebiegowi poranka. Wyszła z domu nabuzowana złością i gotowa do wystrzału, niczym naładowana strzelba, a wychodziła z kościoła na całkowitym luzie. Dało jej to do myślenia. Nigdy nie przypuszczała, że zwykła rozmowa – bo tak właśnie potraktowała spowiedź – może rozładować tak wiele emocji i napięć. Na koniec podziękowała księdzu i obiecała zaglądać do świątyni raz na jakiś czas.

Wracając do domu, czuła się lekka jak piórko. Już dawno nie było jej tak dobrze i błogo. Gdyby wcześniej miała choć cień przypuszczenia, że spontaniczna wizyta w miejscu kultu podziała na nią jak balsam, odwiedziłaby je już dawno. Teraz, w przerwie pomiędzy zupą a drugim daniem, oznajmiła rodzinie o spadku i z uwagą odnotowała reakcje. Na twarzach domowników odmalowały się emocje, które ją zaskoczyły. Spodziewała się czegoś innego niż dziwny grymas męża i jego urażony ton.

– Och, synku, nie miej pretensji do Madzi – powiedziała Leontyna. – Przecież to wszystko musi być wiele warte. A jak to sprzedamy, załatwimy wszystkie nasze problemy.

– Mamo, jeszcze nic dokładnie nie wiadomo, nie licząc faktu, że mnie i Sylwii zapisano w spadku nieruchomość obciążoną hipoteką – tonowała nadzieje Magda. – Ostatni raz byłam tam w podstawówce i niewiele pamiętam. Poza stajniami i końmi.

– O! Przecież konie też można sprzedać! To doskonała inwestycja. Józia, wiecie, ta moja znajoma, w młodości często bywała na Służewcu. Uwielbiała wyścigi konne i chyba się zna. – Markotna w ostatnich dniach, teściowa ożywiła się wyraźnie.

– Niech się mama za bardzo nie nastawia, bo ja nawet nie wiem, co to za konie. Muszę tam pojechać i osobiście to wszystko ocenić. Ale tak czy siak, jestem pewna, że wyścigowych rumaków tam nie uświadczy.

– Jak to: nie uświadczy? To co to za stadnina? – obruszyła się Leontyna, która oczami wyobraźni widziała się już na wyścigach rangi Ascot albo przynajmniej Gałkowa.

Magda mogła iść o zakład, że już nawet wybrała odpowiednie nakrycie głowy.

– Mamo, nie dzielmy skóry na nieupolowanej zwierzynie – studził matczyne emocje Tomek, mimo że i on czuł podekscytowanie.

Jego żona nigdy wcześniej nie wspominała ani o babci, ani o koniach.

A gdyby tak udało się sprzedać stadninę?, pomyślał mimowolnie. Od razu byłoby lżej, stwierdził i przystąpił do opracowywania planu działania.

– To kiedy tam jedziemy? – zapytał.

– Ja bym pojechała już dzisiaj – rzuciła Leontyna, niby od niechcienia, choć wyraźnie zapalona, żeby wszystko zobaczyć na własne oczy. Sprawiała wrażenie, że do wieczora skłonna jest wyzdrowieć całkowicie. – A gdzie to w ogóle jest?

– Nie pamiętam dokładnie, ale gdzieś niedaleko Tczewa. W Pieńkach. Jakaś godzina jazdy stąd. Tyle że

ja nie mogę jechać w tygodniu. Tomek też nie. Sylwia ma zajęty cały nadchodzący tydzień. Jakaś ważna konferencja i międzynarodowe targi. Musimy poczekać do weekendu.

– W takim razie jedziemy na weekend – podsumowała teściowa.

– Wolałabym pojechać tam sama – zaprotestowała Magda słabo.

Wcześniej długo myślała o wyprawie do Pieniek. Obawiała się, że przyczajone od dawna emocje zniecka dojdą do głosu, i na tę okoliczność chciała być wyłącznie sama ze sobą. Sylwia na pewno zadekuje się w tamtejszym domu, pomyślała, albo w samochodzie i będzie coś robić na tablecie.

Tak. Magda zdecydowanie chciała być sama.

– Jak to? Nie życzysz sobie naszego towarzystwa? – zdziwił się Tomek.

Wymownym spojrzeniem odprowadził znikającą w przedpokoju matkę. Leontyna zaprezentowała filmowego focha numer cztery i obrażona poszła do siebie.

– Wiesz, jakoś tak...

– Daj spokój. Nie zauważyłaś, jak mama jest podekscytowana?

– Zauważyłam. – Magda skinęła głową.

Już wiedziała, że przegrała po raz kolejny. Wiedziała, że zaraz usłyszy coś o motywacji wspomagającej leczenie raka i o tym, że starszym ludziom się nie odmawia.

– No dobra, pojedziemy wszyscy. Ale co z twoją pracą?

– Coś wymyślę. – Tomek objął żonę w pasie. – Dni są coraz dłuższe, więc w piątek urwę się wcześniej i pojedziemy tam już wieczorem. Zaraz poszukam jakiegoś noclegu – wymruczał jej do ucha i pocałował czule.

– Naprawdę nie możemy pojechać tam sami? – zapytała z żalem Magda.

Wystarczyła myśl o takiej możliwości, by zrobiło się jej przyjemnie gorąco, ale Tomek miał na ten temat inne zdanie.

– A niby jak ty to sobie wyobrażasz? Zostawimy mamę samą na tyle czasu? To byłoby bardzo nieodpowiedzialne. Jest świeżo po poważnej operacji, a ty chcesz ją pozbawić naszej opieki?

– Energii na fochy i ploty jakoś jej nie brakuje. Poza tym ma przecież panią Marię.

– Oj, Madziu! Ten wyjazd świetnie jej zrobi. Nam też. Świeże powietrze. Wiosna. Wiesz, jaka to dla niej atrakcja?

– Wiem – przyznała wbrew sobie Magda i odpuściła dalsze komentarze.

Postanowione, a ja nie wskóram niczego, westchnęła w duchu.

– Wiem, że wiesz. Grzeczna dziewczynka – powiedział Tomek i wziął żonę na ręce.

Obsypał jej twarz pocałunkami. W sypialni. Magda w końcu pozwoliła się pocieszyć.

Po godzinie uśmiechnęła się do swojego odbicia w łazienkowym lustrze.

A w sumie, co mi tam!, machnęła ręką. Może to nawet i lepiej, że pojedziemy wszyscy. Sylwia pewnie będzie marudzić przez cały czas i robić łaskę, że marnuje weekend we własnym interesie, to niech oni też tego posłuchają, pomyślała i poszła pod prysznic, by zmyć z siebie zapach małżeńskich igraszek.

Jak zwykle wcześniej okazało się, że w ramionach męża traci zmysły i w jednej chwili zamienia się w mięką i uległą substancję, którą daje się formować jak ciepłą plastelinę. Nieraz żałowała, że udaje mu się ją namawiać na pewne posunięcia. Mnóstwo razy zarzekała się w duchu, że poddaje się po raz ostatni, tyle że na tym się kończyło. Starła się być konsekwentna. Starła się wytrwać w postanowieniu. I zwykle świetnie jej szło, ale tylko do następnego razu, kiedy Tomek brał ją w ramiona. Była jak alkoholik albo narkoman, gotów na wszystko dla kolejnej dawki cudownej używki. Zdawała sobie sprawę z tego uzależnienia, ale było jej z nim po prostu dobrze. W jego objęciach topniała. W chwilach uniesień miała wrażenie, że traci kości i zmienia się w gibką szmacianą lalkę.

Wyrzuty sumienia dopadły ją i teraz, ale w końcu uznała, że nie ma co sobie zawracać głowy takim

drobiazgiem. Pomysł wspólnej wyprawy wcale nie był taki zły; w końcu czekało na nią niemal nieznaną i od lat obce miejsce. Nie była wcale pewna, czy w stadninie zostanie przyjęta przyjaźnie. Nie miała pojęcia, czy będzie tam bezpieczna. To właśnie ten ostatni argument, którego użył Tomek, przekonał Magdę ostatecznie. Wiedziała, że na Sylwię nie ma co liczyć. Co prawda jej siostra od zawsze nosiła przy sobie paralizator, a w aucie dodatkowo wozila gaz pieprzowy, ale Magda była pewna, że gdyby doszło do czegokolwiek, Sylwia straciłaby głowę. Do tego stopnia, że zapomniaby, gdzie trzyma te dziwne przedmioty. Chociaż i tak w sytuacji zagrożenia zapewne obawiałyby się ich użyć.

– I co? Jakoś wytrzymamy tych kilka dni, prawda, kochanie? – zagadnął Tomek i władczym gestem przygarnął żonę.

Magda mruknęła coś niewyraźnie i skinęła głową.

– Dlaczego nigdy nawet nie wspomniałaś, że masz babcię w stadninie? – ciągnął.

– Bo nie miałam ochoty o niej mówić. Wraz z odejściem ojca odeszła i ona. To nic miłego, kiedy zostawia cię ktoś, kogo bardzo kochasz. Byłam wtedy taką szczególnie wrażliwą małolatą i strasznie to przeżyłam.

– A konie? Potrafisz jeździć konno? – dopytywał Tomek.

– Kiedyś potrafiłam co nieco. Robiłam nawet postępy, choć do biegłości było mi daleko.

– To pewnie tak jak z jazdą na rowerze?

– Może coś tam jeszcze pamiętam, choć kiedyś z premedytacją odciąłam się od tematu. Zbyt wiele było wspomnień, których nie chciałam mieć. A wiesz, jak to jest? Im bardziej starasz się nie pamiętać, tym bardziej wszystko wokół nie pozwala ci zapomnieć. Wystarczyło, że jadłam kanapkę z szynką, a w mojej głowie od razu pojawiała się kiełbasa. W sekundę jej miejsce zajmowało salami, a stąd już blisko do osła. A osioł...

– A osioł to już prawie jak koń – dokończył Tomek i się roześmiał. – No to zobaczmy! Umieram z ciekawości i wcale nie chce mi się czekać.

– Nie masz wyjścia. – Magda ziewnęła szeroko i mocniej wtuliła twarz w ramię męża.

Ponieważ czekała ją pobudka o świcie, jej oczy zaczęły zamykać się same, ale Tomek najwyraźniej miał inne plany. Nie pozwolił żonie zasnąć aż do północy. Dopiero o tej porze Magda, zmęczona, ale zaspokojona i szczęśliwa, zasnęła w pół słowa.

Rankiem obudziło ją energiczne szarpanie za ramię.

– Magda! Dlaczego nie wstajesz? Już ósma! – Jak przez mgłę usłyszała głos męża.

– Boże! – Wyskoczyła z łóżka jak oparzona. – Nie słyszałam budzika!

– Dzwonił, ale go wyłączyłaś. I powiedziałaś, że już wstajesz.

– Nic podobnego! – zaprotestowała Magda, szamocząc się z nocną koszulką. – Niech to cholera! Nie zdążę do pracy! Szlag!

Ubrała się pośpiesznie, nie zwracając uwagi, czy poszczególne części garderoby do siebie pasują, błyskawicznie wyszorowała zęby. Nie mając już czasu na makijaż, wrzuciła kosmetyczkę do torby i wybiegła na klatkę schodową. Jak na złość przywołana winda zatrzymywała się na każdym piętrze, więc Magda zrezygnowała z czekania i zbiegła na dół po schodach. Z rozmachem cisnęła torebkę na fotel pasażera i z piskiem opon ruszyła spod bloku, licząc, że po drodze nie będzie korków, a na czerwonym świetle zdąży przynajmniej wytuszyć rzęsy. Jak to zazwyczaj bywa, trafiła na zieloną falę i zaparkowała pod biurem szybciej niż zwykle. Zdyszana wpadła do firmy i odbiła kartę zegarową dosłownie w ostatniej minucie.

Niezawodna Marlena czekała już z kawą i najnowszymi wieściami na temat szafy.

– Nie wiem, co zrobiłaś naszemu staremu, ale dzwonił przed chwilą i kazał mi za nią zapłacić bez swojego podpisu – powiedziała.

– Poważnie? – ucieszyła się Magda.

– Tak. Pod warunkiem, że zmieścisz się w dwóch stówkach.

– A gdzie on widział szafę za dwie stówki?

– Nie wiem. Poszukaj. – Marlena puściła oko i wyjęła z szuflady lusterko. – Masz, dokończ makijaż.

A ja skoczę do kantyny po kanapki.

Magda, zadowolona z obrotu sprawy, starannie rozprowadziła na twarzy płynny puder, a powieki podkreśliła delikatnym popielatym cieniem. Całkiem niedawno nauczyła się robić przydymione oko, ostatnio swoją ulubioną wersję makijażu. Wcześniej myślała, że to trudne, ale odkąd zauważyła, że cała filozofia polega na starannym roztarciu cienia specjalnym pędzelkiem, w krótkim czasie stała się specjalistką.

– No, no. Nieźle – mruknęła z uznaniem Marlena, kładąc na biurku kanapki z szynką i żółtym serem. –

A może pomalowałabyś mnie w sobotę? Idę na wesele kuzynki.

– Z chęcią. Tyle że wyjeżdżam na weekend już w piątek.

– Gdzieś daleko?

– W okolicy Tczewa. A wracam dopiero w niedzielę. Zatem cię nie pomaluję, ale mogę cię nauczyć.

Chcesz? To naprawdę nic skomplikowanego.

Korzystając z nieobecności szefa i chwili luzu, Magda wyedukowała koleżankę w temacie zakupu odpowiednich pędzelków i cieni. Na koniec obie ustaliły, że nazajutrz zjawią się w pracy nieumalowane i wtedy Marlena zostanie przeszkolona. Przez nikogo nie niepokozone szybko wyrobiły się z obowiązkami i zakończyły dzień wspólnym obiadem w pobliskiej jadłodajni. W okolicy znajdowało się kilka podobnych pod względem wielkości sporych firm, więc taki lokal z domowym jedzeniem okazał się strzałem w dziesiątkę. Wprawdzie wybór potraw nie porażał, ale każdego dnia w menu znajdowały się co najmniej trzy dania główne. Do tego minimum dwie zupy, deser i coś przystawkowego na ząb, dla mniej głodnych. Niskie ceny gwarantowały dużą frekwencję, a frekwencja gwarantowała świeżość. Z takimi zestawami i wcale niezłym szefem kuchni całość funkcjonowała jak dobrze naoliwiona maszyna.

Magda nieraz z zazdrością spoglądała na właścicieli stołowego biznesu. Starsze małżeństwo stanowiło nierozłączną i dość malowniczą parę. On postawny i szpakowaty, w ruchach zdradzający wojskowe nawyki, ona siwiuteńka jak gołąbek, apetyczna i tryskająca pozytywną energią. Każdy ich przyjazd niezmiennie kończył się wspólnym obiadem dla wszystkich – personel opuszczał stanowiska pracy i niemal w komplecie, wraz z właścicielami, zasiadał do stołu. Na posterunku pozostawał jedynie ktoś w kuchni i przy kasie, na wypadek gdyby w lokalu zjawił się głodny klient.

Magdzie bardzo podobała się ta praktyka. Szacunek okazywany wszystkim pracownikom, nawet tym najniżej uposażonym, na najniższych stanowiskach w firmowej hierarchii, był w jej środowisku tak niespotykany, że często celowo przychodziła wtedy do jadłodajni. Żeby nie sprawiać kłopotu, zadowalała się gotowym jedzeniem z bema lub sałatką i z przyjemnością obserwowała rytuał.

Teraz właśnie trafiły nań z Marleną, więc bez grymaszenia ustawiły na tacach kolorowe sałatki i coś słodkiego. Przesunęły się w stronę kasy. Magda stuknęła dłonią w metalowy dzwonek, żeby przywołać kogoś z obsługi.

– To już wszystko dla pani? Czy mogę zaproponować coś jeszcze? Może kompot? – Ponad głową usłyszała niski głos.

Zaskoczona podniosła wzrok i zamarła w połowie wdechu. Właściciel klasycznego basowego brzmienia miał tak niezwykle oczy, że Magda chwilowo zapomniała, jak się nazywa. Stałowoszare tęczówki, idealnie zgrane ze śniadą opalenizną, spoglądały z taką intensywnością, że na moment zapomniała języka w gębie. Na ziemię sprowadził ją dopiero dyskretny kuksaniec koleżanki.

– Widziałas to ciacho? – wyszeptała Magda zaraz po odejściu od kasy.

– Masz mnie za ślepa? – zachnęła się Marlena. – Oczywiście, że widziałam. To syn właścicieli.

Niedawno wrócił z zagranicy.

– Skąd?

– Z Włoch. Podobno ma tu otwierać sieć pizzerii. Słyszałam, że to w prezencie dla rodziców. We Włoszech ma żonę z jakiejś kucharskiej rodziny. On sam wyssał sztukę kulinarną z mlekiem matki, więc było im bardzo po drodze.

– A ta żona? Widziałaś ją? – Magda zbyt późno ugryzła się w język.

Koleżanka rzuciła jej czujne spojrzenie.

– Widziałam. A co? Jesteś nim zainteresowana? – Skrzywiła się zabawnie.

– Nie bądź głupia! – Magda parsknęła śmiechem. – Przecież ja mam męża.

– I co z tego? Według statystyk co druga ma. I co druga z tych, co ma, zdradza. Jednak nasz jasnooki Wojciech nie może się opędzić od wielbicielek. Zatem na wypadek gdybyś była zainteresowana, musisz liczyć się z faktem, że przyjdzie ci ustawić się na końcu długiej kolejki chętnych.

– Głupia ty! – roześmiała się Magda i omal nie zakrztusiła ziarnkiem kukurydzy.

Rozdział 7

Piątkowy popołudniowy korek trochę zbyt długo przytrzymał Magdę w Gdańsku – zanim udało się jej wyjechać na zatłoczoną obwodnicę Trójmiasta, minęła ponad godzina.

Właśnie nastąpiła wieczorna szarówka. Magda, która nigdy nie lubiła tej pory dnia, dla dodania sobie animuszu znalazła w radiu stację nadającą muzykę disco polo i mocniej nadepnęła na pedał gazu. Wcześniej wklepała w nawigację docelowy adres, więc upewniła się tylko, że podąża we właściwym kierunku. Głęboko wciągnęła powietrze i powoli wypuściła je z płuc.

Wszystko poszło nie tak, jak planowano. Niespodziewane obowiązki uziemiły Tomka w pracy na piątkowy wieczór i całą sobotę, w związku z czym do Tczewa nie wybrała się również Leontyna. Choć miała ogromną ochotę, uznała, że stan jej zdrowia nie pozwala na wyjazd w jakąś głąsę bez ukochanego synka. Magda, jako osoba zawsze pragnąca dogodzić wszystkim, pomyślała o zmianie terminu, ale notariusz nie zgodził się w nieskończoność czekać na decyzję. Nie było co dłużej zwlekać.

Magda uznała, że najlepiej będzie zabrać się do stadniny beemką Sylwii, ale i tu czekała ją niespodzianka.

– Nie mogę jechać – oznajmiła siostra bez słowa wyjaśnienia.

– Jak to: nie możesz? Przecież umawialiśmy się inaczej.

– Posypał mi się cały plan. Naprawdę, nie dam rady. Jedźcie beze mnie i obadajcie teren. W razie czego podskoczę tam któregoś dnia po pracy. Ale nie w ten weekend.

– No to pięknie. Wszystko na mojej głowie. Noclegi są zaklepane, a tobie podobno zależy na działce.

Fakt, że materialistycznie nastawiona do życia Sylwia nie ma ochoty osobiście przypilnować własnego interesu, wywoływał zdziwienie, ale w końcu stanęło na tym, że Magda uda się na miejsce już w piątek, a jej siostra wpadnie do Pieniek w sobotę. I zobaczy tę nieszczęsną działkę na własne oczy.

Fiesta sprawnie wyprzedziła sznur wlokących się ciężarówek i Magda odpuściła trochę z gazu. Nigdy nie przepadała za jazdą po zmroku, lecz teraz, niespodziewanie, samotna wyprawa w nieznaną zaczęła się jej podobać. Skupiona na drodze, bezwiednie uruchomiła wspomnienia. To dziwne, że dopiero teraz pozwalam sobie na przywołanie obrazów z tamtych lat bez obawy, że zabolą, pomyślała.

Drogi ubywało, a wraz z nią z minuty na minutę zmniejszał się dystans dzielący Magdę od resztek wspomnień z dzieciństwa. Dla zachowania psychicznej higieny skoncentrowała się na myśleniu, co jest do ustalenia w najbliższych dniach. Długo zastanawiała się, czy powinna uprzedzić kogoś o swoim przybyciu, ale nawet gdyby chciała to zrobić, nie miała pojęcia, do kogo zadzwonić. Rzecz jasna, usiłowała zdobyć jakiś namiar telefoniczny lub mejlowy, więc skrupulatnie przeczesła internetową wyszukiwarkę, ale bezskutecznie. Znalazła przy okazji kilka pojedynczych wpisów dotyczących stajni, lecz opinie na temat obiektu były niezbyt konkretne i mało pochlebne. Tomek zarezerwował noclegi w pobliskim hotelu, więc jechała na pewniaka, choć z duszą na ramieniu, że majątek zostanie zamknięty na głucho. Notariusz nie potrafił udzielić jej jakichkolwiek informacji, ale postanowiła nie martwić się na zapas.

Myśli pochłoneły ją tak bardzo, że droga do Tczewa przeleciała w okamgnieniu.

W ostatnich latach miasto bardzo się rozrosło. W okolicy wybudowano całkiem nowe jezdnie, ronda

i rozjazdu, więc Magda całkowicie zdała się na głosowe polecenia nawigacji. W końcu szczęśliwie dotarła do celu. Pieńki od zawsze były wyłącznie niedużą wsią, nawet i teraz, po tylu latach, niewiele się tutaj zmieniło. Zanim Magda zatrzymała się na hotelowym parkingu, pomimo ciemności zauważyła kilkanaście całkiem nowych domów tam, gdzie kiedyś rosło zboże. W miejscu, w którym teraz stał hotel, ongiś pływały kaczki. Ktoś musiał poczynić naprawdę okazałą inwestycję, żeby osuszyć staw i przygotować podmokły teren pod budowę tak dużego obiektu.

Sam hotel prezentował się więcej niż nieźle. Aż prosiło się o stwierdzenie, że ze swoją elegancką i efektownie oświetloną fasadą kompletnie nie pasuje do otoczenia. Magda wysiadła z samochodu i z aprobatą otaksowała zadbaną roślinność – podświetlone od spodu iglaki, w różnych odcieniach zieleni, na tle zadbanego trawnika prezentowały się nadzwyczaj efektownie. Od drzwi hotelu dzieliło ją kilka kroków, gdy czujny portier skłonił się gorliwie i przejął jej niewielką walizkę. Scenka była tak przerysowana, że Magdzie zachciało się śmiać. Rozbawiona zameldowała się w recepcji i korzystając z uprzejmości młodej recepcjonistki, próbowała wypytać ją o stadninę położoną dosłownie po sąsiedzku. Niestety, dziewczyna dojeżdżała do pracy z Tczewa i nie posiadała żadnej wiedzy na ten temat. Powiedziała jednak, że hotelowi goście korzystają niekiedy z przejazdów.

– Czy ma pani może numer telefonu sąsiadów?

– Oczywiście.

Dziewczyna skłoniła się uprzejmie, przewertowała notes i po minucie na blacie leżała zapisana karteczka z hotelowym logo. Magda podziękowała i poszła do swojego pokoju, pod którego drzwiami stał już portier, wyraźnie oczekujący napiwku. Ponieważ nie spodziewała się, że w Pieńkach koło Tczewa doświadczy takiej jakości obsługi, wcześniej nawet przez myśl jej nie przeszło, że może potrzebować drobnych. W portfelu miała całe sto złotych, a na taką sumę starania portiera nie zasługiwały. Podziękowała mu zatem uprzejmie i zapewniła, że zrewanżuje się później, bo chwilowo nie jest przygotowana.

Weszła do pokoju i rozmasowała ścierpnięte od siedzenia w aucie plecy.

Nakryte złotą narzutą łóżko kusiło komfortowym odpoczynkiem, ale Magda była tak głodna, że najpierw postanowiła coś zjeść. Dochodziła dopiero dwudziesta i w restauracji nie było zbyt wielu gości. Ogromne pomieszczenie aż ociekało przepychem. Wykończone na złoto sklepienia, brokatowe obicia krzesel i wykwinna zastawa musiały wzbudzać uznanie.

Fiu, fiu, kurde, ale barok, pomyślała Magda, bacznie rozglądając się wokół. W dzinsach i w codziennym sweterku poczuła się tutaj nie na miejscu. Wnętrze onieśmiało i nawet jeśli ocierało się o granicę przesady i kiczu, robiło wrażenie. Projektant bardzo konsekwentnie zrealizował własną wizję i za efekt końcowy należały mu się oklaski, co nie zmieniało faktu, że Magda miała wrażenie, że nie pasuje do całości. Zupełnie jakby przyszła na bal sylwestrowy w czepku i kostiumie kąpielowym. Z karty dań również zalaływało luksusem, choć łatwo można było zorientować się, że w większości przypadków pod wykwintnie wycudowanymi nazwami kryją się całkiem zwyczajne potrawy, a elegancko brzmiące nazewnictwo ma jedynie uzasadniać wysokie ceny. Ponieważ Magda uwielbiała owoce morza, wypytała kelnera o krewetki serwowane z waniliową oliwą i zamówiła je, doszedłszy do wniosku, że od święta może sobie pozwolić. Już w trakcie konsumpcji zorientowała się, że uzyskanie tego niespotykanego połączenia to nic nadzwyczajnego. Oliwę, w której namacza się laskę wanilii, wystarczy połączyć z czymś, co teoretycznie kompletnie nie pasuje. Tak właśnie przyrządza się ekskluzywne kulinarne hity na miarę telewizyjnego kuchennego show, pokiwała głową.

Odpuściła sobie zupę i zdecydowawszy się na comber z królika w warzywach, zamówiła lampkę wina. Nie miała pojęcia, które może pasować do króliczego mięsa, więc zdała się na kelnera, przy okazji uniemożliwiając mu przydługą recytację karty win, charakterystyk poszczególnych szczepów,

nasłonecznienia stoków oraz chodliwości roczników. Pomodliła się w duchu, żeby nie zapłacić za kolację połowy miesięcznej pensji, i zadowolona zabrała się do jedzenia, w którym przeszkodził jej szef kuchni, pytając z troską, dlaczego nie zdecydowała się na zupę. Magda z wdziękiem wykręciła się obawą o przejedzenie, lecz kucharz obiecał, że następnego dnia poczęstuje ją swoją ulubioną, o tajemniczej nazwie. Oczywiście na własny koszt.

Rozbawiona, ponownie przekroczyła próg pokoju i niemal natychmiast sprowadził ją na ziemię terkot telefonu. Uprzytomniła sobie, że z nadmiaru wrażeń zapomniała zadzwonić do męża i zameldować, że wszystko jest w porządku, a ona sama szczęśliwie dotarła na miejsce. Na wyświetlaczu widniało siedem nieodebranych połączeń.

– Cześć, już jestem.

– Dopiero teraz dojechałaś? – W głosie Tomka dawało się wyczuć wyraźną nutę pretensji.

– Nie, trochę wcześniej. Ale rozładował mi się telefon, a w międzyczasie postanowiłam coś zjeść. Jakieś wieści? Jak mama?

– Normalnie. Dziś zdążyła już umrzeć ze dwa razy, żeby wcześniej wyciągnąć mnie z pracy, ale się nie dałem. Sąsiadka z dołu na szczęście nie potwierdziła zgonu, więc wciąż siedzę w robocie.

Magda uwielbiała to wisielcze poczucie humoru, toteż jeszcze chwilę po zakończeniu rozmowy uśmiechała się pod nosem. Później zgasiła światło i podeszła do okna.

Na zewnątrz było już całkiem ciemno, jedynie wschodzący nad lasem księżyc rzucał na okolicę bladą poświatę. Po chwili wzrok przywykł jednak do ciemności i Magda zaczęła dostrzegać szczegóły. Okoliczne drzewa jeszcze nie zdążyły pokryć się liśćmi. Pomiędzy zaroślami, w oddali, majaczyły kształty budynków. Zapewne zabudowania stadniny, pomyślała. Zadrżała i bezwiednie wstrzymała oddech.

Nigdy nie przepadała za spacerami w ciemności, ale teraz jakaś niewidzialna siła kazała jej się ubrać. Ciepła czarna kurtka i adidas wystarczyły, aby poczuła się jak komandos zakładający kamuflaż. Upchnęła telefon w kieszeni i pobiegła do auta po latarkę, którą zawsze wozila w schowku w bagażniku; właściwie nie korzystała z niej jeszcze nigdy, a teraz baterie odmówiły współpracy. Normalka, pomyślała, pożalowała, że nie sprawdziła latarki przed wyjazdem, i z powrotem wrzuciła ją do schowka. Wsunęła zziębnięte dłonie w kieszenie i przeszła oświetloną alejką na tyły hotelu.

Po chwili brukowany chodnik się skończył, a w jego miejsce pojawiła się zwirowa ścieżynka. Wokół było tak cicho, że przy każdym kroku słychać było chrzęst drobnych kamyczków pod stopami. Wkrótce Magda dotarła do ogrodzenia i chwyciła dłońmi za metalowe kute sztachety. Były lodowate, więc puściła je od razu, a dłonie wsadziła pod pachy. Całkiem niedaleko dostrzegła stary budynek. Dawniej znajdowała się w nim siodlarnia, która z czasem stała się zwykłą rupieciarnią. Tuż obok rysował się wyraźnie podłużny kształt stajni. Nad jej drzwiami ledwie żarzyła się goła żarówka o słabutkiej mocy. Nie oświetlała terenu, stanowiła raczej punkt wskazujący drogę. Położony w pobliżu obszerny, ogrodzony drewnianymi żerdziami maneż wydał się Magdzie dużo mniejszy niż kiedyś. Jej obawy, że niewiele pamięta, okazały się bezpodstawne – obrazów z dzieciństwa, zwłaszcza tych, które wywoływały silniejsze emocje, po prostu nie dało się zapomnieć.

Przejęta Magda lustrowała okolicę. Wyteżyła wzrok w poszukiwaniu pozostałych zabudowań, ale zagajnik, który wyrósł od czasu jej ostatniego pobytu, teraz całkowicie zasłaniał widok. Uświadomiła sobie, że nie oddycha i ma sucho w ustach. Naraz drgnęła i różnym krokiem energicznie ruszyła wzdłuż ogrodzenia. Po kilku krokach, dla rozgrzewki, przeszła w trucht i pochłonięta biegiem omal nie przegapiła bramy wjazdowej do stadniny. Przystanąła.

Nawet w ciemnościach było widać, że jedno skrzydło wrót opadło i dotyka ziemi, a zmurszałe sztachety błagają o wymianę.

No pięknie, pomyślała. Jeżeli reszta wygląda tak samo, to miło nie będzie.

Dotknęła czołem bramy i zerknęła przez szparę. Niedaleko dostrzegła dom i budynki gospodarcze; pomijając poświatę ze słabej żarówki na stajni, wszędzie panowały egipskie ciemności. Gdzieś w głębi niespodziewanie zaszczekał pies. Przestraszona basowym dźwiękiem, odskoczyła jak oparzona. Niemal natychmiast do pierwszego dołączył drugi psi głos, równie niski i zdecydowanie nienależący do małego złośliwego ujadacza.

Obecność zwierzaków utwierdziła Magdę w przekonaniu, że stadnina jednak nie jest opuszczona. Ktoś przecież musi karmić i psy, i konie, stwierdziła. O ile te ostatnie jeszcze tam są.

Rekonosans na razie zaspokoił jej ciekawość, więc pełna emocji wróciła do hotelu. Ponieważ była pewna, że również i jutro czekają ją silne doznania, wzięła z baru jeszcze jeden kieliszek wina i zamówiła budzenie na ósmą rano. Miała nadzieję, że Sylwia rzeczywiście przyjedzie, lecz do jej przyjazdu sama chciała rzucić okiem na wszystko i zinwentaryzować, co się da. Była przekonana, że dwie, trzy godziny wystarczą.

Pewna, że z przejścia nie zaśnie, przed wyjazdem przezornie zaopatrzyła się w coś do czytania, zatem teraz naciągnęła na siebie kołdrę, ułożyła się wygodnie na brzuchu i zagłębiła w lekturze. Liczyła, że wartka akcja pomoże jej zabić czas do chwili, kiedy wreszcie ogarnie ją senność, lecz niestety – zamieszczone na okładce obietnice pasjonujących kolei losu głównej bohaterki okazały się wyszukanymi z palca marketingowymi bredniami. Zwykle przed zakupem książki Magda uważnie sprawdzała recenzje, tym razem jednak uległa atrakcyjnej wystawce przy kasie i promocyjnej cenie. Skutek był opłakany: jeszcze nigdy nie trafiła na tak nudną fabułę i dłużące się w nieskończoność opisy przyrody, godne epoki pozytywizmu.

Zniecierpliwiona przeklęła w duchu złośliwość losu. Powinnam się wyspać przed ciężkim dniem, tymczasem dzieje się dokładnie odwrotnie, westchnęła. Była tak podekscytowana, że najchętniej poszłaby do stadniny natychmiast.

Godziny do śniadania były jak wieczność. Minuty mijały wolniej niż zwykle, a ona wciąż nie potrafiła zmrużyć oka. Usnęła dopiero, gdy za oknem pojaśniało. Gdy zadzwonił telefon z recepcji, miała wrażenie, że nie spała w ogóle.

– A niech to! – mruknęła niezadowolona, ale siląc się na uprzejmość, podziękowała obsłudze.

Kompletnie nieprzytomna usiadła na łóżku i przeciągnęła się z jękiem. Ocknęła się dopiero pod prysznicem. Nie miała pojęcia, o której powinna zameldować się w stadninie, ale uznała, że po dziewiątej będzie w sam raz, i żwawo pobiegła na śniadanie.

Z dzieciństwa pamiętała, że do koni należy wstawać wczesnym rankiem, więc ze zdziwieniem odnotowała zamkniętą na cztery spusty bramę, która w dziennym świetle prezentowała się naprawdę opłakanie. Magda szarpnęła za metalowy łańcuch zakończony archaiczną zardzewiałą kłódką. Rozejrzała się, ale że wokół nie było żywego ducha, nie pozostało jej nic innego, jak przeleźć górą. Podciągnęła spodnie i doceniwszy fakt, że uszyto je z elastycznej tkaniny, wspięła się na wrota. Zmurszałe deski zatrzeszczały złowrogo.

Już miała zeskoczyć po drugiej stronie, gdy tuż obok rozległo się głucho warknięcie.

– Jasna cholera! – wyszeptła. – Cześć, piesku – cmoknęła słodziutko, ale psisko pozostało niewzruszone.

Wkrótce z donośnym szczekaniem dołączyło do niego drugie, jeszcze większe. Oba egzemplarze nie wyglądały na skłonne do negocjacji, więc Magda przeklęła pomysł ze wspinaczką. Niestety, pechowo zahaczyła butem o gwóźdź wystający spomiędzy sztachet i utknęła na górze. Drewno boleśnie wpijało się w jej pachwinę. Nie miała wyjścia – mogła tkwić na tej bramie do końca świata albo zeskoczyć wprost w krwiożercze paszcze warczących psów.

– Ratunku! – wrzasnęła ile sił w płucach. – Rat...

– No i co się tak drze? – Z krzaków wyłonił się wysoki mężczyzna.

– Ja przepraszam, ale czy one gryzą? Bo ja nie wytrzymam tu dłużej. – Magda czuła się jak skończona idiotka.

– He, he. Gryzą, gryzą! Złych ludzi – wyseplenił facet przez bezzębną szczękę i obficie splunął na ścieżkę.

Ale gwizdnął na psy i podał Magdzie sękatę brudne łapsko. Nawiasem mówiąc, cały nie był wzorem czystości. Otaczała go silna woń potu, siana i końskiego łajna, lecz nie było co wybrzydzać. Magda z ulgą stanęła ponownie na ziemi. Rozmasowała naciągnięte udo.

– Dziękuję. Jestem wnuczką Felicji. Znał ją pan?

– Znałem. Ja Zdychu jestem, stajenny. Robię tu od dawna. Tera nie wiadomo, co będzie, ale niech idzie do domu. Tam baby więcej wiedzą. – Wskazał dobrze Magdzie znany kierunek.

Podziękowała i bacznie zlustrowała okolicę.

Nawet na pierwszy rzut oka zabudowania przedstawiały obraz nędzy i rozpacz. Dwuspadowy dach stajni nosił ślady licznych amatorskich napraw. Różne rodzaje blachy i zwisające postrzępione nierówne płyty papy świadczyły wyraźnie o jego marnej kondycji. Stojące pośrodku maneżu drewniane przeszkody, używane kiedyś na zawodach, już dawno oblażyły z farby i spróchniały. Ich pojedyncze połamane elementy nadawały się wyłącznie na podpałkę.

Magda dłonią osłoniła oczy przed słońcem i ruszyła w stronę domu.

Kiedyś wydawał się ogromny, dziś jakby się skurczył. Niegdyś onieśmielał okazałym gankiem z kolumnami i szerokim wejściem do przestronnej sieni, dziś wzbudzał litość. Okna, w których dawno temu wisały bielutkie firanki, były brudne jak święta ziemia. Gdzieś przepadły donice z kwiatami, łuszcząca się farba zdradzała skrajne zaniedbanie. Kołatka była pozbawiona metalowego kółka, więc Magda ręką zastukała do drzwi, ale nie doczekała się reakcji. Ostrożnie nacisnęła na klamkę, dzwignia ustąpiła ze zgrzytem. Najwyraźniej skrzypiące zawiasy świetnie zastępowały dzwonek, gdyż niemal natychmiast z ciemnej sieni wybiegła rozczochrana młoda kobieta.

– Pani w sprawie jazdy? – zapytała. – Dzisiaj wyjątkowo nie ma jazd. W razie czego proszę o telefon – powiedziała i odwróciła się plecami.

– Ale ja nie w tej sprawie. Magda Lipska. Jestem wnuczką Felicji – wyjaśniła Magda, z odrazą wciągając w nozdrza intensywną woń stęchlizny.

– O Boże! Nareszcie! Ależ się nasza Zofia ucieszy! – Kobieta aż podskoczyła z radości.

– To Zofia jeszcze żyje? Jak ona się miewa? – zapytała Magda z lekką obawą. Pamiętała zwałistą kobietę jak przez mgłę. – Wciąż ma takiego bzika na punkcie koni?

– I żyje, i bzika ma na całego. I nadal jest żwawa, tylko wujek Alzheimer płata jej figle. Teraz pojechała na weekend do jakiejś starej znajomej. Powinna wrócić jutro po południu. Jeju, ale się ucieszy!

– Wreszcie jakaś dobra wiadomość.

– Jestem Alicja. Pracuję tu jako instruktorka. – Kobieta wyciągnęła dłoń na powitanie i uśmiechnęła się serdecznie. – Wejdz, proszę.

– Miło cię poznać. Przyjechałam z Trójmiasta. Cieszę się, że jest tu ktoś, kto pomoże mi rozeznąć się w sytuacji. Bo na razie nie mam pojęcia, co zrobić ze spadkiem.

– Wiem. Ludzie z banku byli tu w zeszłym tygodniu. Robili zdjęcia i mnóstwo notatek. Kawy?

– Chętnie. – Magda skinęła głową.

Zerknęła na okazały zaciek na suficie i przeszła za Alicją do kuchni.

W dobrze jej znanym pomieszczeniu zmieniło się niewiele, nie licząc nieopisanego bałaganu. Wszystkie

sprzęty były bardzo brudne i poniszczone, a Magda z każdym krokiem czuła, że jej podeszwy lepią się do podłogi. Z obawą przysiadła na rozchwianym krześle.

Alicja musiała trafnie odczytać grymas na twarzy gościa, ponieważ złapała za nie pierwszej czystości ścierkę i zaczęła pośpiesznie wycierać stół noszący zaschnięte ślady potraw z wielu dni.

– Od śmierci Felicji jakoś próbuję to wszystko ogarnąć, ale marnie mi idzie – powiedziała. – Wiesz, pochodzę z sąsiedniej wsi. Mam tam teściów, ale właśnie się rozwiodłam z ich wiecznie pijanym synalkiem. Niby są w porządku, ale sama rozumiesz, że nie za bardzo mogę tam mieszkać, więc Felicja pozwoliła mi wprowadzić się tutaj, w zamian za opiekę nad końmi i pilnowanie Zdzicha. Teraz dodatkowo opiekuję się Zofią i sprawdzam, czy nie zrobiła sobie krzywdy. Mam pełne ręce roboty.

– Wyobrażam sobie. – Magda znacząco rozejrzała się wokół.

Alicja w lot pojęła niemą aluzję.

– Nie mam talentu do porządków – oświadczyła. – Wolę konie. Przynajmniej z nimi nie ma teraz problemów, choć gdyby nie grupka dziewczyn z fiołem na ich punkcie, które pomagają mi w wolnych chwilach, byłaby bieda. Oporządzić codziennie takie stado to duże wyzwanie.

Magda doskonale pamiętała tę ciężką robotę, choć sama jako dziecko uwielbiała zajęcia przy koniach. Wtedy też przychodziły do stadniny dziewczęta z pobliskich wsi, do pomocy za darmowe jazdy. Ciekawe, czy teraz też by mi się chciało chodzić przy obrządku?, pomyślała, ale uznała, że wizytę w stajni odłoży na potem.

– Od dawna uczysz jazdy? – zagadnęła Alicję i przyjrzała się ciemnowłosej kobiecie uważnie.

Burza zmierzwionych, naturalnie czarnych loków rzucała się w oczy w pierwszej kolejności. Nieduża i krępa sylwetka jakimś cudem wcisnęła się w obcisłe bryczesy. Znad ich paska wylewała się fałdka tłuszczu, ponad którą górował ogromny biust. Nogi chroniły podniszczone skórzane sztyblety. Zamiast skórzanych czapsów Alicja nosiła charakterystyczne wysokie skarpety w romby. Magda marzyła kiedyś o takich, więc teraz uśmiechnęła się do marzeń.

– Jeżdżę, odkąd pamiętam – odparła Alicja. – Z wykształcenia jestem nauczycielką wuefu. Jeszcze niedawno uczyłam w szkole w Pieńkach, ale ją zamknęli, bo za mało dzieci się rodzi. Wiesz, niż demograficzny. Bardziej opłacało się gminie uruchomić gimbusa.

– A jak wygląda sprawa z końmi? – Magda chciała w jak najkrótszym czasie dowiedzieć się jak najwięcej.

Wcześniej ułożyła sobie w głowie listę pytań, które pragnęła zadać, oraz rzeczy, które chciała sprawdzić, ale teraz posypało się wszystko. Zupełnie straciła głowę.

– Mamy tu pięć wałachów, jednego ogiera i osiem kobyłek. – Alicja się ożywiła. – W tym trzy zażrebione jeszcze za życia Felicji.

– Kiedy porody?

– Już niedługo. Do tego są jeszcze cztery śliczne siwki, które ktoś wcisnął Feli w jakimś rozliczeniu. Zapomniał tylko dodać, że są nieujeżdżone, a ona nie sprawdziła.

– To nie można ich ujeździć? – zdziwiła się Magda.

– Nie, bo są już na to za stare. Nadają się wyłącznie do bryczki.

– To super! Można przecież wynajmować bryczkę na wesela! – Magda na każdym kroku oceniała możliwy potencjał stadniny.

Z dzieciństwa pamiętała piękny czerwono-czarny powóz ze złotymi zdobieniami. Kiedyś siadywała w nim często, wyobrażając sobie, że jest wysoko urodzoną damą i właśnie wybiera się na bal, aby poznać księcia z bajki.

– To nie takie proste. Najpierw trzeba by ją wyremontować i odnowić, ale na to nie ma kasy. Utrzymanie koni kosztuje, a te siwki to darmozjady – oznajmiła Alicja. – Reszta na siebie zarabia przy

rekreacji. Były nawet jakieś plany związane z hipoterapią, lecz wraz ze śmiercią twojej babci temat się rozmył.

Paplała jak najęta, a Magda chłoneła wszystkie informacje jak gąbka. Alicja nie przestawała przy tym energicznie krzątać się po kuchni i – o ile to możliwe – robić jeszcze większy bałagan. Miała przygotować kawę dla gościa, ale najwyraźniej o tym zapomniała. Już dobrą chwilę wcześniej zestawiała gwizdzący czajnik z palnika, tyle że w międzyczasie zapomniała, że gwizdał.

– To z czego żyjecie?

– Na razie prawie z niczego. – Alicja uśmiechnęła się smutno. – Renta Zofii wystarcza na skromne utrzymanie dla nas obu i Zdzicha. Ten to też nie ma w życiu lekko. To alkoholik. Kilka razy był na odwyku, ale mu nie wyszło. W końcu żona wyrzuciła go z domu, a własne córki nie chcą go znać.

– I nie boicie się powierzać mu czegokolwiek?

– No coś ty? To jego szczęście, że teraz z nami jest. Mieszka w stajni.

– W tej ruinie?

– Ma tam taką kanciapę, toaletę i prysznic, choć chyba wcale z niego nie korzysta. Pomieszczenie jest malutkie, więc nawet zimą łatwo je ogrzać, a konie przez całą dobę są pod jakim takim nadzorem. Oczywiście jak Zdzichu jest trzeźwy albo, dla odmiany, nie siedzi w ciupie.

– Rany, a za co?

Jak się okazało, mężczyzna kilka razy naruszył prawo, jadąc po pijanemu na rowerze. Z mandatów nie wyciągał wniosków i regularnie stwarzał zagrożenie w ruchu drogowym. Dopóki poruszał się po leśnych duktach i polnych drogach, nic się nie działo, ale kiedy pewnej nocy wyjechał na drogę publiczną i w alkoholowej niemocy ułożył się do snu w poprzek jezdni, miarka się przebrała.

– Sama widzisz, że nie mamy z nim lekko, ale dobrze, że jest, bo takim oto sposobem mamy prawie darmową siłę roboczą. Na inną nas nie stać. Od czasu do czasu jeszcze przychodzi tutaj Józek, ale nie mamy czym mu zapłacić, bo wszystko, co ja zarobię na jazdach, idzie na wyżywienie koni. Cudem dostaliśmy w zeszłym roku sporo darmowej słomy na ściółkę i dzięki temu zwierzaki nie stoją na gołym betonie. Dobrze, że przynajmniej nie chorują, bo na weterynarza też nas nie stać. Tfu! – Alicja profilaktycznie splunęła za siebie, żeby odpędzić potencjalnego pecha.

Magda drgnęła, zaskoczona. No tak, zważywszy na stan podłogi, nie ma to żadnego znaczenia, pomyślała smętnie.

– A hotel dla koni? Pamiętam, że dawniej ludzie je tutaj trzymali.

– To byłby świetny biznes, tyle że dach przecieka i połowa stajni jest wyłączona z użytku. Wszędzie grzyb. Więc nie ma mowy, żeby trzymać tu czyjeś wierzchowce. Wiesz, jak to jest. Jak już ktoś wybuli kilkanaście albo i kilkadziesiąt tysiaków, to w zamian za tych kilka stów w miesiącu oczekuje dla końskiego pupila prawie Hiltona, a nie takiego slumsu.

– Domyślam się.

– No. Gdzie nie spojrzysz, tam wszystko nie tak.

Dla Magdy stało się jasne, że nie da się uratować tego miejsca bez pieniędzy. I to dużych pieniędzy. Wszystkie zabudowania nadawały się do wyburzenia, ale na szczęście teren był bardzo atrakcyjny. Kraj-obrazowo na tyle malowniczy, że pozbawiony tych wszystkich rozwalających się bud i szop, z powodzeniem mógłby posłużyć jako pocztówkowy pejzaż. Bezpośrednie sąsiedztwo eleganckiego hotelu i restauracji było nie do przecenienia, więc całkiem możliwe, że znalazłby się jakiś chętny do kupna całej nieruchomości za kwotę wyższą niż bankowe zobowiązania.

Nastała pora obiadu, ale przypomniało o tym Magdzie dopiero burczenie w brzuchu. Aż do tej pory była zbyt przejęta. No i ten wszechobecny brud...

– Chodź! Zapraszam cię na obiad – powiedziała do Alicji.

Wstała z krzesła i odkleiła stopę od podłogi.

– Do Nestora? – przeraziła się tamta.

– A masz coś przeciwko? Dają tam całkiem dobre jedzenie. Śniadanie zjadłam skromne, bo strasznie mi się tutaj śpieszyło.

– Nie o to chodzi – wyjaśniła Alicja. – Ja nie mam w co się ubrać. – Spojrzała na swoje zabłocone buty. – Wszystkie moje rzeczy są spakowane u teściów, bo nie miałam jak ich przywieźć. Tutaj potrzebuję tylko tego, co do stajni, więc mi się nie śpieszyło.

– A dużo masz tych maneli? – zainteresowała się Magda.

– Ze cztery torby.

– No to pojedziemy po nie, chcesz? Samochód zaparkowałam pod hotelem.

– Matko! To super! – Alicja ucieszyła się jak dziecko i w podskokach pobiegła po kurtkę.

Na szczęście nie miały daleko i po niecałej godzinie było po sprawie. Tyle że Magdzie przez cały czas chodziło po głowie pytanie, co robi Alicja, gdy stadnina zmieni właściciela. To samo pytanie dotyczyło również Zofii i Zdzicha. W testamencie nie było o całej trójce ani słowa. Choć przecież, skoro Zofia mieszkała w tym miejscu od zawsze, coś powinno jej się należeć.

– A właściwie to dlaczego nie przyjeżdżałaś przez tyle lat? – wymamrotała Alicja ustami zapchanymi plackiem po węgiersku.

– Bo nie mogłam. Po tym, jak moi rodzice się rozwiedli, kontakt z rodziną ze strony ojca urwał się całkowicie. Felicja nie chciała nas znać – odparła Magda.

Wspomnienie listów, na które nigdy nie otrzymała odpowiedzi, powróciło ponownie.

– Fakt. Nigdy o was nie wspominała.

– Sama widzisz.

– Bo wiesz, wszystko, co wiem, wiem od Zofii – usprawiedliwiła swoją ciekawość Alicja. – A ona nie jest zbyt rozmowna. Tylko konie i konie. Za dużo tych koni, nawet jak dla mnie – roześmiała się.

Porządnie uczesana i przebrana w przyzwoitą tunikę i legginsy wyglądała całkiem ładnie. Prezencją w niczym nie odstawała od pozostałych gości. Wiedząc, że Magda jest głodna, pośpiesznie przejechała tuszem po rzęsach, ale to wystarczyło, żeby jej zaróżowiona twarz nabrała nowej jakości. Przy odrobinie chęci z Alicji można by wyczarować całkiem atrakcyjną kobietę.

Obie uprzejmie podziękowały za deser, a Magda, która w gościnie nie doczekała się kawy, zamówiła pokryte delikatną pianką cappuccino. Alicja nie załapała aluzji.

W drodze powrotnej pokazała Magdzie działkę, na którą tak bardzo ostrzyła sobie zęby Sylwia.

– I jak ten teren? Ładny? – godzinę później dopytywała przez telefon siostra.

– Całkiem ładny kawał obsianego owsem pola.

– Co ty bredzisz! Jakim znowu owsem? Przecież to miało być budowlane! – zdenerwowała się Sylwia. – Powiedz mi tylko, czy atrakcyjne.

– Miało być budowlane, jest rolne. Żeby odrolnić, należy sprawdzić plan przestrzennego zagospodarowania terenu, ale najpierw trzeba być jego właścicielem.

– Sprawdziłaś?

– Słuchaj! – Magda straciła cierpliwość. – Trzeba było przyjechać, jak było ustalone, a nie zwalać mi wszystko na głowę. Poza tym jak chcesz to sprawdzać w sobotę, kiedy wszystko jest zamknięte?

– Och, kochanie – zreflektowała się Sylwia. – No, sama pomyśl. Po co miałam jechać, skoro ty już tam jesteś? Wiesz przecież, że boję się tej alergii na konie. Już nie pamiętasz, jak kiedyś wylądowałam na pogotowiu?

Oczywiście nawaliła. Magda nawet się nie zdziwiła, bo zachowanie było typowe. Sylwia zawsze obiecywała Bógwie co, żeby finalnie wykręcić się sianem i z wdziękiem wybrnąć z sytuacji. Tak,

martwiła się o czyjeś dobro, ale działała wyłącznie w imię własnego.

– Przecież ufam ci, siostrzyczko, i wiem, że nikt nie załatwi pewnych spraw lepiej niż ty – dodała teraz. Magda dała się udobruchać.

Sylwia już od dziecka była hipokrytką, co wcale nie przeszkadzało jej w życiu. Wręcz przeciwnie, żyło się jej z tą cechą bardzo wygodnie, bo zawsze potrafiła przekuwać okoliczności stosownie do własnych potrzeb. A że była osobą inteligentną, umiała skutecznie wmówić otoczeniu własne, oczywiście jak najlepsze, intencje. Teraz też sprytnie wywinęła się od odpowiedzialności.

Jeśli coś pójdzie nie tak, ja będę winna, westchnęła w duchu Magda, wyjęła smartfona i po drodze zrobiła kilka zdjęć.

Problem z gruntem trochę komplikował sprawę. Najprościej byłoby po prostu odrzucić spadek i niech sobie bank odzyskuje swoje pieniądze, tymczasem okoliczności wskazywały, że szkoda byłoby tak zwyczajnie machnąć na wszystko ręką. Po krótkiej naradzie z Tomkiem Magda uznała, że trzeba jednak przyjąć spadek z dobrodziejstwem inwentarza, czyli z odpowiedzialnością do wysokości długu, i spróbować jak najszybciej spieniężyć, co się da. Cała akcja wymagała od sióstr mnóstwa papierkowej roboty, spotkań z przedstawicielami banku, ustaleń w gminie oraz dogłębnej penetracji rynku nieruchomości. Dodatkowo Magda musiała nadrobić zaległości w temacie wyceny koni i zasad obowiązujących na branżowych aukcjach, nie miała bowiem pojęcia, co to za biznes. Czy każdy zwierzak ma jakieś dokumenty, czy istnieje specjalny koński rejestr, czy po prostu pewnego dnia koń zmienia stajnię i właściciela, czy też strony podpisują umowę, jak przy sprzedaży używanego samochodu. Miała milion wątpliwości i pytań. I nadzieję, że będzie mogła w tym względzie liczyć na Alicję, która wprawdzie nie była specjalistką, ale przecież musiała wiedzieć, gdzie i u kogo szukać odpowiedzi na nurtujące nową właścicielkę stadniny pytania. Tutaj również pomoc Zofii mogła okazać się nieoceniona. Jeżeli, oczywiście, staruszka wszystkiego nie zapomniała.

Magda otworzyła notes, żeby zanotować spostrzeżenia, i w ciągu kwadransa zapisała kilka kartek.

Po obiedzie Alicja wróciła do siebie, bo nadeszła pora, żeby zająć się końmi. W sobotnie popołudnia Zdzichu zwykle miał wolne, więc czekało ją mnóstwo pracy. Przy okazji zaproponowała Magdzie wizytę w stajni, licząc w skrytości ducha, że ta jej pomoże, ale spotkała się z odmową. Magda miała za sobą dzień pełen wrażeń i teraz najbardziej potrzebowała wyciszenia i chwili spokoju, żeby wszystko przemyśleć. Do tego po obfitym obiedzie ogarnęła ją senność i jej organizm szerokim ziewaniem ewidentnie upomniał się o poobiednią sjęstę. W hotelowym pokoju od razu gruchnęła na wielkie łóżko i prawie natychmiast zasnęła. Nawet nie zdjęła butów.

Obudził ją natarczywy brzęczyk telefonu, ale była zbyt nieprzytomna, żeby odebrać. Tusz posklejał jej rzęsy, pod powiekami czuła niemiłe swędzenie. Nie przykryła się i teraz wstrząsały nią dreszcze. Kłapiąc zębami, poczłapała do łazienki, gdzie z przerażeniem otaksowała swoje odbicie w lustrze. Odkręciła kurek i napuściła do wanny gorącej wody.

Chwilę potrwało, zanim całkiem doszła do siebie. Z lubością wyciągnęła się w wannie; ciepła woda przyjemnie otuliła jej rozdygotane ciało. Magda co rusz dolewała wrzątku, żeby przedłużyć kąpiel. W trójmiejskim mieszkaniu, z braku dogodnego miejsca na pralkę, musieli z Tomkiem pozbyć się wanny. Gdy po czasie olśniło ich, że można było ustawić pralkę w kuchni, glazurnik właśnie kończył robotę. Nie było odwrotu.

Odświeżona Magda nałożyła na skórę obfitą warstwę ujędrniającego balsamu, choć ostatnio Marlena podawała w wątpliwość jakąkolwiek skuteczność podobnych preparatów. W przeciwieństwie do Magdy, żywo zainteresowana tematem, dokładnie zanalizowała skład podany na opakowaniach. Poza oczywistym maziem, stanowiącym bazę dla kosmetyku, procent zawartości właściwego czynnego składnika pozostawiał wiele do życzenia. Nie było możliwości, żeby przy tak niewielkim stężeniu nastąpiła

widoczna poprawa stanu skóry, nie licząc nawilżenia i natłuszczenia. Ale Magdzie było wszystko jedno – jak na razie nie miała ze skórą najmniejszych problemów, a smarowanie jej traktowała jak rodzaj przyjemności. Uwielbiała kosmetyki i lubiła bawić się ich strukturą, rozcieraniem, badaniem konsystencji i czasu, w jakim znika substancja. A że Tomek przynosił jej różne specyfiki z apteki, mogła je testować do woli. Upodobała sobie zwłaszcza serię na bazie wody termalnej, niestety jej producent niedawno zmienił asortyment. Tomek bezskutecznie przeczesał cały magazyn i sprawdził w hurtowniach, a jego żona z żalem wyrzuciła do kosza ostatnie puste opakowanie.

Deficyt snu z poprzedniej nocy dawał o sobie znać, więc rozgrzana kąpielą Magda znowu położyła się do łóżka. Z nadzieją sięgnęła po lekturę. Również i tym razem nudne opisy spełniły swoje zadanie. Po chwili spała jak suseł, przy zapalonym świetle i z nosem w otwartej książce.

Rano obudziła się jak nowo narodzona i z uśmiechem powitała słoneczny dzień. Licząc, że na zewnątrz ociepliło się choć trochę, wystawiła rękę za okno, ale pod wpływem lodowatego podmuchu cofnęła ją natychmiast. Po starannej toalecie, nucąc pod nosem, zameldowała się na śniadaniu. Tym razem z przyjemnością pobawiła się śmiesznym opiekaczem do kanapek i spałaszowała solidną porcję jajecznicy. Było wcześniej, więc w jadalni również nie spotkała zbyt wielu gości. Przed dziewiątą spakowała swoje rzeczy i uregulowała rachunek w recepcji. Starannie złożyła fakturę, umieszczając ją w osobnej kieszonce portfela, i w tej samej chwili pochwyciła spojrzenie młodego portiera. Na tyle znaczące, że natychmiast przypomniała sobie o obiecanym napiwku i wręczyła chłopakowi drobne. Złapał za jej walizkę i bijąc pokłony, odprowadził gościa do samego auta.

– Życzę szerokiej drogi – powiedział. – Daleko pani jedzie?

Najwyraźniej dziesięciozłotowa obrywka obligowała przyszczatego młodzieńca do uprzejmej pogawędki.

– Nie bardzo. Prawdę mówiąc, tuż obok. – Rozbawiona Magda wskazała głową w stronę lasu.

– Do stadniny? Uuu, to niezła ruina. Jeździ pani konno?

– Nie.

Magda nie miała ochoty wdawać się w szczegóły, ale młodzian okazał się nadzwyczaj rozmowny.

– Szkoda. A wie pani, mój wujek był tam kiedyś stajennym. Przy koniach robił, ale długo nie wytrzymał. Nadchodziła zima i na palacza gdzie indziej się najął. Ale co się napatrzył i naopowiadał, to jego.

– W temacie stadniny?

– Owszem. To nie wie pani, że tam dziwne rzeczy się działy? Jak nie ginęły konie, to ginęli ludzie.

Magda zamarła w pół kroku.

– Jak to: ginęli?

– Normalnie. Bez śladu. Jednego dnia koń był, następnego go nie było. Ludzie we wsi gadali, że kiedyś nawet zabito tam kogoś. Ale... Eee, ale ja tam nic nie wiem dokładnie. – Młodzieniec zorientował się, że chlapanął za dużo, i poniewczasie ugryzł się w język.

– Co też pan mówi? – Magda aż podskoczyła. – Ale jak to: zabito? Jak? Kto i kiedy? I kogo?

– A tego to nie wiem. Chyba mnie jeszcze wtedy na świecie nie było, więc pewności nie mam.

– To po co pan bajki ludziom opowiada? Co na to policja?

– Ja tam nie wiem. – Chłopak wzruszył ramionami, jakby chciał zbagatelizować wagę wypowiedzianych słów. – Ja tylko gadam, co słyszałem. Wie pani, jak są jakieś niewyjaśnione tajemnice, od razu okolica staje się bardziej atrakcyjna.

– To fakt – odparła Magda.

– Przepraszam. Muszę już iść, bo mnie wołają. Mój szef nie toleruje spoufalania się z gośćmi – powiedział chłopak.

Skłonił się użenienie i zerknął w stronę wejścia do hotelu. Rzeczywiście, ktoś machał ręką w ich stronę.

Magda zatrzasnęła bagażnik i oszołomiona usiadła za kierownicą. Zanim uruchomiła silnik, potrząsnęła głową z niedowierzaniem. Mrużąc oczy, powoli ruszyła spod hotelu w stronę sąsiedniej posesji.

Tego ranka również zastała zamkniętą bramę, ale tym razem już nie ryzykowała wspinaczki na spróchniałe deski. Wcześniej zdążyła już poznać dwa stróżujące owczarki niemieckie, a nawet i nieco zaprzyjaźnić się z nimi, ale i tak nie miała chęci na kolejną konfrontację z czworonogami. Zaparkowała na uboczu i wybrała numer Alicji, która odebrała już po pierwszym sygnale.

Nie minęło kilka minut, a Zdzichu zwolnił brzęczący łańcuch. Tego dnia do kompletu spowijających go woni dodatkowo dołączył dobrze Magdzie znany ostry zapach wódki. Mężczyzna był tak zalany, że nawet nie dał rady się przywitać – zamiast „dzień dobry” z jego ust wydobył się niezrozumiały bełkot. Patrząc, z jakim trudem idzie mu otwieranie drugiego skrzydła bramy, Magda wzięła sprawy w swoje ręce. Zdzichu usunął się posłusznie i jak kłoda runął w pobliskie zarośla. Ledwie padł, a natychmiast zachrapał donośnie i przytulił się do oblepionego żywicą sosnowego pniaka.

– O Boże... – Magda wzniosła oczy ku niebu i upewniwszy się, że warujące psy nie pozwolą zrobić leżącemu krzywdy, od razu pojechała w stronę stajni.

Wraz z przekroczeniem jej progu przystanąła jak wryta.

Dobrze kiedyś znane jej pomieszczenie teraz wołało o pomstę do nieba. Z każdego kąta wyzierały brud i zaniedbanie, a od silnego odoru końskiej uryny Magdzie aż zakręciło się w głowie. Natychmiast nasunęło jej się skojarzenie z mityczną stajnią Augiasza, ale tutaj nie pomogłoby nawet pięciu Herkulesów. Alicja miała absolutną rację – ten barak po prostu nie nadawał się na pensjonat dla koni. Nikt przy zdrowych zmysłach nie umieściłby pupila w tak opłakanych warunkach.

Zdegustowana Magda podeszła kilka kroków w kierunku, z którego dobiegał gwar rozmów, i zastała Alicję przy sprzątaniu boksu. Towarzyszyły jej cztery dziewczynki w różnym wieku. Wszystkie rażno uwijały się przy koniach. Młodsze energicznie machały zgrzebłami, a starsze z namaszczeniem czyściły kopyta za pomocą specjalnych kopystek.

Zasapana Alicja wygarnęła z sąsiedniego boksu zużytą ściółkę i wierzchem dłoni otarła spocone czoło.

– Cześć. Jak leci? – zapytała.

– W porządku. Chciałam tylko zobaczyć konie. Chyba nie będę czekać do obiadu.

– Jak to? Nie zobaczysz się z Zofią? – zdziwiła się Alicja. – Przecież ona mnie zabije, jak się dowie, że pozwoliłam ci odjechać. Powinni ją przywieźć około czternastej, więc może jednak zaczekasz?

Alicja obrzuciła wymownym spojrzeniem eleganckie botki Magdy, które za nic nie pasowały do zapuszczonej stajni i wszechobecnego brudu. Magda chciała zapytać Alicję o kilka spraw, ale obecność wszędobylskich dziewczynek utrudniała sprawę. Z drugiej strony wiedziała, że nie powinna odciągać nowej znajomej od pracy.

– To może jednak wam pomogę – powiedziała szybciej, niż pomyślała. Wcale nie miała ochoty na sprzątanie stajni.

– Byłoby świetnie, bo wiesz... Zdzichu znowu chwycił fazę.

– Widziałam. Przed chwilą padł przy bramie.

– No tak. Wczoraj miał wolne popołudnie, więc od razu się upił, a jak już złapie ciąg, to go trzyma trzy dni. Na czwarty dzień umiera. A później przez jakiś czas jest spokój.

– Dasz mi jakieś gumki?

Mniej więcej po dwóch kwadransach Magda przywykła do wszechobecnego smrodu i z zapalem pchała taczki wypełnione zdeptaną słomą wymieszaną z końskimi odchodami. Kiedyś uwielbiała takie zajęcia, ale najwyraźniej już z tego uwielbienia wyrosła. Gdyby nie nagła sympatia do Alicji i potrzeba omówienia kilku kwestii, pewnie siedziałyby już w samochodzie i mknęła w stronę domu, tymczasem

jednak z uwagą słuchała dziewczęcej paplaniny o tym, która ma ładniejszy kuferek na akcesoria do pielęgnacji koni. Magda jak przez mgłę pamiętała, do czego służą zgrzebło i szczotka. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że potrzeba aż tylu różnych dziwnych przedmiotów, więc teraz tylko uśmiechała się pod nosem, zadowolona, że nie musi uczyć się wszystkiego od nowa. Obolałe mięśnie i śmierdzące ubrania dodatkowo utwierdziły ją w przekonaniu, że nie chce mieć nic wspólnego z całym tym końskim interesem. Gdyby od dziecka u boku babci regularnie uczestniczyła w życiu stadniny, zapewne miałyby dziś zupełnie inne podejście do tematu, ale teraz obchodziła konie szerokim łukiem. A gdy już musiała do któregoś się zbliżyć, uważała jedynie, by nie podejść do niego od tyłu. Tyle zapamiętała.

W porze lunchu ojciec pracującej w stajni jednej z małoletnich amateerek konnej jazdy przywiózł pizzę dla wszystkich. Jak się okazało, niedaleko miał własną pizzerię i ten niedzielny poczęstunek był już tradycją. Magda z apetytem wgrzyła się w pachnący trójkąt ciasta z kilkoma rodzajami serów i poczuła, jak bardzo była zmęczona i głodna. Do tego tak brudna i cuchnąca, że kompletnie nie nadawała się do wyjścia poza stadninę i pokazania się ludziom na oczy. Catering był jak wybawienie.

W kwadratowym pudełku pozostały już tylko okruchy, gdy na podjeździe przed domem zaparkowała zdezelowana terenówka. Wyskoczył z niej dobrze zbudowany brunet, obiegł samochód dokoła i otworzył drzwi od strony pasażera.

Kto choćby raz w życiu spotkał Zofię, już nigdy w życiu nie pomylił jej z nikim innym. Magda doskonale pamiętała jej zwalistą sylwetkę o dudniącym głosie, wywołującym w rozmówcach respekt i sprawiającym, że wszystkim huczało w głowach. Upływ czasu nie zmienił jej wiele – Zofia posiwała tylko i przygarbiła się nieco. Jej twarz nie postarzała się prawie wcale.

Teraz wysiadła z samochodu i przelotnym spojrzeniem obrzuciła młodą kobietę w ubabranych gnojówką gumiakach. Już chciała odejść w swoją stronę, ale po sekundzie spojrzała na nią ponownie i przystanęła w miejscu. Na jej obliczu pojawiło się olśnienie, które niemal natychmiast przeszło w gniew.

Głęboka lwia zmarszczka na czole instruktorki Zofii od zawsze kojarzyła się Magdzie z czymś, czego należy się bać. Teraz bała się nawet uśmiechnąć. Zamarła. W jednej chwili powróciły wspomnienia.

Zofia energicznym krokiem ruszyła w jej stronę, wyciągając w oskarżycielskim geście wskazujący palec. Jej twarz poszarzała z gniewu, a oczy zwęziły się w szparki.

– To szczyt bezczelności, żeby pojawiać się tutaj! Jak można tak zupełnie nie mieć wstydu i być tak podłym? Wynoś się stąd natychmiast, ty podła suko! – ryknęła co sił w płucach i odwróciła się na pięcie.

– Ale o co...? – Magdzie z zaskoczenia odjęło mowę.

– Spokojnie, kochana – próbowała załagodzić sytuację Alicja, która nigdy wcześniej nie widziała Zofii w podobnej akcji. – Ona pewnie cię nie poznała i pomyliła z kimś innym. Wiesz, skleroza to straszna rzecz.

– Nie pomyliłam! – huknęła wrogo Zofia. – I nie mam żadnej sklerozy, i nie jestem głucha!

Ponownie podeszła bliżej i ostentacyjnie splunęła Magdzie pod nogi.

– Tfu! Precz mi stąd, pókim dobra! – krzyknęła i zamachnąwszy się, wskazała na bramę. – Wynoś się i więcej tu nie przyjeżdżaj!

Wciągnęła powietrze przez nos. Oddychała ciężko. Teraz, dla odmiany, miała twarz czerwoną ze złości. Sapnęła niczym rozjuszony byk na korridzie i odwróciwszy się na pięcie, dostojnym krokiem podążyła w stronę domu.

Magda jeszcze chwilę stała w całkowitym osłupieniu. Niczego nie rozumiała, choć była pewna, że została rozpoznana. Wiedziała, że niewiele się zmieniła od szkolnych czasów. Owszem, podrosła, wydorosła i nabrała kobiecych kształtów, ale jej niebieskie oczy i grzywa płowych włosów pozostały.

Posłała nie mniej zdziwionej Alicji pytające spojrzenie, ale ta bezradnie rozłożyła ręce.

– Przepraszam cię. Nie wiem, co ją napadło. Nigdy jej takiej nie widziałam.

– Może rzeczywiście mnie nie poznała i pomyliła z kimś, kogo nie lubi?

– Raczej nienawidzi – mruknęła skonsternowana Alicja. – Kurde, nie czaję bazy, sorry.

– I co teraz? Iść do niej? Co proponujesz? – Magda kompletnie zgłupiała z nadmiaru emocji.

– Nie wiem, co o tym myśleć. Jak już się uspokoi, spróbuję ją delikatnie podpytać, ale wiesz, jaka ona jest skryta.

– Cóż, w takim razie chyba powinnam się zbierać. Nic tu po mnie. Bardzo chciałam z nią porozmawiać, ale widzę, że nic z tego. Jest tak rozjuszona, jakbym własnymi rękami co najmniej wymordowała jej przodków do piątego pokolenia wstecz – powiedziała Magda, z trudem ściągając rękawiczki ze spoconych dłoni. – Może idź do niej, żeby z tego wszystkiego jeszcze jakiegoś wylewu nie dostała – zaproponowała Alicji.

– No dobra – niechętnie zgodziła się tamta. – Jeżeli chcesz odświeżyć się przed drogą, to możesz skorzystać z łazienki w stajni. Wiesz, gdzie to jest?

– Wiem. Dziękuję.

Magda już wcześniej miała okazję korzystać tam z toalety, więc o ponownej wizycie w tym przybytku myślała z niechęcią. Stopień zaniedbania pomieszczenia niewiele odbiegał od tragicznego stanu całości. Gdy jednak po chwili pozbierała myśli, uznała, że najlepiej zrobi, jeśli porządnie wyszoruje się już we własnym domu. Teraz przebrała się tylko w czyste ciuchy, choć nie na wiele się to zdało. Miała wrażenie, że nie tylko jej włosy, ale i cała skóra wchłonęły ten straszny stajenny odór.

Zanim wyruszyła w drogę, pożegnała się ze wszystkimi. Alicja, która w międzyczasie poszła sprawdzić, co u Zofii, przyniosła Magdzie spore pudło z dokumentami i jakimiś osobistymi pamiątkami.

– I co?

– I nic. W ogóle nie chciała ze mną gadać. Warknęła tylko, że to dokumenty i pamiątki po Felicji. I żebyś je sobie wzięła.

– Poważnie? Czyli jednak wie, kim jestem.

– Wie. Otworzysz bagażnik? To ciężkie jak jasna cholera – stęknęła Alicja, z ulgą pozbywając się ciężaru.

Magda na pożegnanie serdecznie uściskała miłą dziewczynę i pełna sprzecznych uczuć ruszyła do Sopotu. Spodziewała się emocjonalnej huśtawki wywołanej powrotem do stadniny po latach, tymczasem nic podobnego nie nastąpiło. Zaskoczenie nadeszło z innej strony. Niczym nieuzasadniony wybuch Zofii był jak kubeł zimnej wody. Skąd ta agresja?, zastanawiała się teraz, zwłaszcza u osoby, którą wspominałam tak serdecznie i dobrze.

Gdy skierowała samochód w stronę Tczewa, zdegustowanie zastąpiła litość. Choroba Alzheimera to naprawdę straszna rzecz.

Rozdział 8

Spraw do załatwienia było tak wiele, że nastąpiła druga połowa maja, zanim siostrzom szczęśliwie udało się dopełnić wszelkich formalności związanych ze spadkiem. Sylwia swoim zwyczajem chciała ze wszystkiego się wymigać i obarczyć kłopotami Magdę, ze wszystkimi opłatami włącznie, na co ta z kolei nie mogła przystać. Zapewne, gdyby było ją na to stać, zgodziłaby się na taki scenariusz, ale na razie nie miała pieniędzy na jakiegokolwiek dodatkowe wydatki. Sylwia za to narzekała na każdą trudność, aż w końcu Magda nie wytrzymała i nawymyślała siostrze od zrzędlivych starych bab. Zasugerowała nawet nadchodzącą menopauzę.

Tego już było za wiele. Sylwia tak się wściekła na sugestię o przekwitaniu, że od razu znormalniała na tyle, że nagle dało się z nią ustalić każdy szczegół.

– Jeżeli myślisz, że sama to wszystko pociągnę, to się mylisz. – Magda twardym spojrzeniem przykuła siostrę do krzesła. – To zbyt duże wyzwanie dla mnie samej, więc po prostu tego nie zrobię. Choćbym się pokichała, tu i teraz.

– Ale czy ty nie rozumiesz, że ja pracuję i jestem cholernie zajęta? – Sylwia znów zaczęła udawać niewiniątko.

– A czy ty myślisz, że ja nie jestem? – odgryzła się Magda jadownicie. – Na wypadek gdybyś nie zauważyła, to od niedawna pracuję i za parę dni kończę okres próbny. Więc może być różnie, a bardzo nie chciałabym stracić tej roboty.

– Och, najwyżej cię wywałą. To nie koniec świata – zażartowała Sylwia.

Za późno ugryzła się w język. Magda o mały włos, a wyrzuciłaby ją za drzwi.

Gdy ledwie wiązała koniec z końcem, pojawiła się nowa praca. Może nie wymarzona, ale przynajmniej dająca trochę dodatkowego grosza i tym samym odrobinę niezależności. W jej sytuacji ważna była każda suma, zwłaszcza że w aptece u Tomka w ostatnim czasie bardzo się pogorszyło. Dosłownie tuż za rogiem otwarto farmaceutyczną sieciówkę. Nie dość, że z założenia sprzedającą leki w niższych cenach, to jeszcze zaopatrywaną z własnej hurtowni. Stać ją było na dumping. Mniejsze placówki w starciu z rynkowym gigantem nie miały żadnych szans.

– Wykończenie nas to tylko kwestia czasu – żalił się Tomek.

– Aż tak tragicznie?

– Prędzej czy później się wykrwawimy. Stali klienci już od nas odchodzą. A ludzie kupują tylko to, co na receptę. Po resztę idą tam, bo taniej, a na tej reszcie jest największa marża. Albo stanie się cud, albo ty coś zrobisz. Długo to my w takich warunkach nie pociągniemy.

Magda nieustannie odczuwała silną presję otoczenia. Zawsze była osobą obowiązkową i solidną, lecz teraz wszyscy wokół oczekiwali od niej dodatkowo cudu gospodarczego na miarę Kołodki. Przy czym nikogo nie interesowało w najmniejszym stopniu, z iloma problemami technicznymi i finansowymi musi się uporać. Tematy związane z ewentualną sprzedażą koni miała już jako tako rozeznane; w tym względzie Alicja okazała się nieoceniona. Nie dość, że zgromadziła i uporządkowała całą dotychczasową dokumentację, to jeszcze skontaktowała się ze związkiem hodowców koni i uzupełniła wszystkie brakujące dokumenty w rejestrze. Jeszcze zanim wszystkie konie przeszły na własność spadkobierców

Felicji, w papierach zapanował idealny porządek. Wprawdzie na co dzień pojęcie porządku było dla Alicji czymś bardzo odległym, może nawet wręcz obcym, ale w tej kwestii młoda kobieta wykazała się nadzwyczajną skrupulatnością i odwaliała kawał doskonałej roboty. Magda miała świadomość, że powinna się jakoś zrewanżować, ale Alicja nie chciała o tym słyszeć. W krótkich słowach przypominała, że przecież to ona korzysta z gościnności nowej właścicielki, a odwdzięczenie się za taki stan rzeczy to sprawa naturalna.

Magda z wdzięcznością przyjęła zadeklarowaną pomoc, bo nie licząc pracy i domu, była tak pochłonięta sprzedażą nieruchomości, że momentami zapominała o bożym świecie. Sama analiza rynku zajęła jej mnóstwo czasu. Mimo optymistycznych prognoz jakiegoś mądrali z internetowego portalu, sytuacja w nieruchomościach wyglądała tragicznie. Wydawać by się mogło, że wiosna to najlepszy czas na ich sprzedaż, a tymczasem nic z tego. O ile jeszcze domy i działki, na rynku wtórnym, w miastach, notowały całkiem przyzwoitą rotację, o tyle grunty rolne, zwłaszcza te z przeznaczeniem pod agroturystykę, nie sprzedawały się prawie wcale. W całym województwie znalezienie sensownego inwestora granoczyło z cudem, niemniej jednak kilka lokalnych, specjalistycznych agencji chętnie wciągnęło stadninę w Pieńkach do swojej oferty. W pierwszej chwili Magda nawet się ucieszyła, ale Sylwia szybko sprowadziła siostrę na ziemię, zapewniając ją, że to nic nie kosztuje i nie rodzi jakichkolwiek zobowiązań. Agencje nie poszukują aktywnie klientów, co najwyżej za pieniądze kojarzą tych kontrahentów, którzy wpadliby na siebie i tak, prędzej czy później. Uwzględniwszy przy tym niezbyt atrakcyjne ceny terenów w regionie oraz fakt, że właściwie wszystkie budynki na posesji nadają się do rozbiórki albo w najlepszym razie do kapitalnego remontu, sytuacja naprawdę przedstawiała się nieciekawie. Podczas swojego pobytu w stadninie Magda tylko pobieżnie oceniła stan zabudowań, ale skrajne zaniedbanie widoczne było nawet dla laika. Paradoksalnie, najlepiej prezentowały się murowane czworaki, w których przechowywano siano, chyba jedyne, w których nie zdążył rozpanoszyć się grzyb. Teoretycznie, po poczynieniu kilku drobnych inwestycji, można byłoby w nich nawet zamieszkać albo od biedy zaadaptować je na lokum dla nowego właściciela albo nadzorcy.

Magda, pomimo usilnego poszukiwania dobrych stron całej sytuacji, była załamana zerowym zainteresowaniem potencjalnych kupców. Na szczęście udało jej się wreszcie namówić Sylwię, by ta w końcu ruszyła tyłek i uruchomiła swoje zawodowe znajomości. Po kilku dniach negocjacji udało się nawet skonsolidować dotychczasowe zaległości i odroczyć spłatę rat kredytowych do końca roku, choć pozostała świadomość, że to jedynie odsunięcie w czasie tego, co nieuniknione. Jeśli cokolwiek poszłoby niezgodnie z planem, komornik bez mrugnięcia okiem zlicytowałby wszystko za psi grosz i nikt nie zobaczyłby złamanego szeląga.

Nie można było mówić o cudzie, ale i tak zyskano trochę oddechu w sferze zobowiązań finansowych. Tyle że elektrownia niedawno wystawiła nakaz odcięcia prądu w stadninie, zatem i ta sprawa wymagała natychmiastowej interwencji. Rozłóżące się w szwach sprawy łątano, jak się dało. Jeden z amatorów konnej jazdy zajmował się rozwożeniem po okolicznych domach butli gazowych, więc Alicji udało się załatwić z nim barterową wymianę usług: raz w miesiącu dowiezie nabitych butli w zamian za darmową konną przejażdżkę w terenie. Również fakt, że rozległa posiadłość miała dwie studnie, stanowił niebagatelną ulgę w wydatkach. Co prawda ani Alicja, ani nawet Zofia nie pamiętały, kiedy były ostatnio czyszczone i czy ktoś sprawdził jakość wody, ale na razie wszyscy konsumenci, i z domostwa, i ze stajni, żyli i mieli się całkiem dobrze. Choć w pierwszej chwili Magda wpadła w panikę. Jako żona farmaceuty doskonale wiedziała o wszystkich potencjalnie znajdujących się w wodzie cholerstwach i uspokoiła się dopiero na wieść, że z jednej ze studni korzysta hotel Nestor. W razie nieprawidłowości sanepid z pewnością nie pozostawiłby na hotelarzach suchej nitki, pomyślała i odetchnęła z ulgą, że przynajmniej jedno ujęcie jest bezpieczne. Drugie eksploatowano sporadycznie, wyłącznie na potrzeby stajni.

Kolejnym etapem było przedsięwzięcie czynności związanych z ustaleniem ostatecznego przeznaczenia sąsiedniej działki. Wydawało się nawet, że wszystko idzie zgodnie z oczekiwaniami nowych właścicieli, do momentu, gdy okazało się, że w gminnym planie zagospodarowania przestrzennego zaszła pomyłka. Po jego dogłębnej analizie wyszło na jaw, że nie ma możliwości zmiany przeznaczenia całości gruntu z rolnego na budowlany. Jedyną istniejąca opcja polegałaby na próbie wyodrębnienia fragmentu na działkę siedliskową. Przy kupnie całego areału mogło to stanowić niezły kąsek dla potencjalnego inwestora, ale nie o to w tym wszystkim chodziło. Działki budowlane poszłyby na pniu, a tak pozostawało szukać chętnego z przysłowiową świecą.

Ta niespodzianka mocno komplikowała sprawę. Gdyby siostry wiedziały, że nadepną na tę niespodziewaną minę, w życiu nie zgodziłyby się na przyjęcie nieszczęsnego spadku. Magda była bliska osiwienia, Sylwia natomiast odpierała jej pretensje, twierdząc, że takie miała informacje od notariusza. Ten zaś z kolei na pytanie, skąd powziął wiedzę na temat działki, wykręcił się – z całym szacunkiem – sianem.

Bezsilnej Magdzie opadły ręce.

Na szczęście była Alicja, którą można było poprosić o załatwienie wielu drobnych spraw i zaoszczędzić sobie tym samym kilku wyjazdów do Pieniek. Praca w nowej firmie angażowała, więc Magda, w przeciwieństwie do Sylwii, nie mogła się z niej, ot tak po prostu, urywać w ciągu dnia. Przysługujący jej urlop rezerwowała na okoliczność sprzedaży stadniny oraz ważniejszych formalności, w których będzie musiała uczestniczyć osobiście. Poza tym po ostatnim wybuchu Zofii nie miała najmniejszej ochoty na odwiedzin i ponowne spotkanie ze sklerotyczną instruktorką. Według zeznań Alicji, Zofia pozostawała obrażona i nie kwapiła się do rozmów o Magdzie.

W domu również było nerwowo. Wprowadzie wyniki Leontyny bardzo się poprawiły, ale kłopoty w aptece sprawiły, że Tomek stał się drażliwy i mało racjonalny. Wymyślił na przykład, że nadchodzący weekend to doskonały termin na rodzinną wizytę w stadninie. Na szczęście cudownym zbiegiem okoliczności na horyzoncie pojawili się dawni znajomi i zaprosili Magdę i Tomka na swoją działkę w Kościerzynie. Byli skądinąd przesympatyczną parą, ale tak bardzo kochali swoje letnisko, że już pięć minut po przyjeździe zagonili gości do prac ogrodowych. Tymczasem dacha po zimie okazała się mocno zaniedbana – na klombach i grządkach wciąż piętrzyły się liście i sosnowe gałęzie, mające pomóc w dociepleniu co bardziej wrażliwych na mróz roślin. Zanim gospodarz zabrał się do rozpalania grilla, wszyscy zdążyli urobić sobie ręce po łokcie. Magda z Tomkiem planowali zasymulować otarcia i zrejterować z grządek w obawie przed tężcem, ale przy zasuwanym z motyką niestrudzonych gospodarzach, siedząc i beczynnym sącąc zimne piwo, najnormalniej w świecie czuliby się głupio.

– Jezu, czuję się, jakbym rozładował wagon węgla. – W drodze do domu Tomek przeciągnął się na fotelu pasażera. Połaskotał żonę w ucho. – Jedź ostrożnie, kochanie. Przecież piłaś – napomniał srogo, wygrzebując z torby lodowate piwo.

– Dobrze się czujesz? Wypiłam zaledwie jedno małe piwo jakąś dołą temu! – fuknęła obrażona Magda.

– Faktycznie. Głupoty gadam – poprawił się Tomek i z głośnym sykiem odbezpieczył puszkę żywca.

– W przeciwieństwie do ciebie.

Magda nie potrafiła darować sobie tej złośliwości. Widok podchmielonego męża przywodził na myśl jego całkiem niedawne alkoholowe wybryki. Na szczęście ostatnio Tomek nieco się uspokoił, problem znikł, niemniej jednak należało czujnie obserwować jego poczynania w tym zakresie. Magda zdawała sobie sprawę, że niebawem zostanie zmuszona do zainstalowania się w Pieńkach, a jej mąż przez kilka dni będzie słomianym wdowcem, ale głupio jej było żądać obietnic. Koniec końców obiecał poprawę i dotrzymał słowa, pomyślała. Już nie muszę się bać jego powrotów o nie wiadomo której w nocy.

Domowa sytuacja normalizowała się stopniowo. Leontyna wydobrzała już całkiem i od nowa zajęła się

gotowaniem, a Magda przestała utyskiwać na kolejne kulinarne wybryki teściowej i grzecznie konsumowała, co jej podawano pod nos. W sumie wszystko dawało się zjeść. Najważniejsze, że Tomek był szczęśliwy. Trzeba było zobaczyć jego błogi uśmiech nad michą pełną wołowych flaków, by zrozumieć, co to takiego syndrom maminsynka. Choć trzeba przyznać, że flaki w wydaniu Leontyny rzeczywiście były świetne. A że w trakcie ich przyrządzania mieszkańcom połowy bloku smród ukręcał nosy? Drobiazg.

Któregoś popołudnia Magda wróciła do domu wcześniej. Jej szef najwyraźniej miał dzień dobroci dla personelu i bez powodu puścił wszystkich do domu tuż po trzynastej.

Ostrożnie przekręciła klucz w zamku i przekonana, że teściowa właśnie ucina sobie drzemkę, po cichutku wśliznęła się do mieszkania. Odwiesiła oranżowy żakiecik, na paluszkach przemknęła do sypialni i zadowolona z kilku godzin totalnego luzu jak długa rozciągnęła się w poprzek łóżka. Bezmyślnie zagapiła się w sufit, przekręciła na bok i uśmiechnęła na wspomnienie minionej nocy. Kilka dni wcześniej doszła wprawdzie do wniosku, że w obecnej sytuacji dziecko nie jest najlepszym rozwiązaniem, ale poprzedniego wieczoru zmieniła zdanie. Jej mąż był taki słodki. Taki cudownie męski, podniecający i fantastyczny, że Magda szybko zapomniała, że chciała wykręcić się bólem głowy. Teraz przymknęła oczy w rozmarzeniu. Zrobiło jej się tak przyjemnie i błogo, że nawet nie zauważyła, kiedy usnęła.

Obudziło ją głośnie gruchanie; na parapecie właśnie wylądował z impetem tłusty gołąb. Zaspana Magda usiadła na łóżku i przetrzała oczy. Odruchowo rozejrzała się za kapturami, których nie mogła znaleźć już wcześniej. Nic się w tej kwestii nie zmieniło, więc bosko udała się do przedpokoju.

Z kuchni dobiegały odgłosy ożywionej dyskusji. Magda usłyszała ostre słowa teściowej.

– Ile można czekać? Niechże ona wreszcie sprzeda ten swój samochód!

– Mamo!

– Przecież mi obiecałeś, prawda? Zawsze mówiłam, że to bezsensowny wydatek. A i utrzymanie też kosztuje – mówiła Leontyna tonem pełnym pretensji.

Zaintrygowana Magda przystanęła w pół kroku. Oparła się o ścianę i wstrzymała oddech. Nie miała zamiaru podsłuchiwać, ale ciekawość zwyciężyła.

– Mamo, przecież sprzedaż auta to wcale nie taka prosta sprawa. Nie ot tak sobie. Ogłoszenie już zamieściłem. Wszędzie. Rozpytuję wśród ludzi, czy przypadkiem nie są na etapie kupna małego babskiego wozidełka. Nawet wywiesiłem ofertę na drzwiach apteki. Ale ludzie tylko pytają, dlaczego tak drogo. Na razie konkretnych kupców brak.

– Ależ ty jesteś głupi! – Leontyna straciła cierpliwość. – W takich wypadkach obniża się cenę. Czy ty nie rozumiesz, że ucieknie mi termin? – zawołała płaczliwie.

– Mamo, posłuchaj – powiedział Tomek ugodowo. – Naprawdę nie warto pozbywać się tego auta za bezcen. Poczekajmy spokojnie. Zobaczysz, że trafi się kupiec.

Magda miała wrażenie, że śni. Zamrugnęła powiekami i dla pewności uszczypnęła się w ramię. Miała wrażenie, że scena, która właśnie rozgrywa się za ścianą, dzieje się w równoległej rzeczywistości. Otóż ktoś omawia bez niej, a raczej w tajemnicy przed nią, sprawę, która dotyczy jej żywo. I nie ma pojęcia, że jest słyszany. Spiskująca dwójka chyba nawet nie miała świadomości, że Magda jest w domu.

Poczuła się jak zamknięta w wielkiej nadmuchanej kuli. Głosy dochodziły do niej przytłumione. Przytrzymała się komody w obawie, że zemdleje.

– Ale to moje sanatorium! To moje zdrowie! – dobiegł ją histeryczny krzyk teściowej, powstrzymując przed osunięciem się na podłogę.

– Mamo, przecież możesz poczekać na jakiś turnus refundowany z NFZ-etu. Terminy nie są znów aż tak odległe. Czujesz się dobrze, więc nie ma pośpiechu – tłumaczył cierpliwie Tomek.

– Tak! – wrzasnęła piskliwie Leontyna. – Ja wiem, że najchętniej byście się mnie pozbyli! Najlepiej, żebym umarła! Chora i stara matka już nikomu do niczego nie jest potrzebna! Kilka miesięcy to szmat czasu i mogę nie dożyć terminu, a na ten turnus jadą wszystkie moje koleżanki! Jedzie Władzia, Stefania i nawet Józia! Z nimi czułabym się pewniej.

– Mamo. Błagam.

– Ja wiem, że nie jestem dla was warta tych paru groszy – chlipnęła Leontyna. – Ja wiem, że już niczego oczekiwać od życia nie mogę. Od własnych dzieci też!

– Nie martw się i przestań wygadywać bzdury – starał się łagodzić Tomek. – Jakoś jej to wytłumaczę. Powiem, że klient trafił się przypadkiem i że jego oferta jest nie do odrzucenia. To rozsądna dziewczyna, z pewnością się zgodzi. Obiecuję jej jakieś inne, tańsze auto. A jak sprzeda tę cholerną stadninę, to sama sobie coś kupi. Będzie dobrze.

Magda starała się nie oddychać już wcześniej, żeby nie zdradzić swojej obecności, lecz teraz wreszcie mogła sobie odpuścić starania, bo zwyczajnie ją zatkało. Jej ukochany mąż oraz jego matka, prowadząc tę rozmowę, rzeczywiście musieli być przekonani, że są sami w domu. Magda miała wybór: wkroczyć do kuchni i zająć w omawianej sprawie oficjalne stanowisko albo wycofać się i poczekać na rozwój wypadków. W głowie jej się nie mieściło, że Tomek mógł okazać się aż takim zdrajcą, więc postanowiła sprawdzić jego wersję. Pomyślała, że to jakaś zasłona dymna stworzona na potrzeby wydumanych fanaberii Leontyny.

Po cichutku, na paluszkach zawróciła do sypialni. Ze wzburzenia jej serce waliło tak mocno, że głucho pulsowanie odczuwała aż w uszach. Z nadzieją, że nie dostanie wylewu krwi do mózgu, rozrzuciła pościel i zacisnąwszy zęby, wycelowała w okolice drzwi żeliwnym świecznikiem. Było to miejsce, co do którego nie obawiała się, że uszkodzi delikatne regipsowe tynki, bo na cokole ułożono twarde płytki z granitu.

Osiągnęła efekt dokładnie taki, jak chciała – po domu rozszedł się donośny łoskot zdradzający jej obecność. Później z rozmachem otworzyła drzwi i ziewając głośno, ponownie przemaszerowała przez przedpokój.

W kuchni panowała znacząca cisza. Tymczasem Magda przyoblekła twarz w popisowy uśmiech i serdecznie ucałowała osłupiałą dwójkę spiskowców. Mimo niewesołej sytuacji zachciało jej się śmiać. Do rozpuku. Dusił ją histeryczny śmiech. Odwróciła się w stronę lodówki, otworzyła drzwiczki i zasłoniła się nimi z ulgą. Kątem oka zerkała na domowników, wyłapując ich porozumiewawcze spojrzenia pełne paniki. Opanowała się z trudem.

– Boże, jaka jestem zaspana – westchnęła. – Co na obiad? Czy ten boski zapach to flaczki? – Uchyliła pokrywkę i zerknęła do garnka. – Mmm, cudowny – zagrychała przeciągle.

Gdyby za udawanie dawano nagrody, dziś zapewne dostałaby Oscara.

– To ty jesteś w domu? – wykrztusiła Leontyna.

– Jak widać.

– Kochanie, a dobrze się czujesz? – zapytał Tomek z troską.

– Tak. Szef zwolnił nas wcześniej. Ale za to po obiedzie muszę podjechać do pracy jeszcze na jakąś godzinkę. Więc tylko coś zjem i lecę z powrotem. Choć wcale mi się nie chce.

Magdzie nie mieściło się w głowie, że Tomek planuje sprzedaż jej ukochanego autka tylko po to, aby jego matka mogła pojechać do sanatorium w towarzystwie swoich zdewociałych koleżanek. Tak jakby nie mogła wykazać się odrobiną empatii wobec nich dwojga i poczekać z tym chwilę, zwłaszcza że w tym momencie jej zdrowiu nic nie zagrażało. Zszokowana sytuacją i faktem, że została pominięta przy podejmowaniu decyzji, którą była żywotnie zainteresowana, szybko spałaszowała flaczki i wyszła z domu.

Po kwadransie zaparkowała przed apteką. Odkąd pamiętała, na drzwiach zawsze wisiały informacje o aptekach dyżurujących przez całą dobę oraz o promocjach. Podeszła bliżej.

Jadąc, miała nadzieję, że to wszystko nieprawda. Że to niemożliwe, aby jej ukochany mąż tak bardzo pozwolił się omotać swojej matce. Ale teraz stała jak sparaliżowana i tępo gapiała się na ogłoszenie o sprzedaży samochodu. Nie było wątpliwości – w ofercie zamieszczono zdjęcie jej fiesty.

Rozdział 9

Dobrą chwilę dumiała, co dalej. W szalonym galopie myśli rozwiązań nasuwało się wiele, ale które wybrać? Które będzie najwłaściwsze? Czy od razu po powrocie do domu wyłożyć karty na stół, urządzić karczemną awanturę i załatwić sprawę? Czy może nadal udawać, że o niczym nie ma się pojęcia? A może, jak przyjdzie co do czego, wyciąć tamtym dwojgu jakiś numer i w efekcie nie dopuścić do sprzedaży? W końcu to ja mam w portfelu dowód rejestracyjny, a bez niego transakcja nie dojdzie do skutku, buntowała się w duchu Magda. Tylko czy na pewno?

Była tak skołowana i pochłonięta sprawą samochodu, że nieświadomie zepchnęła na dalszy plan rzecz o wiele ważniejszą: jak żyć, skoro własny mąż nie jest z nią szczerzy? Oczywiście nie była pozbawiona empatii i potrafiła zrozumieć troskę Tomka o matkę, ale, do jasnej cholery, wszystko ma granice przyzwoitości! Leontyna zawsze wykazywała tendencję do apodyktyczności. Gdy mieszkała osobno, nie było z tym najmniejszego problemu, a cała trójka stanowiła więcej niż przykładową rodzinę. Ich relacje można by uznać za wręcz wzorowe. Wszystko grało do chwili, gdy zamieszkali razem. Niestety, na początku Magda straciła czujność i pozwoliła teściowej, by ta rozpanoszyła się na dobre w mieszkaniu i, co gorsza, w jej życiu.

Leontyna nie była głupia i maskowała się umiejętnie. Równie umiejętnie grała na emocjach jedynaka. Magda nigdy nie miała wątpliwości co do uczuć męża, ale teraz, na skutek różnych dziwnych intryg, poczuła, że go traci. Nigdy nie podejrzewała Tomka o tak silną emocjonalną więź z matką, lecz wreszcie dotarło do niej, że z nią nie wygra. A przecież ich związek zawsze uchodził za udany. Absolutne porozumienie umysłów i zgranie ciał. Czegóż chcieć więcej? Nie wiedzieć kiedy jednak sytuacja zmieniła się na tyle, że Magda przespała moment utraty swojej silnej pozycji.

Ciężko jej było wyobrazić sobie, co musiałaby zrobić, żeby skutecznie odstawić Leontynę na boczny tor. A bez tego ani rusz. Nie wyobrażała sobie, że może dalej żyć w poczuciu niepewności i braku zaufania. Przecież kochała Tomka, a on kochał ją. Tylko dlaczego pozwolił się tak ogłupić i przeszedł na stronę wroga?

Magda zacisnęła pięści i ze złością uderzyła w kierownicę. Zapowiadała się wojna na całego, a rywalka była silna. Tyle że ważny był cel. Na imię miał Tomek.

– I co ja niby mam począć? – wyszeptła i bliska płaczu bezradnie zwiesiła głowę.

Nie zapamiętała powrotnej drogi do domu, nie licząc faktu, że wstąpiła do galerii handlowej i przez godzinę bez celu włóczyła się od sklepu do sklepu. Otrzeźwił ją nieco przeraźliwy dźwięk. Fiesta oznajmiła, że skończył się płyn w spryskiwaczu.

Magda zaklęła pod nosem.

– Kurde, jeszcze i to!

Nigdy nie lubiła grzebać przy samochodzie. Takimi rzeczami zawsze zajmował się jej mąż. Ale teraz, jakby w obronnym odruchu, uznała, że lepiej, jeśli uzupełni płyn samodzielnie. Zdawała sobie sprawę, że to irracjonalne, ale mimo wszystko wolała, żeby chwilowo Tomek nie majstrował jednak przy jej aucie. Mimo drżenia rąk rozchlapała niewiele i z ulgą zatrzasnęła maskę. A przy okazji natrafiła w bagażniku na kartonowe pudło, które Alicja przytargała z takim wysiłkiem przed wyjazdem z Pieniek. Od tamtej pory

minęło już trochę czasu i Magda na śmierć zapomniała o pakunku. Właściwie to wcale nie miała ochoty na przeglądanie pamiątek po zmarłej babci i najchętniej od razu wyrzuciłaby zawartość kartonu do śmieci, ale ogłupiała i wytrącona z równowagi tym, co dzieje się wokół niej, dźwignęła pakę.

W domu panowała cisza, nie licząc odgłosów dobiegających z telewizora.

Tomek leżał rozciągnięty na kanapie w salonie i przerzucał pilotem kanały. Na widok obładowanej jak wielbłąd żony zerwał się na równe nogi.

– Kochanie, daj mi to – powiedział. – To pewnie ciężkie.

– Jak jasny gwint. – Magda chętnie pozbyła się pudła.

– Gdzie to zanieść?

– Do sypialni.

Ledwie zdążyła odwiesić zakiet na wieszak, a Tomek był już z powrotem.

– Kochanie, jesteś głodna? A może zrobić ci coś do picia?

– Nie, dzięki. Niczego mi nie trzeba. – Magda zapanowała nad sobą z wysiłkiem.

Odwróciła wzrok i wyszła z pokoju.

– Jesteśmy w domu sami. – Tomek zaszedł ją od tyłu, obrócił ku sobie i mrugnął znacząco.

O, nie!, pomyślała. Spojrzała mężowi prosto w oczy i posłużyła się najstarszym kłamstwem świata.

– Przepraszam cię skarbie, ale głowa mnie boli – oznajmiła. – I ogólnie do kitu się czuję.

Czuła się jak idiotka stulecia, ale widać jej słowa zostały potraktowane poważnie, bo Tomek wyraźnie się zmartwił.

– Wiesz, chyba bierze mnie jakieś choróbko. Czuję, jak mnie rozbiera. – Magda objęła się ramionami i zadrżała od udawanych dreszczów.

– Chętnie sam bym cię rozebrał, ale widzę, że chyba innym razem – zażartował Tomek i popędził do świetnie wyposażonej domowej apteczki.

Za moment zameldował się z parującym kubkiem czegoś żółtego na przeziębienie.

– Dzięki, skarbie – wykrztusiła Magda i pochyliła twarz nad głośno musującą miksturą, choć od dziecka nie znosiła, gdy drobne podskakujące bąbelki strzelały jej prosto w nos.

Niecierpliwie odczekała, aż zostanie sama, i wylała wszystko do najbliższej doniczki. Miała nadzieję, że wrzątek nie ugotuje korzeni delikatnej daktylowej palmy.

Od zawsze preferowała konkrety i jasne sytuacje. Nigdy niczego nie odkładała na później, a jak już musiała, to czuła się z tym źle. Zupełnie jak prymuska, która nie odrobiła domowego zadania. Najchętniej wepchnęłaby pudło z rzeczami po babci do jakiegoś kąta, ale z drugiej strony chciała już mieć z głowy lustrację zawartości, więc niechętnie zabrała się do przeglądania.

Przez dłuższą chwilę robiła to kompletnie bezmyślnie. Jakieś uszkodzone figurki, małe i brudne pluszowe misie, drewniane kwiatuszki, dziesiątki niepiszących długopisów, śrubki, każda inna i nie wiadomo do czego. I cała masa innych niepotrzebnych dzindzibółów.

Już miała wynieść wszystko do śmietnika, gdy jej dłoń natrafiła na pakiet pożółkłych kopert. Starannie ułożony plik listów był dosyć gruby. Całość przewiązано przybrudzoną czerwoną wstążeczką.

W dzieciństwie wpojono Magdzie zasadę, że pod żadnym pozorem nie wolno czytać cudzej korespondencji, dlatego teraz jej ręka przez chwilę niepewnie zawisała w powietrzu. Nad przyzwoitością wzięła jednak górę pokusa – zaabsorbowana rodzinnymi kłopotami dziewczyna marzyła tylko o tym, żeby się od nich oderwać. Poza tym babcia już nie żyła, nic ich nie łączyło.

Rozgrzeszywszy się, Magda ostrożnie rozwiązała pakiecik.

Na widok pierwszej koperty z sykiem wciągnęła powietrze. Na widok kolejnej wstrzymała oddech, a przy następnych omal nie zemdląła z emocji. Na wszystkich widniało jej imię i panińskie nazwisko. Wszystkie zostały zaadresowane, wysłane i – sądząc po adnotacjach listonosza – nieodebrane z powodu

odmowy adresata lub zmiany adresu. Powróciły do nadawcy.

Magda zerknęła na daty.

– O mój Boże!

To były listy do niej. Od babci, która wcale nie zapomniała! Wręcz przeciwnie. Przez wiele lat uparcie pisała do wnuczki, mając nadzieję, że w końcu doczeka się odpowiedzi.

Magda pozbyła się wahań. Wyjęła list z najstarszą datą. Drżącymi rękami rozdarła zaklejoną kopertę i z zapartym tchem zabrała się do czytania.

Nawet nie poczuła, kiedy jej policzki zrobiły się mokre od łez.

– A zatem to pani jeździła tym autkiem? Hm, podobno nie należy kupować samochodów po kobietach – powiedział mężczyzna w szarym prochowcu i spojrzał na Magdę z wyższością.

Pieprzony szowinista, pomyślała, ale mimo to uśmiechnęła się uprzejmie.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że potencjalny nabywca jest bardzo podekscytowany. Na oko miał jakąś pięćdziesiątkę. Samochód kupował po raz pierwszy w życiu i zachowywał się jak przedszkolak przed gwiazdką.

– Tak, to moje auto. Zapraszam do środka.

Mężczyzna był tak zdenerwowany, że zanim szczęśliwie udało mu się ruszyć z parkingu, silnik fiesty zgasł trzykrotnie.

O matko jedyna, ale mistrzunio, pomyślała Magda i przeżegnała się w duchu.

– Ile pali?

– Dwanaście na setkę.

– To strasznie dużo. Pani mąż wspominał o pięciu litrach.

– Och, proszę pana, mój mąż kompletnie się nie zna na samochodach. Przecież to farmaceuta! – stwierdziła Magda takim tonem, jakby farmaceutyczne wykształcenie miało tłumaczyć niewiedzę w zakresie motoryzacji. – Wcześniej auto paliło mniej, ale po zalaniu podczas zeszłorocznej powodzi coś tak w nim nawaliło, że nie daje się wyregulować. Za to elektrykę ma pan nową. No i na szczęście udało się usunąć tę straszliwą woń stęchlizny. Wie pan, śmierdziało tak, jakby ktoś umarł w tym aucie. Teraz na szczęście śmierdzi tylko trochę. I tylko w deszczowe dni.

– Co pani powie? A jak z przeglądami?

– Z jakimi przeglądami? Rejestracyjny jest ważny jeszcze pół roku. Jak będzie pan jechał na stację diagnostyczną, to tylko na tę na Gdańskiej. Tam jest taki miły diagnosta z brodą. Ostatnio przymknął oko na coś tam. Już nie pamiętam, co to było.

– Aha. – Mężczyzna ze zgrzytem zmienił bieg. – A inne naprawy?

– Och, proszę pana! – zaszcebiotała Magda. – Tak, tak. Zawsze gdy coś się psuje, naprawiam. Ostatnio nawet fachowcy mówili, że niedługo trzeba będzie robić jakiś rozrząd i że tarcza sprzęgła jest trochę przypalona. Będzie pan musiał niedługo wymienić. Mówili też, że to przez tę moją jazdę na półsprzęgle. Ale niech się pan nie martwi! Przynajmniej pan wie, że nie kupuje pan kota w worku. A ja jestem dobrym kierowcą, ostrożnym. W mieście to nawet trójki nie wrzucam.

– Jeździ pani tak powoli?

– Nie no, na trasie to nawet i kiedyś czwórkę wrzuciłam, bo samochód strasznie warczał i z tyłu taki czarny dym puszczał. No wie pan, z rury wydechowej puszczał, aż mi inni kierowcy machali. O, tak! – Magda wykonała przed oczami mężczyzny energiczny gest.

– Aha. – Nabywca coraz bardziej spuszczał z tonu, ale nie dawał za wygraną. – Rozumiem, ale

naprawdę tyle pali?

– A myślisz pan, że niby dlaczego chcę go sprzedać? – Magda uśmiechnęła się szeroko. – Przecież na dłuższą metę idzie zbankrutować, a ja teraz bardzo potrzebuję pieniędzy. Teściowa jest chora. Koszty leczenia są horrendalne, a z mężem tak bardzo chcemy jej pomóc. – Zrobiła znaczącą pauzę. – Błagam pana, niech pan kupi to auto – dodała cichutko.

– No, eee, sam nie wiem – zawahał się mężczyzna. – Mam jeszcze kilka innych aut na oku. Muszę się, eee, jeszcze zastanowić. W razie czego dam pani znać.

– Dobrze. Jakby coś, to proszę nie dzwonić do męża, tylko do mnie, okej?

– Jasne, jasne.

– Niech panu Bóg błogosławi – wyszeptała wzruszona Magda i nakreśliła w powietrzu znak krzyża.

Nieszczęśnik krzywo zaparkował pod blokiem po jeździe próbnej i jakby go kto gonił, ruszył w swoją stronę. Nawet się nie pożegnał. Rozbawiona Magda odprowadziła go wzrokiem, pewna, że nie zobaczy go nigdy więcej.

– No dobrze – mruknęła pod nosem i porządnie przeparkowała auto. – Pierwszy punkt programu zaliczony. A teraz do roboty, kochana...

– I co? I co? – dopytywała z podnieceniem Leontyna.

Cały czas patrzyła przez okno, a teraz czekała na synową w przedpokoju, żeby usłyszeć dobre wieści jako pierwsza. Tomek wystawił głowę z kuchni.

– I nic. To jakiś niepoważny facet. Wyjątkowy mękoła. Tylko głowę zawracał i chciał zbić cenę o połowę. Szkoda czasu. – Magda wzruszyła ramionami i odwiesiła żakiet na miejsce.

Z nerwów miała twardą gulę w żołądku, ale nie było co dłużej czekać.

– Mam wam coś do powiedzenia. – Przy obiedzie zasiadła u szczytu stołu, z premedytacją zajmując miejsce teściowej.

– O Boże! Jesteś w ciąży? – Leontyna aż podskoczyła.

– Co też mama? W jakiej znów ciąży? Ja chciałam tylko zapytać, dlaczego właściwie sprzedajemy mój samochód.

Mąż i teściowa wymienili między sobą szybkie spojrzenia. Magda udała ślepa i z apetytem zaatakowała krupnik.

– Kochanie, potrzebne są nam pieniądze – powiedział Tomek bez mrugnięcia okiem. – Mamy długi. Sprzedaż mieszkania to nie taka prosta sprawa. A z twoim autem pójdzie najłatwiej.

– No, nie wiem. – Magda nie przestawała grać pierwszej naiwnej. – A czym miałabym jeździć?

– Madziu, na razie kupimy ci coś tańszego. Coś starszego. Za kilka tysięcy złotych.

– A później, jak sprzedasz stadninę, to kupimy coś lepszego – wtrąciła nieostroźnie Leontyna.

Magda tylko na to czekała. Zebrała się w sobie i wzięła głęboki oddech.

– Nie kupicie – wypaliła, bojowo wysuwając brodę.

Na wszelki wypadek odłożyła widelec na stół.

– Nie rozumiem. – Tomek spojrzał pytająco.

– To proste. Nie kupicie, bo ja niczego nie sprzedam. Ani samochodu, ani stadniny.

Leontyna omal nie wypuściła z rąk miski z kapustą. Tomek zakrztusił się kawałkiem kotleta.

– A cóż to za nedorzecznosc?! – Teściowa poczerwieniała.

– Kochanie, co ty opowiadasz za bzdury? – zdenerwował się Tomek. – Sprzedajemy twój spadek. Przecież tak postanowiliśmy.

– Zmieniłam zdanie.

– Kochanie, ale czy ty się dobrze czujesz? – Mąż Magdy nie wierzył własnym uszom. – Mamo, co ci jest? – krzyknął, bo Leontyna w tej samej chwili złapała się za serce. Zerwał się z miejsca.

Magda знаła to stare jak świat zagranie teściowej aż nadto dobrze, zatem niespiesznie dokończyła jedzenie i spokojnie wstała od stołu.

– Taka była wola mojej babci. A wolę zmarłych należy szanować. A ciebie, jak już ogarniesz ten cyrk, zapraszam do sypialni – zwróciła się do Tomka. – Musimy poważnie porozmawiać. W cztery oczy – dodała twardo pozbawionym emocji głosem, choć w środku aż ją skręcało.

Roztrzęsiona przysiadła na łóżku.

Chwilę potrwało, zanim dotarło do niej, że oto przejęła stery. Miała w rękach wszystkie atuty. I nadzieję, że jej decyzja nie odbije się czkawką, choć przygotowała się do niej starannie. Długo biła się z myślami i zapewne nie zdecydowałaby się na ten ruch tak szybko, ale tymczasem szczęśliwie znalazł się potencjalny kupiec na działkę i Magda liczyła na sfinalizowanie transakcji. Rozmawiała z nim co prawda tylko przez telefon, ale gość sprawiał wrażenie poważnie zainteresowanego. Był współwłaścicielem położonego przy stadninie hotelu Nestor, w którym niedawno nocowała, a działka po sąsiedzku siłą rzeczy wpadła mu w oko. Zanosilo się na to, że się dogadają.

W ostatnich dniach Alicja sporządziła dokładną listę najpotrzebniejszych prac remontowych, niezbędnych, żeby zamieszkać w stadninie, a Magda rozeznała się w unijnych dotacjach. Zainteresowały ją zwłaszcza wymogi związane z ratowaniem ginących gatunków, które są stosunkowo łatwe w hodowli. Nie znała się na zagadnieniu kompletnie, więc rozważyła również i inne rozwiązania. Nie była przecież cudotwórczynią, a postawienie schedy po babci Feli na nogi graniczyło z cudem. Nie, nawet lepiej. Ono zwyczajnie tego cudu wymagało, a Magda miała zamiar go dokonać.

– Czyś ty upadła na głowę? – Tomek wpadł do sypialni jak burza i od progu huknął na żonę.

– Nie krzycz mi tutaj, bo decyzja już zapadła. Przykro mi. Wiem, że wam to nie pasuje, ale ja mam inny plan – powiedziała spokojnie Magda. – A właściwie to wcale nie jest mi przykro – dodała po chwili.

– Co to za bzdury przyszły ci do głowy? Nic z tego nie rozumiem.

– Nie szkodzi. Ważne, że ja wiem, co robić.

– Ale jak ty to sobie wyobrażasz? Przecież to jakiś idiotyzm! Skąd weźmiesz kasę na inwestycje?

– Nie myśl, że nie wiem, co mnie czeka. – Magda wykazywała się niespotykanym opanowaniem. – Wiem doskonale, więc starannie przygotowałam się do tematu. Poza tym sprzedaję działkę i na dniach wezmę zaliczkę.

– Boże! To cudowna wiadomość! Dlaczego nic nie mówiłaś? – Tomek w sekundę zapomniał o wzburzeniu. – Rany, kochanie, nareszcie spłacimy nasze długi!

– Nie, nie. Za te pieniądze spłacę długi stadniny.

– O czym ty mówisz, skarbie?

– Tomek, ty niczego nie rozumiesz. Nie ma czegoś takiego jak nasze długi. Ten strup, z którym się użeramy, to długi twojej matki, nie nasze. A już tym bardziej nie moje. Nie mam zamiaru ich spłacać. – Magda utkwiała w mężu twarde spojrzenie, choć miała stracha jak nie wiadomo co.

Tomek zastygł. Z wrażenia aż rozdziawił usta i bezwładnie opadł na podłogę. Schował twarz w dłoniach, a później typowym dla siebie gestem naciągnął skórę na policzkach.

– Boże, ty chyba zwariowałaś... – powiedział z niedowierzaniem. – Nie pomyślałaś o tym, kto się tym zajmie tam na miejscu?

– Oczywiście, że pomyślałam.

– A niby kto taki?

– Ja.

– Magda! Czy ty dobrze się czujesz? – Tomka poniosło od nowa.

Zerwał się na równe nogi.

– Oczywiście. Już dawno nie czułam się tak dobrze. Od poniedziałku biorę kwartalny urlop bezpłatny

i jadę do Pieniek.

– A ja? A co ze mną? A mama? Ty chyba zwariowałaś!

– To proste. Ty jedziesz ze mną. Los nam sprzyja. Dwie wsie obok jest do przejęcia dobrze prosperujący punkt apteczny. Właściciel wybiera się na emeryturę, więc uważam, że to rozwiązanie idealne.

– Matko jedyna, nie wierzę w to, co słyszę. – Tomek aż potrząsnął głową. – A mama?

– Mama może zostać tutaj. Albo jechać z nami. Ale pod jednym warunkiem. Zamieszka osobno.

– To absolutnie niemożliwe. Jest chora i musi być pod naszą opieką.

– Bzdura. Wcale nie musi. Na jakiś czas wynajmiemy jej lokum gdzieś tam na miejscu, w takiej lokalizacji, żeby było blisko. I zorganizujemy opiekę. Alicja wspominała coś o jakiejś wdowie, emerytowanej pielęgniarce, która szuka sublokatorki. Temat do rozważenia.

– Nie zgadzam się!

Tomek nie był łatwym przeciwnikiem, ale Magda wiedziała, że ta rozgrywka musi zakończyć się jej wygraną. Element zaskoczenia działał zdecydowanie na jej korzyść, choć ślubny małżonek potrafił bronić własnego zdania do upadłego.

– Trudno. – Wzruszyła ramionami. – Nie będę ci stawiać ultimatum, żebyś wybierał między mamą a mną, bo byłoby to idiotyczne. Ale wiedz, że dłużej nie dam rady tak żyć. Wzięłam ślub z tobą, nie z nią. To ona z butami wpakowała się w nasze życie. Sam musisz zdecydować, gdzie w tym układzie określić granicę zdrowego rozsądku. Ja swojej decyzji już nie zmienię. I będę walczyć, bo mam dla kogo.

Zdziwiony Tomek szerzej otworzył oczy.

– Dla siebie. Dosyć mam życia w tym toksycznym trójkącie.

– Kobieto, co ty bredzisz? W jakim znowu trójkącie?

– Człowieku! – krzyknęła Magda. – Ocknijże się wreszcie! Miarka się przebrała! Jak mogłeś myśleć, że pozwolę sobą sterować jak marionetka? Że się nie dowiem, co knujecie za moimi plecami? Jakim cudem w ogóle przyszło ci do głowy, że dam się na to wszystko nabrać? Na ten numer z autem. Boże, żenada na poziomie przedszkola! Jakim cudem zgodziłeś się wysłać mamcię do sanatorium na nasz koszt?

– Kochanie...

– Czy ty jesteś moim mężem, czy wrogiem?

– Oczywiście, że mężem. Cóż to za pytanie?

– To przestań zachowywać się jak wróg!

– Ale mama...

– No właśnie! – Magda weszła Tomkowi w słowo. Stopniowo zaczynała się nakręcać. – Nic tylko mama, mama i mama! Koniec z tym! Ja też jestem ważna! A nasze małżeństwo jest jeszcze ważniejsze. W takim układzie istnieć nie może, bo mam już dosyć sterowania moim życiem i spełniania waszych fanaberii.

– Ale przecież ja cię kocham!

– To ze mną bądź! – fuknęła Magda i energicznie wstała z łóżka. – Mama też jest ważna, nie przeczę, ale są granice bycia maminsynkiem.

Tomek pobladł, ale nie zareagował, nie licząc tego, że zacisnął zęby tak mocno, że aż zbielały mu uszy. Magda doskonale wiedziała, że to objaw zbliżającego się wybuchu. Wstrzymała oddech i w napięciu oczekiwała na to, co zaraz miało nastąpić, gotowa od razu się wyprowadzić, gdyby coś poszło nie tak. Jej zdenerwowanie i strach właśnie osiągnęły apogeum.

– Powiesz mi, skąd taka decyzja?

O dziwo, Tomek zapanował nad sobą. W istocie to wcale nie oznaczało, że niebezpieczeństwo awantury zostało zażegnane, ale Magda poczuła względną ulgę.

– Znalazłam listy babci, które pisała do mnie i do Sylwii. Wbrew temu, co myślałam, wcale o nas nie zapomniała. Wręcz przeciwnie. Przez te wszystkie lata pisała do nas regularnie. Opowiadała, co u niej, co słyhać w stadninie, jak bardzo za nami tęskni. W ostatnich, niestety, już tylko o swojej chorobie i o tym, że umiera.

Magda z trudem powstrzymała płacz. Wydmuchała nos.

– Nie miałam pojęcia, że mama nie odbierała tych listów. Nie wysyłała też moich. Myślałam, że babcia już nas nie chce. Korespondencja przychodziła i wracała, bo od dawna nikt z nas nie mieszka pod tamtym adresem. Czy teraz wreszcie rozumiesz?

– Nie wierzę, że to się dzieje naprawdę. – Załamany Tomek głośno wypuścił powietrze.

– Ja też nie wierzę. Ale to nie zmienia faktu, że teraz pora na twój ruch. Wybór należy do ciebie.

– Ale co ty będziesz tam robić? Przecież z samych koni posiadłości nie utrzymasz. Trzeba mieć jeszcze jakąś alternatywę. No i to wymaga odwagi.

– Mam. I jedno, i drugie – powiedziała z mocą Magda.

Mąż spojrzał na nią jak na jednostkę niespełna rozumu.

– Już nie będę kadrową. Teraz, cholera, będę hodować strusie! A co?

Rozdział 10

Lepiej się pośpiesz! Gdzie jesteś?! – wykrzyczała w telefon zasapana Alicja.

– Matko, a coś się stało? Pali się czy co? – Magda przezornie zjechała na pobocze.

– Ofelia rodzi już straszliwie długo, potwornie cierpi. Błagam, pośpiesz się, bo sama nie dam rady! – W głosie Alicji brzmiało skrajne zdenerwowanie.

– Niech ci ktoś pomoże!

– Sorry, ale chwilowo nie ma kto.

– A Zdzichu? – przejęła się Magda. – A Zofia? Przecież odebrała pewnie z pięćsetkę źrebiąt!

– Nie ma szans. Zdzichu leży pijany jak bela i nie ma z nim kontaktu, bo tylko coś bełkocze. A Zofia właśnie ma fazę niepamięci. Uciekła ze stajni, twierdząc, że boi się koni, bo kopia.

– O Jezu! Dzwonź po weterynarza, ja nie mam numeru! Alicja! Do cholery! Zrób coś!

– Ale nie stać nas. Nawet na obowiązkowe szczepienia nie było nas stać.

– Cholera! Natychmiast po niego dzwoń! – Magda nie wytrzymała. – Na utratę kobyły i źrebaka tym bardziej nas nie stać! Rusz dupę!

Rozłączyła się i z piskiem opon ruszyła z pobocza. Łamiąc wszystkie możliwe ograniczenia prędkości, w pół godziny pokonała drogę dzielącą ją od Pieniek. Cały czas trzymała kciuki za cierpiące zwierzę i w skrytości ducha modliła się, by weterynarz zdążył dojechać na czas. Na szczęście bramę zastała otwartą, zatem bez przeszkód zajechała pod stajnię. Niestety, samochodu lekarza nie było.

– O, nie! Tylko nie to – jęknęła i zarzuciwszy na grzbiet ortalionową wiatrówkę, biegiem wparowała do stajni.

W boksie Alicja na przemian to głaskała rodzącą kobyłę, to ocierała pot z czoła.

– Nareszcie jesteś! – powitała przybyłą. – Zdejmij kurtkę. Ja mam kontuzję barku, więc ty go wyciągniesz.

– Ale...

– No, rusz się, cholera! Nie ma czasu. Ona zaraz nam zdechnie.

– Boże, a gdzie weterynarz? – przeraziła się Magda.

– Będzie za pół godziny. Już jedzie. Szybko! Musimy poradzić sobie same. – Alicja automatycznie wydawała komendy.

– O matko jedyna...

Magda jeszcze nigdy nie uczestniczyła w końskim porodzie. A już tym bardziej w porodzie z komplikacjami. A teraz nie dość, że nie miała pojęcia, co dokładnie się dzieje, to jeszcze własnoręcznie miała pomóc przyjść maluchowi na świat.

– Dobra. Mów, co mam robić – zwróciła się do Alicji.

Maksymalnie skoncentrowana na prostych czynnościach odstawiła emocje na bok. Nie liczyło się nic poza tym, co miała do wykonania.

– Musimy wyciągnąć gówniarza. Szedł pośladkowo, ale cudem udało mi się go obrócić.

Magda jeszcze z dzieciństwa pamiętała, że do koni nie wolno podchodzić od tyłu. Ale chyba nie dotyczy to rodzących kobył, które leżą na podłodze?, pomyślała przelotnie.

– Podwijaj rękawy, umyj ręce i do roboty! – Alicja pchnęła wystraszoną pomocnicę w stronę umywalki.

– I co teraz?

Magda najchętniej by uciekła, ale nie mogła. Bez jakiegokolwiek merytorycznego i psychicznego przygotowania właśnie stała się panią życia lub śmierci.

– Musisz wsadzić rękę do środka. Na moje oko rozwarcie jest trochę za małe, ale dasz radę wymacać źrebaka. No, śmiało! Jak namacasz nogi, to ciągnij. Macaj tak trochę na godzinę trzecią.

Przejęta Magda poczuła, że krew odpływa jej z twarzy, ale uznała, że nie może dołożyć Alicji do kompletu wrażeń własnego omdlenia. Błyskawicznie wzięła się w garść. Nie zważając na brud, niemal położyła się na brudnej ściółce i zacisnąwszy dłoń w pięść, aż po łokieć zanurzyła rękę w ciele cierpiącej kobyły.

– Głębiej – poinstruowała Alicja.

Magda z zapartym tchem wymacała twarde podłużne coś, co mogło być nogą.

– Mam! Coś twardego. Ciągnąć?

– Nie! Macaj koniec. Musi być kopytko. Potem obok jest drugie. Wtedy złap oba i ciągnij.

– Jezu, a jak się pomyłę?

– Ciągnij, do jasnej cholery! Ona już ledwie żyje! – wrzasnęła Alicja i mocno chwyciła rodzącą za kantar. – Ofi, kochanie, już niedługo. Błagam! Pomóż nam, proszę... – wyszeptała czule w końskie ucho, czując, że cierpiące stworzenie nie ma już sił i zaraz osłabnie na dobre. A wtedy będzie jeszcze trudniej.

– Niech to szlag! – zaklęła.

Stres i pragnienie pomocy wywołały w Magdzie reakcję, jakiej nigdy by się po sobie nie spodziewała. W jednej chwili poczuła się tak silna i odważna, że mogłaby przenosić góry. Rzeczywistość została z boku. Nagły przypływ energii dodał jej skrzydeł. Mocno chwyciła za dwie drobnutkie pęciny.

Pocziwa kobyła poczuła najwyraźniej, że to jej ostatnia szansa, i resztkę sił włożyła w słabiutkie parcie. Magda zacisnęła zęby. Ślizgając się po ściółce, z całej siły zaparła się nogami o kobyli zad.

– Szybciej! – W głosie Alicji zabrzmiała histeria.

– Zamknij się! – warknęła Magda. – A ty, kurwa, wyłaż! – wycodziła przez zaciśnięte zęby w kierunku źrebaka, przekleństwem dodając sobie odwagi. Pociągnęła z całych sił, choć do końca nie była pewna, za co. – Ala, pomóż mi!

Po kilkunastu sekundach obie z impetem wylądowały na podłodze, a ich oczom ukazało się pokryte śluzem czarne, chude stworzenie z nieproporcjonalnie długimi nogami i krótkim ogonkiem. Maleństwo ledwie zorientowało się, że jest wreszcie na świecie, zaczęło próbować stawać na nogi.

– O matko, jaki maluszek – szepnęła wzruszona Magda.

Po całej akcji sama wyglądała jak półtora nieszczęścia, ale nie zwracała na to uwagi.

– Piękności. – Alicja wygrzebała się ze słomy i zabrała do czyszczenia noworodka. – Dobra robota. Masz. – Wręczyła Magdzie miękkie wiecheć. – Trzeba wytrzeć młodego.

Skoncentrowane na świeżo narodzonym źrebaku, kobiety na chwilę spuściły z oczu Ofelię. A gdy zainteresowały się nią ponownie, jak na zawołanie upadły przy kobyle na kolana.

W szeroko rozwartych oczach zwierzęcia widniał paniczny strach. A mimo to matka próbowała wstać i na swój sposób zaopiekować się dzieckiem. Potrząsnęła łbem, z pyska wydobyło się rozpaczliwe rżenie.

– Co się dzieje? – Nad głowami końskich położnych zabrzmiał niski głos.

– Doktorze, szybko! – Alicja zerwała się na równe nogi. – Żrebak chyba w porządku, ale z Ofelią jest bardzo źle. Mocno krwawi.

– Zostawcie mnie z nią – zarządził doktor i sprawnie rozpakował przenośny lekarski zestaw.

Przystąpił do rzeczy z wprawą fachowca.

Alicja z Magdą wyszły przed stajnię, trudno powiedzieć, która wzruszona bardziej. Obie, upaprane śluzem, łajnem i krwią, prezentowały się wprost tragicznie, ale kompletnie nie zwracały uwagi na własny wygląd. Alicja pokrzepiająco chwyciła Magdę za rękę.

– Trzymajmy za nią kciuki. Może z tego wyjdzie – powiedziała, oddając uścisk dłoni.

– Co jej jest?

– Nie jestem weterynarzem, ale już kiedyś widziałam taką akcję. To mi wygląda na pękniętą macicę.

Gdyby Ofelia przeżyła, to byłby cud. – Zrezygnowana Alicja przycupnęła na krawężniku.

Magda skwapliwie przysiadła obok.

Na wyrok nie trzeba było długo czekać. Zaledwie dziesięć minut.

– Po wszystkim. Ale przynajmniej znam przyczynę.

– Jaką? – zapytały dziewczyny jednocześnie.

– W ostatniej chwili wyciągnąłem drugiego malucha. Jest bardzo mizerny, ale powinien przeżyć. Mamy bliźnięta.

– Co takiego?

– Wiem, to bardzo rzadki przypadek. Pewnie dlatego rozerwało Ofelii macicę. Była nie do uratowania.

Magda minęła doktora bez słowa i jak automat skierowała się w stronę boksu. Na widok ledwie trzymającego się na nogach maleństwa, które instynktownie tuliło głowę do jeszcze ciepłego ciała kobyły, nie potrafiła powstrzymać płaczu. To nieporadne końskie dziecko doskonale wiedziało, że coś stało się jego mamie, i rozpaczliwie szukało pomocy. Drugie źrebię jeszcze nie do końca miało pojęcie, co ze sobą począć, zatem bezradnie przywarło do ud zrozpaczonej Magdy. A ona była pewna, że zapamięta tę scenę do końca życia.

– Czy możemy porozmawiać?

Weterynarz właśnie otrzymał kolejne wezwanie do pacjenta i chciał szybko dopełnić formalności.

– Szkoda, że przyjechał pan tak późno. Ofelia mogła jeszcze pożyć – powiedziała Magda bez nuty pretensji.

Brudną ręką otarła łzy.

– Obawiam się, że w niczym bym nie pomógł. Nie miała szans. To cud, że chociaż maluchy żyją i mają się całkiem nieźle. Jednemu to wy uratowałyście życie.

Z Magdy uszła cała nagromadzona para i w jednej chwili dopadł ją nieopanowany dygot. Jej ciałem wstrząsnął dojmujący głośny szloch. Ukryła twarz w dłoniach.

Zakłopotany weterynarz wcisnął jej w dłoń chusteczkę.

– Przepraszam, to do mnie niepodobne – usprawiedliwiła się Magda. – To takie nie fair.

– Na pewne rzeczy nie mamy wpływu – podsumował filozoficznie doktor i wręczył jej butelkę wypełnioną tajemniczym płynem.

– Co to takiego?

– Siara. Udało mi się udoić trochę. To ważne dla źrebiąt. A teraz musicie się zająć właśnie nimi. Chyba że macie tu jakąś żrebną kobyłę.

– Mamy dwie. Zażrebione przy tej samej inseminacji. Tylko jeszcze nie urodziły – odparła Alicja i przejęła butelkę. – Daj – powiedziała do Magdy. – Ja je nakarmię.

– No to wobec tego trzeba będzie karmić ręcznie – powiedział weterynarz.

No tak. Żrebaki muszą coś jeść. Magda miała ochotę się rozkleić i dać sobie chwilę na ochłonięcie i pogodzenie się z sytuacją, ale nie było na to czasu. Jakimś cudem znów wzięła się w garść i wbiegła z powrotem do stajni.

Czarne maleństwo o lśniącej sierści tuliło się do karmiącej go Alicji, a drugie wymownie szturchało ją

nosem. Widok ścisnął za serce.

– Czy można było do tego nie dopuścić? – zapytała Magda przez ściśnięte gardło.

– Teoretycznie można było, ale u koni nie robi się takich badań jak u ciężarnych kobiet. Oczywiście jak ktoś ma konia wartego miliony, to może sobie go badać co drugi dzień, ale normalnie nie ma czegoś takiego jak prowadzenie ciąży u kobył. Zwierzęta gospodarskie zazwyczaj radzą sobie we własnym zakresie. Albo ronią, albo komplikacje pojawiają się przy porodzie – Magda usłyszała dobrze sobie znany tubalny głos.

Odwróciła się zaskoczona i zobaczyła Zofię.

– Jest dokładnie tak, jak mówię – dodała tamta. – A teraz, dziewczęta, trza zewrzeć poślady i ratować oseski! – huknęła i objęła Magdę. – Dobra robota – pochwaliła ją. – Witaj w domu, moje dziecko. – Ukradkiem otarła łzę.

Przez całe życie uchodziła za twardą herod-babę, której płacz nie przystoi, zatem i teraz starała się trzymać fason. Ale wzruszenia nie można było nie zauważyć.

Magda odruchowo przytuliła krewką staruszkę.

– Dziękuję – szepnęła.

– No, dobra! – zawołała Zofia. Pociągnęła nosem i skinęła na weterynarza. – Stasiu! Chodź no tutaj! A wy, dziewczyny, ogarnijcie się, bo wyglądacie, że pozał się Panie Boże. Normalnie jak z ruskich okopów pod Stalingradem. Ruszać dupska! No, już! Trzeba się wyspać, bo maluchy muszą jeść co godzina. Alicja! Ty mi tu migiem skocz do Wojciechowej po mleko od Mućki! A ty, Magda, ruszaj kozy wydoić! – wydawała rozkazy jak generał. – I budzić mi tu Zdzicha!

– Eee, ale jakie kozy? – Magda zrobiła wielkie oczy. – To my mamy jakieś kozy?

Stała oszołomiona, nie za bardzo wiedząc, co ma robić i od czego zacząć. Trafiała w jakiś totalny młyn. Wokół niej tyle się działo, że potrzebowała chwili, aby wszystko przemyśleć. Jeszcze się nawet nie rozpakowała, a już zdążyła odebrać skomplikowany poród, przy okazji ratując źrebakowi życie. Do tego chyba pogodziła się z Zofią, na dokładkę uświniła się od stóp do głów i wyglądała, jakby to ona urodziła w stajni. A teraz jeszcze każą jej doić jakieś kozy!

– Uff! – sapnęła głośno i rozmasowała obolałe ramiona.

Wyciągnięcie z brzucha matki sporego źrebaka wcale nie było łatwe, ale wywołana stresem adrenalina zdziałała cuda. Magda nie podejrzewała samej siebie o ukryte pokłady takiej siły.

– Pani pozwoli, że się przedstawię. – Weterynarz wyciągnął dłoń w jej stronę. – Stanisław Wilczek.

– Bardzo dziękuję, że pan przyjechał. – Magda uściśnęła ją z wdzięcznością.

– Niestety, nie na wiele się zdałem. – Doktor uśmiechnął się smutno. – No, przynajmniej zbadałem małe. Zdrowiutkie i żwawe.

Magda dopiero teraz zwróciła uwagę na wygląd mężczyzny. Lekko zapadnięte, smagłe i ogorzone od słońca policzki przydawały mu nieco kostycznej urody. Za to brązowe oczy patrzyły tak ciepło, że nie sposób było zareagować na to spojrzenie bez sympatii.

Ogromnie zmęczona i przejęta niedawnymi wydarzeniami Magda w ogóle nie zwróciła uwagi na wysportowaną sylwetkę i nieco zbyt duże dłonie. Pragnęła zostać sama. Marzyła, żeby wreszcie dano jej święty spokój, ale cóż...

– Przy okazji rzuciłem okiem na pozostałe kobyły – usłyszała. – Powinny rodzić lada dzień.

– Oby bez przygód. – Uśmiechnęła się blado.

– I oby jak najszybciej. Wtedy odpadnie wam karmienie sierot.

– Faktycznie. – Magda skinęła głową w zamyśleniu. – No i trzeba jeszcze jakoś pochować Ofelię.

– A skądże! Nie wolno! No, chyba że chce pani zarobić kilka tysięcy kary. – Weterynarz wymienił kwotę, która niemal przyprawiła właścicielkę stadniny o omdlenie.

Sytuacja wymagała specjalnych procedur związanych z utylizacją truchła i niemałych opłat, na szczęście niższych niż potencjalny mandat.

– Rozumiem. Ja... – Magda nie dokończyła.

Jej oczom ukazał się zaskakujący widok.

Zofia właśnie wywlekła ze stajni nieprzytomnego Zdzicha i ustawiła go przy hydrancie. Wzięła wiadro z wodą przeznaczoną dla koni i z rozmachem chlusnęła mu w twarz.

– Aaa! – wrzasnął skacowany stajenny. – Aaa!

– Ty wałkoniu cholerny! Ty nierobie, pijaku zawszony, ty! Ty niewdzięczna mendo! – grzmiała stara instruktorka.

Zdzichu z jękiem zatkał uszy.

Scenka rodzajowa nieco poprawiła Magdzie humor, choć wciąż daleko jej było do wesołości. Musiała przecież w przyśpieszonym tempie nauczyć się dojenia kóz, a przedtem jeszcze się rozpakować. Ponieważ w najbliższych dniach żrebaki będą wymagały karmienia co godzina, trzeba ustalić dyżury i podzielić się obowiązkami, pomyślała. Ale we czwórkę powinniśmy sobie poradzić. Oczywiście pod warunkiem, że Zofia nie zapomni, na jakim świecie żyje, a Zdzichu nie upije się znowu. Magda zdawała sobie sprawę, że okoliczności nie są normalne, ale na razie nie było wyjścia. Póki co lepszy pijany stajenny niż żaden. Postanowiła z nim porozmawiać i postawić mu ultimatum: albo praca za mieszkanie, wikt i opierunek, albo picie. Nie mogła ryzykować, zwłaszcza że Zdzichu miał zwyczaj zalewać się do nieprzytomności. Gdyby chodził tylko na lekkim rauszu, przymknęłaby oko.

W pośpiechu przeparkowała samochód pod dom i sięgnęła po bagaże. Już wcześniej Alicja przygotowała dla niej jeden z pokoi. Od progu biła wprawdzie z niego woń stęchlizny, ale Magda zostawiła drzwi otwarte na oścież. Podparła je kamieniem, żeby się nie zamknęły, i ruszyła w dobrze znanym sobie kierunku. Po drodze minęła kuchnię, do której zerknęła przelotnie; o dziwo, pomieszczenie wglądało całkiem nieźle. Magda skorzystała ze starodawnej łazienki, szybko przebrała się w odpowiednie ciuchy i pobiegła do stajni w poszukiwaniu kóz.

Jak się okazało, była posiadaczką pięciu samic i jednego kozła. Dodatkowo pod jej nogami pętały się dwa małe kozłatka. Zofia w kilku ruchach pokazała, co należy robić. W sumie nie było w tym nic trudnego – wystarczyło złapać nieco techniki i dojenie poszło sprawnie, choć w pewnej chwili Magda miała wrażenie, że zaraz odpadną jej ręce. Zgodnie z zaleceniem Zofii nie wydoiła kóz do końca, żeby zdołały wykarmić i własne dzieci.

W międzyczasie nawalony stajenny wyraźnie oprzytomniał i wziął się do roboty, Alicja zorganizowała krowie mleko od sąsiadki, a Zofia zabrała się za formalności związane z Ofelią. Sytuacja została względnie opanowana.

Magda nie zauważyła, kiedy minął dzień i zaszło słońce. Wieczorem łapczywie pochłonęła kanapkę z pomidorem, potem drugą. Właśnie kończyła, kiedy przypomniała sobie, że jeszcze nie zadzwoniła do domu. Ba, nie miała pojęcia, gdzie jest telefon. Ostatni raz rozmawiała z Alicją z samochodu, więc wzięła kluczyki i ruszyła na poszukiwania.

Komórkę znalazła pod siedzeniem. Na wyświetlaczu widniało dwadzieścia siedem nieodebranych połączeń.

– O, cholera – szepnęła, prawie pewna, że wszystkie połączenia to dzieło Tomka.

Wybrała numer męża, ale bez efektu.

Przynajmniej dowie się, że żyję, machnęła ręką i poczłapała w kierunku drewnianej werandy.

Schodkom brakowało dwóch stopni, poręcz spróchniały już dawno, a deski podłogowe trzeszczały złowrogo. Całość groziła zawaleniem, ale Magda widziała już tylko wiklinowy fotel wyściełany wysiedzianymi poduchami. Zmęczona opadła na rozchwierutany mebel i oparła nogi o jedyny ocalały

fragment balustrady. Odchyliła głowę do tyłu i bezmyślnie zagapiła się w sufit.

Zewsząd zwisały stare pajęczyny, pomiędzy którymi pająk krzyżak plótł nową sieć. Magda nigdy wcześniej nie widziała na żywo tego procesu. Właściwie to nigdy nie miała na to ani czasu, ani chęci. Lecz teraz mogła nadrobić zaległości. Mały spryciarz, zanim wybrał miejsce, musiał się zorientować, że w okolicy aż kłębi się od much, pomyślała. A teraz krok po kroku, metodycznie, rozpina cieniutkie niteczki.

Uśmiechnęła się do siebie, zmęczona tak, że nie miała siły się podnieść. Korzystając z krótkiej chwili spokoju, chłonęła leniwą atmosferę ciepłego wieczoru. Wyrwał ją z zamyślenia dopiero dzwonek telefonu.

– No, wreszcie! – usłyszała naburmuszony głos Tomka.

– Cześć, kochanie – powiedziała. – Przepraszam, że nie zadzwoniłam od razu, ale po przyjeździe wpadłam tu w taki kocioł, że nie...

– Daj spokój. – Mąż opryskliwie przerwał tłumaczenie. – A niby cóż takiego się stało, że nie miałaś czasu skontaktować się z domem, co? My tutaj odchodzimy od zmysłów, że coś ci się stało, a ty się spokojnie bawisz w farmę!

– Przecież powiedziałam, że przepraszam. I w nic się nie bawię. Moja stadnina to nie Farmville na Facebooku. Odbierałam poród, cudem udało się uratować źrebaki. Piękne są. I to właśnie z tego powodu nie mogłam zadzwonić. Życie maluchów wisiało na włosku, a kobyła...

– Przestań już! – Tomek z jakiegoś powodu chciał się pokłócić. – To nie tłumaczy twojego zachowania! Jesteś totalnie nieodpowiedzialna!

Magda dobrze wiedziała, że jej plany na najbliższy czas są mu nie w smak, ale przecież przed jej wyjazdem doszli do jakiegoś takiego porozumienia. Znała męża na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że teraz nastąpi seria fochów, którymi będzie próbował wywołać u niej wyrzuty sumienia i finalnie wymusić zmianę decyzji. Nic z tego. Nie tym razem. Już nie. *No way!*

– Słuchaj, ja nie mam siły się kłócić, więc przejdę do konkretów – powiedziała. – Jutro spotykam się z tym facetem od hotelu. Później pewnie pojedziemy do urzędu. Przy okazji będę chciała zobaczyć ten punkt apteczny i jakoś umówić cię z właścicielem.

– Kiedy przyjedziesz do domu?

– Jak to: kiedy? Przecież dopiero wyjechałam – odparowała zdecydowanie. – To raczej ja powinnam zapytać, kiedy ty przyjedziesz tutaj. Proponuję przyszłą sobotę.

– Ja nie wiem, co w ciebie wstąpiło. Normalnie cię nie poznaję. Mama obraziła się na amen za to, co wyprawiasz. Ciosa mi kołki na głowie, odstawia histerie i w ogóle.

– Trudno.

– Daj mi powiedzieć! – Tomek prawie krzyknął. – Przecież każdy, komu bym o tym opowiedział, stwierdziłby, że ci odbiło!

– Przestań na mnie krzyczeć, do jasnej cholery! Pozwól mi chociaż spróbować! Czy ty nie widzisz, że nasze małżeństwo wisi na włosku?

– Ale...

– Teraz ja mówię! – huknęła Magda do telefonu. – Ja nie odpuszczę! Zbyt wiele mam do stracenia. Ty też. Więc szykuj się na przyszły weekend, bo ja na razie nigdzie się stąd nie ruszam!

Rozdział 11

Musimy wybrać dla nich jakieś normalne imiona – zarządziła Zofia przy śniadaniu. – Bo jeśli nadal wszyscy będziemy nazywać małego sierotą, to mu tak zostanie. A kary ogier i Sierota to zestawienie do luzu.

– A czy przypadkiem imię źrebaka nie powinno zaczynać się na tę samą literę, co imię jego matki? – zapytała Magda.

– Niby powinno, ale to bez znaczenia.

– To dajmy mu Orfan. To też sierota i brzmi prawie po angielsku. Będzie dobrze – zaproponowała Alicja i z ociąganiem przystąpiła do sprzątnięcia ze stołu. – A małej może Orfетка?

Pomysł został powitany z uznaniem. Przy okazji wyjaśniono Magdzie procedury związane z rejestracją i ewidencją zwierząt w Związku Hodowców Koni. Niestety, to również wiązało się z opłatami, ale że termin zgłoszenia mijał dopiero z końcem roku kalendarzowego, wydatek z klucza podlegał odroczeniu. Choć Magda lubiła być na bieżąco, teraz po prostu musiała poczekać, aż przyjdzie na świat reszta maluchów. Poza tym liczył się każdy grosz.

Na razie sytuacja z karmieniem Orfana i Orfетки została opanowana. Zofia czuła się dobrze i chwilowo to ona i Alicja wzięły na siebie cogodzinne posiłki. Magda obiecała wsparcie, ale wszystkie uznały, że ktoś musi się wyspać, w razie gdyby trzeba było zarwać kolejną noc. Zdzichu wreszcie wytrzeźwiał i zdążył już nawet pokajać się przed nową właścicielką stadniny. Solennie obiecał poprawę, choć Magda niespecjalnie wierzyła w te zapewnienia. Mogła tylko liczyć, że przynajmniej przez jakiś czas będzie spokój. Dobrze było i to, w najbliższych dniach bowiem czekał ją totalny armagedon. Chwilami myślała, że rzuca się z motyką na słońce, i bała się, że nie da rady. Przecież tak bardzo chciała, żeby wszystko się udało, a na każdym kroku piętrzyły się nieprzewidziane przeszkody. Już samo uprzątnięcie stajni i domu stanowiło wyzwanie nie lada. Naprędce podzieliła obowiązki, choć zadań było więcej niż wykonawców. Na razie sprzątnięcie domu mogło zaczekać. Teraz najważniejsza była stajnia i remont dachu. Wchodząc tam po raz pierwszy, Magda doznała déjà vu, z tą różnicą, że teraz wszędzie panoszyły się bród i smród, a przegniłe drewniane ścianki boksów wymagały natychmiastowej wymiany.

W końcu coś tutaj musiało zacząć zarabiać, więc hotel dla koni – mimo wszystko – wydawał się pomysłem najlepszym i najprostszym w realizacji, choć bez dodatkowych pieniędzy i wsparcia przy porządkach było to niemożliwe. Ich czwórka nie miała najmniejszych szans, żeby poradzić sobie ze wszystkim, a Magdzie zależało na czasie. Na podjęcie życiowej decyzji miała jedynie kwartał, a zważywszy na to, co ją czekało, czasu było niewiele. Na szczęście za kilka tygodni zaczynały się wakacje, podczas których w stajni zakotwiczyć miało na dobre grono zakochanych w koniach nastolatek. Dziewczynki czerpały niekłamaną przyjemność z zajmowania się zwierzętami, więc jeden kłopot miał spaść Magdzie z głowy. Gorzej sprawa przedstawiała się ze sprzątnięciem i naprawą boksów. Na razie priorytetem było uruchomienie nieczynnej części stajni.

Za godzinę Magda umówiła się z właścicielem pobliskiego hotelu, zatem szybko wzięła prysznic, żeby zmyć z siebie stajenny zapach. Chcąc wyglądać profesjonalnie i schludnie, włożyła skromną prostą sukienkę w kwiatki i zrobiła delikatny makijaż. Przy swoim wzroście nie potrzebowała obcasów, więc

wsunęła stopy w ulubione sandały z zameczkiem na pięcie i zadowolona okręciła się przed zamglonym ze starości wielkim lustrem. Dystans był zbyt krótki, żeby pojechać na spotkanie samochodem, więc założyła okulary przeciwsłoneczne, pokonała go na piechotę i o czasie zameldowała się na miejscu. Boy hotelowy rozpoznał ją od razu, witając jak dobrą znajomą. Natychmiast wskazał jej drogę do szefa.

Magda zastukała cicho. Nie doczekała się odpowiedzi, więc ostrożnie pchnęła drzwi.

W przeciwieństwie do reszty hotelu gabinet właściciela prezentował się ascetycznie. Proste sprzęty i oszczędne w formie ozdoby od razu zdradzały gościom, że to męskie królestwo.

Przy biurku siedział ogolony na łyso mężczyzna, pochylony nad papierami. Gdy podniósł wzrok, Magda przystanęła w pół kroku – patrzyły na nią przedziwnie jasne oczy o spojrzeniu tak przenikliwym, że ciężko było odwrócić wzrok. Całość fizjonomii zdominował niespotykany jasny kolor tęczy. Człowiek już nie zwracał uwagi na nic innego: ani na odstające uszy, ani na ładnie wykrojone usta, ani nawet na całkiem okazały brzuch.

Magda nie uległa hipnozie, choć przyszło jej to z trudem. Miała dziwne uczucie, że już kiedyś widziała takie oczy, ale za nic nie mogła sobie przypomnieć kiedy. Głowiła się nad tym przez całe spotkanie, choć przecież przyszła tutaj, by załatwić ważną sprawę. Sprzedaż działki była sprawą gardłową i stanowiła o być albo nie być stadniny. Na szczęście jej kontrahent był dobrze przygotowany i wykazał się wystarczającą przytomnością umysłu, by po krótkich oględzinach terenu i wizycie w urzędzie gminy praktycznie dobić targu. Magda była przeszczęśliwa, ale jako osoba przesądna obawiała się świętować zbyt wcześnie. Najpierw formalności, pomyślała.

Skorzystała z okazji i podjechała pod punkt apteczny, gdzie wypytała właściciela o najważniejszą sprawę. Na miejscu okazało, że pan Edward rzeczywiście wybiera się na zasłużoną emeryturę. Z końcem roku planował zamknąć biznes, ale że był farmaceutą z powołania, nie wyobrażał sobie, że pozostawi mieszkańców z Pieniek bez apteki. Mocno ubolewał, że ani jego jedyny syn, ani wnuki nie zdradzali zainteresowania branżą, więc odkładał odejście z roku na rok. Sprawiał przemiłe wrażenie i Magda była prawie pewna, że przejęcie interesu to strzał w dziesiątkę, niemniej jednak wiele ustaleń pozostawało poza jej kompetencjami. Nie miała pojęcia o zawodowych zawiłościach i jasne było, że bez udziału Tomka się nie obejdzie. Pozostawała nadzieja, że ten rzeczywiście dojedzie w nadchodzącą sobotę i obaj panowie dogadają szczegóły. Magda zrobiła, co mogła. Teraz nadeszła pora, żeby do akcji wkroczył osobiście jej mąż.

Sprawy układały się dobrze. Po pechowym poniedziałku wtorek obfitował w sukcesy. Magda zadzwoniła do domu i ożywiona zdała Tomkowi relację. Na szczęście przeszły mu już fochy. I nawet okazał względny entuzjizm w kwestii sobotniego spotkania z panem Edwardem.

Magda poczuła się tak, jakby właśnie zgarnęła główną wygraną na loterii. Przez resztę popołudnia uśmiech nie schodził jej z twarzy, a robota dosłownie paliła się w rękach.

Podśpiewując wesoło, weszła do stajni. Orfan i Orfetka już całkiem pewnie trzymali się na nogach i żrebaki nie robiły sobie nic ze swojego sieroctwa. Zaciekawione rozglądały się dokoła; widać było wyraźnie, jak z zainteresowaniem chłoną nowe dźwięki. Pamięć Zofii – odpukać! – wciąż miała się dobrze, Alicji nie trzeba było gonić do pracy przy koniach, a Zdychu wyglądał na całkiem trzeźwego i energicznie machał widłami, wygarniając nieczystości z boksów.

Magda pogłaskała żrebaka i rażno ruszyła wydoić kozy. Nie kryła zadowolenia, że również i ta czynność idzie jej coraz sprawniej. Jeszcze przed wieczorem uznała, że kończy się właśnie jeden z najlepszych dni w jej życiu, więc tym chętniej przyjęła od Adama, właściciela Nestora, zaproszenie na kolację.

– Mam dla ciebie propozycję nie do odrzucenia – usłyszała niespodziewanie w słuchawce.

– Zamieniam się w słuch.

– Jako że niedługo oficjalnie zostaniemy sąsiadami, chciałbym uczcić ten fakt czymś dobrym do jedzenia i picia. Co sądzisz o wspólnej kolacji? – powiedział Adam.

Magda, na wspomnienie makaronu z cukrem i suchym twarogiem, który zjadła na obiad, poczuła ślinę napływającą do ust. Z przyjemnością pomyślała o wykwintnym restauracyjnym menu i przyjęła zaproszenie bez namysłu.

– Nie mam nic przeciwko. Dziękuję – zaszczębiotała do telefonu. – O której mam się pojawić?

– Czy ty mnie masz za nieokrzesanego gbura? – oburzył się Adam żartobliwie. – To ja przyjdę po ciebie. A raczej przyjadę.

– Ty chcesz mnie zawieźć stąd do Nestora? Dobrze się czujesz?

– Nie, nie. Możesz wierzyć lub nie, ale mam już po dziurki w nosie własnej kuchni i dań spod ręki kucharza, któremu płacę. Marzę o tym, żeby zjeść gdzie indziej. Zatem jak? Dziewiętnasta pasuje?

– Jasne – zgodziła się ochoczo Magda.

Zakończyła rozmowę i odruchowo zerknęła na zegar.

– Matko!

Do umówionej pory pozostała zaledwie godzina. Tymczasem woń skóry, włosów, tudzież całego ubrania wyraźnie zdradzała jej wcześniejszą obecność w stajni i zagrodzie dla kóz.

Jak strzała wypruła do łazienki, chwytając w przelocie czyste ubranie. Nie wzięła z domu zbyt wielu ciuchów, no i nie miała pojęcia, gdzie dokładnie odbędzie się kolacja. Wybrała zatem białe dżinsy i koszulkę w stylu marynarskim. Latem ten zestaw sprawdzał się zawsze i wszędzie. Do tego granatowa apaszka i białe espadryle na sznurkowej koturnie i gotowe. Jeszcze tylko kilka pociągnięć maskarą po rzęsach i dwa szminką po ustach.

– No, ekstra.

Podpierająca futrynę Alicja patrzyła z uznaniem.

– Wychodzę – oświadczyła Magda. – To znaczy, jadę na kolację z Adamem.

– Z tym grubasem? – Ala brodą wskazała w stronę hotelu.

– W rzeczy samej – odparła nieco zirytowana komentarzem Magda.

Lepiej byłoby, gdyby ona sama zrzuciła ładnych parę kilogramów i dopiero wygłaszała krytykę, pomyślała.

– Wszystko z mojej strony ogarnięte. Nie wiem, kiedy będę z powrotem, więc niech Zdzisiek nie zamyka bramy i nie spuszcza psów, dopóki nie wrócę. Dobrze? I jeszcze... – Magda urwała na widok wypucowanego czarnego mercedesa, który właśnie zajechał pod dom. – O kurde. No, no! – Z aprobatą pokiwała głową.

– Nieźle. Baw się dobrze.

Alicja puściła oko i w obawie przed ostrą ripostą przezornie czmychnęła w głąb domu.

Bardzo polubiła nową szefową i miała nadzieję na zacieśnienie relacji. Na razie postanowiła pomagać i mimo swojego lenistwa oraz wrodzonej niechęci do sprzątanania, bez oporów wzięła się do szorowania drewnianej podłogi w sieni.

Magdę zaskoczył nieco widok auta, bo wcześniej jeździła z Adamem jego niewielką terenówką. A już kompletnie zadziwił ją widok siedzącego za kierownicą młodego portiera.

Adam odczytał jej minę bezbłędnie.

– Rzadko korzystam z usług szofera – roześmiał się. – Ale dziś taka okazja, że drinka sobie nie odmówię. Zapraszam.

Szarmanckim gestem otworzył drzwiczki.

Magda jeszcze nigdy nie siedziała w tak luksusowym samochodzie, więc teraz rozglądała się ciekawie.

– Piękna maszyna – pochwaliła z uznaniem.

Sąsiad, najwidoczniej łasy na pochlebstwa, wyraźnie pokraśniał z zadowolenia.

– Dzięki. Jedno auto mam do pracy, drugie od parady. – Uśmiechnął się. – Mam jeszcze furgonetkę, traktor i skuter, a jakby kto pytał, to i kosiarkę, i piłę spalinową. To już chyba wszystko, co jest napędzane silnikiem.

– Nieźle.

Rozbawiona Magda nawet nie zauważyła, kiedy zajechali na miejsce.

Elegancka restauracja w samym centrum Tczewa kusiła sympatycznym wystrojem. Z jednej strony ktoś konsekwentnie zadbał o styl, by z drugiej strony stworzyć miłą i pozbawioną zadęcia atmosferę. Miodowe odcienie wnętrza przenikały się wzajemnie, gdzieniegdzie kontrastowo odcinały się koralowe akcenty. Meble z jasnego drewna i stosownie dobrana zastawa bardzo przypadły Magdzie do gustu. Już dawno nie była w podobnym miejscu. Ba, nawet nie potrafiła sobie przypomnieć, by Tomek kiedykolwiek zapraszał ją do restauracji. Z tym większym zainteresowaniem zerknęła w kartę dań.

– Co polecasz? – zapytała.

Miała nadzieję, że Adam jest stałym bywalcem lokalu, więc wybawi ją z kłopotu. Sama nie była w stanie rozszyfrować, co kryje się pod wymyślnymi nazwami, a nie chciała wyjść na osobę nieobytą.

– Nigdy wcześniej tutaj nie byłem – powiedział Adam. – Polecił mi to miejsce jeden z hotelowych gości. Projektował wnętrza, a przy okazji załapał się na czas, kiedy kucharze testowali nowe potrawy, więc miał szansę skosztować wyboru. Mówił, że wszystko jest pyszne.

– Wcale mi nie pomogłeś. – Magda roześmiała się szeroko. – Chyba wybiorę coś w ciemno.

– Proponuję na chybił trafił. Zamknij oczy. – Mężczyzna ujął jej rękę i podsunął pod palce menu. – Otwórz gdzie popadnie i celuj.

– A jak mi się otworzy na alkoholach?

– To wypijemy. Zapomniałaś, że mamy kierowcę?

Pękającej ze śmiechu Magdzie udało się wreszcie dokonać wyboru. Nie uszło wprawdzie jej uwagi, że jej dłoń została przytrzymana dłużej, niż wymagała tego sytuacja, ale w zasadzie dlaczego nie?

Pominęli klasyczne przystawki i rozpoczęli od francuskiej zupy cebulowej z grzankami. Adam porozumiał się z kelnerem w kwestii win; jako że sam prowadził restaurację, znał się na rzeczy, choć Magda nie miała pojęcia, o czym panowie rozmawiają. Obsługujący ich chłopak dał z siebie wszystko. Rzeczywiście, był świetnie wyszkolony.

– No to za nasze sąsiedztwo! – Adam uniósł kieliszek w toaście. – Twoje zdrowie!

– I twoje. – Magda uśmiechnęła się skromnie.

– Ciekawe, co nam podadzą? Wiesz, ja zawsze i wszędzie szukam inspiracji dla mojego szefa kuchni. Lubię od czasu do czasu czymś zaskoczyć gości. Teraz będę musiał nieco zmodyfikować jadłospis na wakacje, bo przyjedzie więcej ludzi z dziećmi. Do tego z okazji końca roku szkolnego zawsze organizuję party dla okolicznych dzieciaków z biednych rodzin. Oczywiście to tylko pretekst, żeby zaprosić wszystkie. W zeszłym roku było ich około setki.

– Piękny gest. Dobrze, że cię na to stać.

– E tam, bez przesady. One wcale nie mają wielkich wymagań. Dużo picia, dużo nuggetsów, dużo frytek i dużo pizzy. To de facto najtańsze jedzenie, a ile radości. Znajomy wypożycza mi po kosztach dwa, trzy dmuchańce do skakania i trampoliny, a lokalny zespół zawsze chętnie pogra w tygodniu. Zwykle gra u mnie na weselach, więc takie wydarzenie to dla nich świetna promocja.

– Super.

– Do tego dla dzieciaków imprezka w Nestorze to wielkie wydarzenie, prawie nobilitacja. Naprawdę warto inwestować w takie rzeczy. To się zawsze zwraca, niekoniecznie w brzęczącej monecie. Dzięki temu znam wszystkich i wszyscy znają wszystkich. To bywa bardzo cenne. Zatem jeżeli będziesz kiedyś

potrzebowała jakiegokolwiek pomocy od lokalsów, to śmiało zgłaszaj się do mnie po kontakty.

Magda słuchała towarzysza z przyjemnością. Miał miły tembr głosu; według niej mógłby pracować w radiu. Z zainteresowaniem słuchała tego, co mówił. On chyba musi być dobrym człowiekiem, pomyślała, bezwiednie zagapiwszy się na jego odstające ucho. Może gdyby miał włosy, jego uszy tak bardzo nie rzucałyby się w oczy? Bo teraz po prostu nie sposób nie zwrócić na nie uwagi.

– Widzę, ja wszystko widzę – powiedział Adam, uśmiechając się delikatnie. – Już jako dziecko poznałem ten wzrok. Czuję, kiedy ktoś się im przygląda.

– O Boże, przepraszam. – Magdzie zrobiło się głupio. Wcale nie miała zamiaru urazić tego uroczego faceta naprzeciwno. – Ja nie chciałam...

– Magda. – Adam ponownie dotknął jej dłoni. – Spokojnie. Ja przywykłem. Już w przedszkolu śmiali się ze mnie, że mam uszy jak garnek. W szkole też nie było lepiej. Cóż, moi rodzice byli zbyt biedni, żeby zafundować mi operację plastyczną.

– Ale po co?

– Po to, żebym pozbył się traumy z dzieciństwa. Nic to. Dorosłem, stać mnie już na przeróbki, ale uznałem, że to nieistotne. Ma i swoje dobre strony, bo nie można mnie pomylić z nikim innym. Nikt w całej gminie nie ma takich kłapciatych uszu. Zdrowie!

Magda odetchnęła z ulgą. Skoro Adam nie widział problemu, to tym bardziej ona nie powinna.

Z apetytem spałaszowała cudownie aksamitną zupę z cebuli. Położona na wierzchu chrupiąca grzanka, zapieczona z parmezanem, po prostu rozpływała się w ustach. Istne niebo w gębie. Wiedziała już, że odwiedzi ten lokal jeszcze raz, ale tym razem z własnym mężem.

– Jakie masz plany na wakacje? – zapytał Adam i ponownie napełnił jej kieliszek.

– Raczej ustalone. Nie mam dzieci, więc dla mnie to miesiące jak wszystkie inne. Tutaj jest masa roboty. Mój mąż też nie będzie miał lekko. Poza tym nie mam kasy na wyjazdy. A ty? Jedziesz gdzieś?

– Nawet nie żartuj. No, może na parę dni. Wakacje to w moim interesie największy młyn. Wesel od cholery, do tego turnusy i rezydenci. Dodatkowo mój brat i bratowa właśnie przechodzą kryzys małżeński. Aktualnie są w fazie cementowania związku i postanowili wżenić mi swoich synów na całe wakacje. Z dwoma rozpieszczonymi nastolatkami wcale nie będzie łatwo. Są tak rozkapryszeni, że głowa mała. Ja, jak byłem w ich wieku, to wcinałem wszystko jak leci, a oni tylko polędwiczka, filecik, suflecik i takie tam pierdoły. Mój kucharz jest chory na samą myśl o ich pobycie. Normalnie świat się kończy.

– A ty? Masz dzieci? – zainteresowała się Magda.

– Nie. Ale może to i dobrze? Dla mojej żony życie u boku hotelarza było zbyt prostackie i nudne, zatem wybrała projektanta mody. To, że on udaje utalentowanego geja, to nic. Oboje wyglądają razem jak para wariatów.

– Żona też z jego branży?

– Nie, ale blisko. Malarka, której wydaje się, że ma talent. Tyle że naprawdę jej się tylko wydaje. Uwierz mi. W hotelu wisi kilka jej prac, przy okazji ci pokażę. A w temacie chłopaków – chciałbym ich wysłać do ciebie na jazdy. W końcu coś robić muszą poza klepaniem w tablety. Oczywiście płacę. Jak chcesz, to nawet z góry.

– Nie ma sprawy, ale nie wezmę pieniędzy. Skoro to wyrosnięte chłopaczyska, zagonię ich do roboty, jeśli się zgodzisz.

Przyjemne z pożytecznym, pomyślała. W tej chwili każda para rąk była w stadninie na wagę złota, bo do uprzątnięcia pozostało jeszcze pół stajni Augiasza i ze cztery budynki z nie wiadomo czym. Za pieniądze ze sprzedaży działki Magda planowała spłacić długi, wyremontować dachy na stajni i domu, i... I to by było na tyle. Myślała, że za grunt dostanie więcej pieniędzy, ale przy problemach, które pojawiły się podczas odrolnienia, wołała pozbyć się go jak najszybciej. Natomiast Adam wierzył

w swoje koneksje i był przekonany, że uda mu się uzyskać takie przeznaczenie działki, na jakim mu zależy. Magda, obca w okolicy, nie miała na to szans i musiała ufać, że przyzwoitą cenę pozwoli jej uzyskać bliska obecność mediów i spory fragment sosnowego lasu. Adam uchylił jej rąbka tajemnicy – w tym lesie planował zrobić park linowy. Te modne ostatnio sprawnościowe atrakcje dla ludzi w każdym wieku i na każdym poziomie umiejętności robiły prawdziwą furorę. Inwestycja była w sumie niewielka, a w szybkim tempie zwracała się stokrotnie.

Magda miała nadzieję, że większa liczba ludzi w okolicy stadniny zaowocuje wzrostem chętnych na jazdy. Oczywiście jej marzeniem była stajnia idealna i docelowo własna baza noclegowa, ale o tym mogła teraz jedynie pomarzyć. Na razie czekał ją taki ogrom prac, że w chwilach gdy opadał entuzjazm, z marszu wpadała w czarną rozpacz.

– Nie mam pojęcia, jak sobie poradzę, ale spróbuję – westchnęła strapiona.

– Pomogę ci – odparł Adam. – W pomaganiu jestem świetny.

– Też chcesz zakasać rękawy? – zapytała wesoło.

– Nie. Przyślę ci pracowników. W dodatku darmowych.

– Jak to: darmowych? Przecież nikt za darmo nie przyjdzie.

– Ależ przyjdzie. I w dodatku będzie pracował jak z motorkiem w... No, w tyłku. Jeśli tylko chcesz, to załatwię ci więźniów. Mój znajomy jest dużą szycią w więziennictwie i zajmuje się programami resocjalizacji osadzonych.

– Jezus Maria.

Oczami wyobraźni Magda zobaczyła panoszących się w stadninie morderców, gwałcicieli i innych zwyrodnialców. Pobladła i niepewnie zerknęła na swego towarzysza. Choć wiedziała, że po znajomości jej nowy kolega załatwić może wiele, była pewna, że teraz żartuje.

– Robisz sobie ze mnie jaja, prawda?

– Ależ skąd! Nie, nie. Spokojnie. Mówię o osadzonych za lekkie przestępstwa, głównie gospodarcze. Zapewniam, żadnych zwyroli. Nie tak dawno byli u mnie i sprząтали cały teren po zimie. Plantowali ziemię pod nowe trawniki, grabili ścieżki. Nawet jeden architekt zieleni mi się trafił i przy okazji fachowo poprzycinał wszystkie rośliny.

– Matko, to ogrodnicy też siedzą?

– Moja droga, siedzą wszyscy. Opiekunki do dzieci, ministrowie, ministranci i mechanicy samochodowi. Ten akurat przekręcił współnika i urząd skarbowy w komplecie, a u mnie pokazał, co naprawdę potrafi. Może jeszcze siedzi. – Adam mrugnął porozumiewawczo.

– Mam mnóstwo krzewów do przycięcia.

Magda nie wytrzymała i roześmiała się głośno.

Adam był zdania, że nawzajem naprawdę mogą sobie pomóc. Na terenie, który zamierzał kupić, planował zbudować basen, docelowo kryty, i kilkanaście domków wypoczynkowych. Miał również zamiar wystawić dwa pawilony noclegowe z przeznaczeniem na kolonie, zgrupowania i – co najbardziej zainteresowało jego sąsiadkę – na obozy jeździeckie. Ani przez chwilę nie krył, jak bardzo mu zależy na funkcjonowaniu stadniny i odzyskaniu przez nią dobrej opinii. Po kolejnym kieliszku zaproponował nawet, że chętnie odkupi od Magdy całość majątku, ale ona zaprotestowała ostro.

– A nigdy w życiu! Mowy nie ma. To scheda po mojej babci. A ja zrobię wszystko, żeby było, jak chciała.

Adam uśmiechnął się, po czym użył wrodzonego wdzięku i zaproponował taniec. Kapela właśnie nastroiła instrumenty i zagrała pierwszy kawałek. Na parkiecie kręciło się już kilka par.

– Jasne, chętnie. Ale jest pewien problem. – Magda uśmiechnęła się niepewnie.

– Jaki? Religia ci zabrania?

– Nie. Nie umiem tańczyć.

Adam wstał i bez słowa wziął ją za rękę.

Początkowo ciało stawiało opór, ale ilość wypitego wcześniej wina sprawiła, że wkrótce Magda poczuła się całkiem swobodnie. Zupełnie zapomniała o braku umiejętności i pozwoliła partnerowi poprowadzić. Nawet ona, całkowity neptek w tej kwestii, czuła, że Adam tańczy wspaniale. Pomimo tuszy poruszał się lekko i z gracją.

Po kilku piosenkach odzyskała pewność siebie. Jej partner przytulił ją mocniej.

– Wiesz, to uroczy wieczór – powiedział jej do ucha. – Musimy go jeszcze kiedyś powtórzyć.

– Daj spokój! – roześmiała się. – Przecież to zaczyna wyglądać jak randka.

– Nie mam nic przeciwko temu. A ty? – zapytał niezrażony Adam i spojrzął przeciągle.

– Zwariowałeś? Przecież ja mam męża i nie szukam przygód – zapewniła gorliwie Magda, co nie wpłynęło na fakt, że bawiła się po prostu szampańsko.

Spotkanie upłynęło na tańcu, żartach i jedzeniu. Po pierwszym podejściu do rycerskich szpadek i wątróbki smażonej z jabłkami dali się namówić na ozór wołowy i polędwicę chateaubriand. Zgodnie z zapewnieniami kolegi Adama, dania były naprawdę wyśmienite.

Wieczór przeleciał jak z bicza strzelił. Magda nie pamiętała, żeby kiedykolwiek bawiła się tak dobrze w towarzystwie kogoś, kogo dopiero poznała. Zanim Adam zadzwonił po kierowcę, minęła północ.

W drodze powrotnej myślała tylko o tym, żeby jej towarzyszowi nie przyszedł do głowy pomysł całowania jej na dobranoc albo jakaś inna romantyczna bzdura, która tylko popsułaby wszystko, ale na szczęście nic podobnego nie nastąpiło. Adam popisowo zdał egzamin na przyjaciela.

Rozdział 12

Nie zgadzam się! To jakiś absurd! A ty może ocknijże się wreszcie! – tokowała wzburzona Sylwia. – Skąd w ogóle ten poroniony pomysł, że ja się zgodzę? Mowy nie ma!

Magda, podkrecona serią mniejszych i większych sukcesów, dostała skrzydeł. Uszczęśliwiona powodzeniem niemal unosiła się nad ziemią. Jej wyidealizowana wizja wspaniałej świetlanej przyszłości, w świetnie prosperującej stadninie, wydawała się tak realna, że niechcący zepchnęła na dalszy plan rzecz najważniejszą.

Błędne okazało się założenie, że siostra nie tylko podzieli jej entuzjazm, ale i zechce wstrzymać się z rozliczeniem spadku. Tyle że tak się nie stało. W piątek ona i Tomek zameldowali się w Pieńkach. Sylwia w rajdowym stylu przecięła alejkę obok zarośniętego klombu i z głośnym chrzęstem zaparkowała na żwirowym podjeździe przed domem. Wparowała i bez powitania, w krótkich słowach, sprowadziła Magdę na ziemię.

– Ale, Sylwia, posłuchaj... – Ta spróbowała ostrożnie, ale nie dane jej było dokończyć.

– Nie! To ty posłuchaj! Nie taka była umowa.

– Ja tylko chcę oddłużyć stadninę. Kiedyś przecież stanę na nogi i cię spłacę.

– Twoje „kiedyś” gównu mnie obchodzi! I ta cała stadnina, i twoja fanaberia, żeby zostać kowbojem!

Już ci mówiłam, że chcemy zainwestować kasę w apartament dla młodego. A właśnie trafiło się nam coś atrakcyjnego.

– Ile kosztuje? – zapytała Magda z obawą w głosie.

– Nie twój interes! – prychnęła Sylwia. – Mój plan jest taki: wypłacasz mi całość kasy za działkę i stadnina jest twoja. Masz mnie z głowy.

– Mowy nie ma – powiedziała hardo Magda.

Miała bolesną świadomość, że bez pieniędzy straci szansę na przetrwanie.

Kłóciły się ponad godzinę, choć doskonale było wiadomo, że kwestii finansowej siostra łatwo nie odpuści. Ale w końcu doszły do porozumienia – Magda z uzyskanych ze sprzedaży działki pieniędzy miała spłacić tylko zaległe bankowe raty i przejąć kwotę na naprawę dachów, za którą Sylwia zażądała faktur i pełnego rozliczenia kosztów. Nie było co marudzić; zgodziła się bez wahania. Reszta kasy z transakcji miała trafić do Sylwii, a ta w zamian rezygnowała z praw do stadniny.

Po wszystkim Magda oklapła jak wypompowany materac. Przez chwilę liczyła na jakieś wsparcie od męża, ale i on nie wykazał najmniejszego entuzjazmu dla jej pomysłu. Skryta nadzieja, że ją pochwali, że powie, jaka jego żona jest zaradna i dzielna, poszła się paść. Tomkowi zabrakło skali porównawczej pomiędzy tym, co było w Pieńkach wcześniej, a tym, co widać było teraz. Dla niego ruina była po prostu ruiną i tyle. Magda liczyła, że pobędą razem przez cały weekend, że oprowadzi Tomka po włościach i opowie o planach, tymczasem on przyjechał z Sylwią, która nie dość, że na każdym kroku strzelała fochy i prezentowała najdalej idącą pogardę, to jeszcze zamierzała wracać do Gdańska wieczorem tego samego dnia.

– Naprawdę nie chcesz zostać ze mną do niedzieli? Tęskniłam za tobą. – Magda spróbowała powalczyć. – Przecież możesz wrócić busem. Albo ja cię odwiozę – kusiała.

– Nie da rady, kochanie. Nie ma szans. Mama została bez opieki, a ja jutro muszę być w pracy.

– Szkoda.

– Nie mam nawet rzeczy na zmianę – dodał Tomek i przygarnął żonę. – W przyszłym tygodniu przyjadę na dłużej, obiecuję. Wtedy wszystko dogramy, dobrze?

Pocałował Magdę namiętnie.

– A może, skoro już tu jestem, pokażesz mi swoją sypialnię? – wymruczał jej wprost do ucha.

Magda rozpromieniła się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

– W sumie to czemu nie. Przecież mamy czas – stwierdziła i wzięła męża za rękę.

Sylwia, obrażona na cały świat, odmówiła zjedzenia wspólnego obiadu i udając, że nie poznaje Zofii, ostentacyjnie poszła coś zjeść do Nestora. No tak, ma alergię na konie, ale na rozmowę o pieniądzach z tych koni ani trochę, westchnęła w duchu Magda.

Przed odjazdem udało się jej jeszcze namówić Tomka na spotkanie z panem Edwardem. Nie miała rzecz jasna wielkiego pojęcia, o czym rozmawiają mężczyźni, ale ożywienie jej męża pozwalało sądzić, że obu połączyła pewna nić porozumienia. Panowie dogadali się i uścisnęli sobie dłonie. Stary aptekarz zobowiązał się nawet do pomocy w przejściu punktu, a później, jeśli się dograją, do pozostania w nim na ćwierć etatu. Rozwiązanie wydawało się optymalne.

Tomek wreszcie wykazał cień zapału. Najwyraźniej dotarło do niego, że z jednej strony miałby zapewnioną pracę na miejscu, i to bez żadnego szefa, z drugiej pan Edward pomógłby mu się odnaleźć, a przy okazji skorzystałby na takim rozwiązaniu. Stary aptekarz, wbrew temu, co mówił, za nic nie chciał odejść z pracy, którą kochał i której poświęcił całe dorosłe życie.

Magda, widząc radość męża, poczuła prawdziwe szczęście. Teraz już była pewna, że razem poradzą sobie ze wszystkim. Wprowadzie do omówienia i rozwiązania pozostawała jeszcze sprawa ulokowania gdzieś Leontyny, ale w tej kwestii Magda dała sobie nieco więcej czasu.

Akcja z teściową wymagała dokładnego przygotowania, między innymi rekonesansu w okolicy. A że w terenie Magda wciąż jeszcze orientowała się słabo, skorzystała z tego, że przy karmieniu źrebiąt zaczął dyżurować Zdzichu, i postanowiła nadrobić zaległości.

Odpaliła fiestę i wyruszyła na poszukiwania najbliższej stacji benzynowej. Wcześniej załadowała do bagażnika kanister, żeby kupić paliwo do zdezelowanego ciągnika, który stał zapomniany w szopie za stajnią. Jeśli wierzyć zapewnieniom Zofii, stary jak świat ursus miał być jeszcze na chodzie. Magda postanowiła to sprawdzić.

– Cześć. Daj, pomogę ci – usłyszała głos weterynarza. – Daj. To ciężkie.

– Oj, dzięki! – odparła z wdzięcznością, gdy doktor przejął ciężki kanister z olejem napędowym.

– Ty mnie nie pamiętasz, prawda? – zapytał.

Patrzył z kpiącym uśmiechem.

– Rzeczywiście, nie – powiedziała ostrożnie. – A powinnam?

– No jasne, że powinnas. W końcu kiedyś niejedne wakacje spędziliśmy w stajni tylko we dwoje. Serio nie pamiętasz?

– O Boże! Staszek? To naprawdę ty? – Magda aż zamrugowała. – Matko, tak bardzo się zmieniłeś! Kompletnie cię nie poznałam.

– Myślę, że moglibyśmy jakoś uczcić fakt, że oto wróciła ci pamięć. Co powiesz na lunch? Mam wolną godzinę i chwilowo żadnych wezwań. A tuż obok jest miła pizzeria. Hę?

Magdzie na myśl o pizzy zaburczało w brzuchu.

– Chętnie.

Apetyczny zapach dopadł ich już na parkingu. Magda zgłodniała podwójnie.

– Normalnie nie wierzę, że to ty – westchnęła. – Żebyś ty wiedział, jak ja kiedyś się w tobie kochałam.

– A ja w tobie. A wiesz, jak byłem przerażony, że zakochałem się w takiej smarkuli? Pamiętam, jak mnie wkurzałaś tym łażeniem za mną krok w krok, ale gdy wyjechałaś, zacząłem tęsknić jak głupi.

– Poważnie? Gdybym tylko wiedziała... To mogłoby zmienić całe moje życie – parsknęła śmiechem Magda.

– Całkiem poważnie. Bez przerwy czekałem, kiedy znów przyjedziesz. No i wreszcie przyjechałaś.

W doskonałych nastrojach spałaszowali pizzę wielkości koła od wozu. Wspomnieniom nie było końca. Staszek opowiedział o żonie i synku, Magda o swoim życiu w Trójmieście. Dowiedziała się, że on uwielbia i rodzinę, i pracę. Nie dziwota, stwierdziła. Ktoś, kto wychował się w stajni, nie mógł wybrać innego zawodu. Staszek specjalizował się w koniach i zwierzętach gospodarskich, i z czasem stał się najlepszym fachowcem w okolicy.

– Pamiętaj o obowiązkowych szczepieniach – powiedział. – O ile pamiętam, twoje konie mają zaległości. Lepiej nie ryzykować.

– Kurczę – westchnęła Magda. – Ile znowu?

– Spokojnie, policzę po kosztach. Wiem, że masz napięty budżet. A jak mi zdechną pacjenci, ja też stracę.

– Dziękuję.

– Pamiętaj, że zawsze możesz sprzedać dwa siwki na mięso i w razie czego podreperować finanse. Pozostałe na ubój się nie nadają.

– Jak to? – Magda aż podskoczyła. – Mam oddać konie do rzeźni? A w życiu! – Oburzyła się na całego, choć doskonale zdawała sobie sprawę, że utrzymanie zwierzątek kosztuje krocie i zwyczajnie nie stać jej na dalsze finansowanie czwórki niezarabiających rezydentów.

– Nie pochwalam tego i ja. Ale to zawsze jakieś wyjście.

Ciekawość wzięła górę nad wzburzeniem.

– A dlaczego tylko dwa? A drugie dwa?

– Dokładnie nie pamiętam, ale chyba brały jakieś leki, które wykluczają je z uboju. Musiałbym sprawdzić.

– Nie, nie. Nie trzeba – zapewniła Magda skwapliwie. – Jak już będę przymierać głodem i dojrzeję do takiej decyzji, to dam ci znać. Na razie chciałabym dwa zwyczajnie sprzedać. Pod wierzch się nie nadają, ale podobno w zaprzęgu chodzą jak po sznurku. Zofia próbowała kiedyś je ujeździć, ale nie dała rady. Nie wyrabiały na zakrętach. Co zakręt, to się kładły. W końcu odpuściła, choć nie znam lepszego fachowca od niej.

– Zatem nie są takie całkiem bezużyteczne.

– Nie są, tyle że ja nie mam ich do czego zaprząć. Mam śliczną zabytkową bryczkę, ale ona wymaga profesjonalnej renowacji, a mnie brakuje kasy. Poza tym, zakładając, że ją jakimś cudem odnowię, i tak nie będę potrzebować tych siwków do zaprzęgu. Mam inne.

– Jak chcesz. Gdy coś usłyszę, dam ci znać. Ale pamiętaj, że z rzeźnią to świetny biznes i mnóstwo ludzi tak właśnie robi. W razie draki to jakiś ratunek.

– Stasiu, drakę to ja mam w stadninie na okrągło – roześmiała się Magda, dopijając sok.

– Właśnie widzę.

Godzina przeleciała błyskawicznie. Pewnie oboje posiedzieliby jeszcze chwilę, ale Staszek dostał z gabinetu wiadomość o kolejnej wizycie i musiał się zbierać. Na koniec ponownie obiecał, że zorientuje się w możliwości ewentualnej sprzedaży siwków.

Magda wróciła do domu.

Nie było siły – w kwestii losów zaprzęgowej czwórki nadeszła pora rozstrzygnięć.

Szczęśliwie wstępne oględziny obu dachów, tego na stajni i tego na domu, wykazały, że stan więzby jest

niezły, zatem przynajmniej z tej strony nie należało spodziewać się niespodzianek. Nad ludzkimi głowami wymiany wymagały zaledwie dwie przegniłe krokwie, co okazało się wcale dobrą wiadomością, jako że wcześniej zakładano, że do rozbiórki kwalifikuje się całość konstrukcji. Dla doświadczonych cieśli była to pestka. Ekipa czterech krewkich górali miała przyjechać do Pieniek już na dniach. Jeśli wszystko przebiegnie zgodnie z planem, ich przyjazd zbiegnie się z przyjazdem więźniów załatwionych przez kolegę Adama, pomyślała Magda.

Obie z Alicją obawiały się trochę obecności skazanych, mimo zapewnień sąsiada, że na sto procent nikt nikogo przy tej okazji nie zgwałci i nie zamorduje. Tak czy siak, nie było wyjścia, bo stadnina nie zarabiała. Spłata zaległych rat uzdrowiła sytuację tylko na chwilę. Jeżeli wszystko miało jakoś funkcjonować i w przyszłości przynosić sensowny dochód, nie można było wybrzydzać. Urządzenie hotelu dla koni było w tej chwili sprawą priorytetową. Sezon jeździecki trwał w najlepsze i szkoda było każdego straconego dnia.

Magda z każdą chwilą coraz bardziej dojrzewiała do decyzji o hodowli strusi. Fundusze na zakup dobrego genetycznie stada podstawowego, czyli dwóch samic i jednego samca, zabezpieczyła już wcześniej. Dostatecznie skrupulatnie przygotowała się do tematu, by wiedzieć, że na hodowli nie straci. Popyt na strusie mięso nie malał, właściwie na wszystko, co dało się ze strusia pozyskać: na mięso, na skórę, na pióra. Nawet na tłuszcz, wykorzystywany do produkcji ekskluzywnych kosmetyków. Do tego dochodziły jeszcze ogromne jajka, cieszące się sporym zainteresowaniem. Jedno odpowiadało dwudziestu paru kurzym, a w smaku było niemal identyczne. Dowiedziawszy się o tym, Adam na wyrost złożył zamówienie na wszystko, co zniosą strusice. Dla niego dostawca świeżego towaru tuż za płotem był jak manna z nieba, ale Magda miała inne plany. Chciała sukcesywnie powiększać stado. Część jaj zostawiłaby samicom do wysiadywania, a ze sprzedaży pozostałych miałyby kasę na utrzymanie pogłowa. No i jeszcze coś by zostało. Na strusiach po prostu nie da się nie zarobić, dumiała, trzeba tylko przetrzymać kryzys.

Tyle że nikt nie wiedział, jak długo on potrwa i że część pozyskanych z internetu informacji była wyssana z palca.

– Strusie? – Staszek aż wybałuszył oczy ze zdziwienia.

– A co, nie potrafisz ich leczyć? – roześmiała się Magda. – To takie coś jak kura, tylko większe. A na kurach chyba się znasz?

– No właśnie nie za bardzo. Ale jak będzie trzeba, to się podszkolę. Jedyne, co pamiętam, to szczegóły anatomiczne. Strusie, jako jedyne ptaki, mają pęcherz i normalnie sikają.

– W takim razie musisz się podszkolić. Bo nawet ja wiem więcej.

– O matko! – westchnął Staszek. – A ja myślałem, że na wsi będzie prosto. Konie, krowy, świnie, czasem jakiegoś Azorka czy Mruczka zaszczepić. A ta mi tu ze strusiami wyjeżdża.

Na pożegnanie niespodziewanie cmoknął Magdę w policzek.

– Ha! Zawsze chciałem to zrobić – roześmiał się bez troski.

– No widzisz. Marzenia się spełniają – powiedziała, posyłając mu rozbawione spojrzenie.

– A ty tak na mnie nie patrz, bo i tak jutro przyjadę. I w końcu zaszczepię te biedne chabety.

– Ale...

– Bez dyskusji. Przyjadę, tak czy inaczej.

Magda wróciła do domu w świetnym humorze, ale jak się okazało, wyłącznie po to, żeby na miejscu od progu się wściec.

Zdychu znów leżał pijany za stajnią, a Zofia czuła się fatalnie. Biedna Alicja dwoiła się i troiła, żeby dopilnować spraw stadniny, a jednocześnie mieć sklerotyczną staruszkę na oku. Dobrze, że był już koniec czerwca i lekcje w szkole były tylko formalnością, dzięki czemu miejscowe miłośniczki jazd, w wieku

gimnazjalnym, zameldowały pełną gotowość do czyszczenia koni, karmienia źrebiąt, prania czapraków. Oraz do całej reszty stajennych obowiązków.

– I jak z nią? – zapytała Magda o stan Zofii.

– Nie pamięta, skąd się tutaj wzięła – odparła Alicja znad zlewu pełnego brudnych naczyń. – Przed chwilą napadła na mnie z krzykiem, że ukradłam jej czerwone buty. Wcześniej wyszła z domu w samej tylko bieliźnie, żeby zbierać maliny i narwać koperku. A koperek to ostatnio rósł u nas jakieś pięć lat temu.

– Jak długo to zwykle trwa?

– Różnie. Zaparzyłam Zofii melisy. Usnęła, więc na razie nigdzie nie polezie.

– Ona na serio nie ma nikogo bliskiego? Przecież jak tak dalej pójdzie, to nie będzie mogła tu zostać.

– Wiem – mruknęła Alicja smutno. – Z czasem będzie wymagała stałej opieki. Właściwie to już wymaga, ale jak ją oddamy, to stracimy jej emeryturę. A wtedy to już zęby w ścianę. Sama wiesz, że bez tej kasy nie damy rady.

Magda aż się wzdrygnęła na to stwierdzenie faktu, ale nie mogła nie przyznać Alicji racji. Co prawda ona zarabiała jazdami na wyżywienie koni, ale emerytura Zofii załatwiała sprawę opłat i skromnego utrzymania. A i tak trzeba było dwoić się i troić, dzieląc na czworo każdy grosz.

Ostatnimi czasy czuła coraz większe zmęczenie, zaczęła źle sypiać, ale miała nadzieję, że to tylko skutek stresu. Straciła też apetyt, a jadła tylko i wyłącznie z rozsądku. Gotowała najprostsze i najtańsze potrawy. Pożałowała, że tego roku nikt nie obsiał warzywnych grządek – z dzieciństwa pamiętała aromatyczne dojrzałe pomidory, gruntowe ogórki i poziomki. To u babci nauczyła się wyrywać pietruszkę i marchew w taki sposób, żeby w dłoni nie zostawała tylko nać. Na wspomnienie najpyszniejszego szczypiorku na świecie ślinka napływała jej do ust. Na rozpoczęcie upraw było już zbyt późno, ale w przyszłym sezonie Magda planowała nadrobić zaległości. Marzył się jej niewielki inspekt i równiutkie rządki cebuli, cukinii i dyni.

Teraz już drugą godzinę niespokojnie przewracała się w łóżku, próbując wymyślić coś, czym mogłaby ugościć więźniów. Znajomy Adama zapowiedział ponad dwudziestu chłopca, którzy od dłuższego czasu nie widzieli na oczy domowego jedzenia. Poza szcawiem, którym hojnie obdarowała ją pobliska łąka i z którego Magda planowała przyrządzić zupę, pozostawała kwestia drugiego dania. Na rynku pojawiło się właśnie mnóstwo młodej kapusty, więc rozwiązanie narzucało się samo. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się jej gotować dla tak wielu osób, zwłaszcza że trzeba było wziąć pod uwagę również cieśli, ale uratowały ją fachowe porady szefa kuchni z Nestora. Gdyby nie one, Magda poległaby na całej linii. Na szczęście kucharz udzielił jej wskazówek w kwestii proporcji i wypożyczył odpowiednio duże garnki. W ostatniej chwili Adam przyniósł jeszcze dwa wielkie stare termosy, które trzymał w magazynie na wszelki wypadek, więc można było zaserwować wszystkim kawę i herbatę, i podał namiary na lokalną wytwórnię wędlin.

Kapusta wyszła fantastycznie. Na drugi dzień Magda zaplanowała fasolkę po bretońsku. Dorodny jasiek moczył się już od godziny, w oczach zwiększając objętość.

Wraz z przybyciem osadzonych robota przy stajni w jednej chwili ruszyła z miejsca. Dekarze z łomotem rzucali z dachu stare pokrycie, wydzierając się podczas tej demolki jak dzicy. Magda na ten czas odwołała jazdy, jak się okazało, słusznie. Hałas, rzecz jasna, przerażał konie, które zamiast w spokoju paść się na łące, zbiły się w stadko na końcu pastwiska.

Spragnieni ruchu mężczyźni uwijali się jak kolonia mrówek. Pod czujnym okiem strażników nie było mowy o marnowaniu czasu, więc robota dosłownie paliła im się w rękach. Alicja doskonale odnalazła się w roli nadzorcy i energicznie wydawała polecenia. Co chwila zaglądała do stajni i sprawdzała postępy prac.

– Aż serce rośnie – szczebiotała do telefonu rozradowana Magda.

Tomek, któremu na bieżąco relacjonowała pandemonium w stadninie, miał się pojawić za dwa dni, a ona była pewna, że tym razem dostrzeże i co najważniejsze doceni jej starania. Przy takim tempie do jego przyjazdu zostaną wykonane najważniejsze prace, myślała.

Wyszorowała wielgachny gar po bigosie i zabrała się do fasolki.

Było już dobrze po dwudziestej, gdy jak nieżywa opadła na trzeszczący wiklinowy fotel w altanie – zmęczona, spocona, z obolałym ciałem.

– Magda! Szybko! – dobiegł ją w tej samej chwili donośny krzyk.

Alicja właśnie wybiegła ze stajni i energicznie machała w stronę domu.

– Co znowu?

– Gazem! Chodź! Afrodyta rodzi!

Magda poczuła nerwowy skurcz w żołądku. Oby tym razem obyło się bez przygód, pomodliła się w duchu. Nie zważając na zakwasy w łydkach, ruszyła biegiem. I dobrze, bo ledwie zdążyła do położnicy; maleństwo znajdowało się prawie na zewnątrz. Gdy obie z Alicją dopadły do boksu, było już właściwie po wszystkim.

Więźniowie oczywiście odjechali już na noc do aresztu, ale dekarze jak jeden mąż przybiegli, zaciekawieni widokiem końskiego noworodka. Mała klaczka nieporadnie stanęła na nogi.

– O, dzięki Ci, Boże – wyszeptła wzruszona Magda.

Wyglądało na to, że tym razem sprawa przebiegła jak trzeba, więc – co nie bez znaczenia – odpadnie karmienie sieroty. Jeszcze jeden poród w tym sezonie i będzie można odetchnąć.

– Wiesz co, Ala? – zapytała Magda godzinę później, gdy obie, sącząc lodowate piwo, bezmyślnie gapiły się na latające świetliki.

– No?

– Pierwszy raz w życiu czuję się naprawdę szczęśliwa. Szczęśliwa. Tu i teraz.

– I nie boisz się, że coś się spieprzy?

– Nie. Teraz może być już tylko lepiej. Wiem to. Zawsze bałam się mówić o szczęściu. Uważałam, że jeśli nazwę je po imieniu, odejdzie. Nie odwiedzało mnie często, ale jak już było, nie dopuszczałam go do głosu. Choć w sumie nie mam pojęcia, dlaczego miałoby pójść precz tylko dlatego, że się nim cieszę. A nawet jeśli odejdzie, to pozostanie mi wspomnienie dzisiejszego uniesienia. Tych motyli, które czują również zakochani. Tej chwili. Trwaj, cudowna chwilo! Trwaj jak najdłużej.

Rozdział 13

Wkroczyła na posesję powolnym krokiem dostojnej matrony i wyniośle rozejrzała się dokoła. To, co ujrzała, chyba niespecjalnie się jej spodobało, bo na twarzy Leontyny odmalował się niesmak.

– Synku, przecież to jakaś nędza. Bożesz ty mój! – Teściowa Magdy załamała ręce. – Toż to całkowita ruina i upadek w jednym. Ta twoja żona chyba upadła na głowę. Kto to widział takie rzeczy? No kto? – tokowała, niezadowolona. – Ja tutaj na pewno mieszkać nie zamierzam.

– Mamo, przestań. Zrobiłem ci rezerwację w hotelu. Tam nie ma ruiny.

Leontyna prychnęła urażona, jakby własny syn załatwił jej nocleg na podłodze pod końską derką.

– Mamo, proszę cię... – westchnął udręczony Tomek.

– Uważam, że ty też powinienes tam zanocować.

– Nie. Zostanę z Magdą.

– No tak. Jak zwykle. Trzeba się pozbyć starej matki, żeby nie zawadzała – syknęła złośliwie Leontyna, kompletnie nic sobie nie robiąc z faktu, że zachowuje się jak wredna starucha.

– Mamo! – nie wytrzymał Tomek. – Przestań! To moja żona i mogę z nią mieszkać nawet pod namiotem!

Już dawno temu przywykł do stylu bycia matki, lecz teraz Leontyna przeszła samą siebie.

– Jak ci się nie podoba, zawsze mogę cię odwieźć z powrotem do Gdańska – dodał. – I wrócić.

Przypomnę tylko, że sama chciałaś ze mną jechać.

– Masz mnie za sklerotyczkę? – zapytała Leontyna.

A później wypłynął z niej niekończący się potok pretensji i zawiedzionych oczekiwań związanych z posiadłością w Pieńkach.

– O co jej chodzi? I, kurde, co to za jedna? – zainteresowała się Alicja.

Przysłuchiwały się tej wymianie zdań w otwartym oknie kuchni, niezauważone przez nikogo.

– Jak to: kto? – zachnęła się Magda. – W nasze skromne progi zawitała właśnie moja ukochana teściowa. Wydaje się jej, że jest jak królowa Elżbieta, która przybyła z wizytą gospodarską na swoje włości. A że nie spodobało jej się to, co zobaczyła, jest niezadowolona. Niedługo spodziewajmy się zawału. Pewnie jeszcze przed wieczorem, jak dobrze pójdzie. Ech. Ciekawe, po co zjawiała się tak naprawdę? – westchnęła bezradnie i z ociąganiem wyszła na zewnątrz.

Po krótkim powitaniu Leontyna zażądała, żeby syn jednak odwiózł ją z powrotem do domu.

– Nie ma sprawy. Odwiozę cię i wrócę. – Tomek był uparty.

– Jak to? – oburzyła się jego matka. – Nie możesz mnie przecież zostawić samej w domu.

– Mogę. Ale uczciwie proponuję ci nocleg w tutejszym hotelu i wspólny powrót w niedzielę. Magda potrzebuje pomocy, a ja zamierzam jej pomóc – powiedział twardo.

Zbita z pantafyku Leontyna już bez protestów przystała na proponowane rozwiązanie.

Czekająca w napięciu na reakcję teściowej Magda odetchnęła nieco. Było jej wprawdzie trochę żal, że doskonały humor gdzieś wyparował, ale jej własny mąż mile ją zaskoczył stanowczym sprzeciwem wobec fanaberii własnej rodzicielki. Przecież było to właśnie to, czego wcześniej brakowało jej do pełni szczęścia.

Leontyna chyba poczuła, że przesadziła nieco, zatem natychmiast spuściła z tonu i postanowiła iść na

spacer. Uświadomiona, że w pobliżu pracują więźniowie, dostała umiarkowanego migotania przedsionków, niemniej jednak chętnych do przejmowania się jej bliskim zgonem nie było. Jakimś cudem dolegliwość przeszła jak ręką odjął. W rezultacie teściowa natychmiast poczuła się lepiej i ostatecznie wybrała rozgoszczenie się w bezpiecznym luksusowym hotelu.

– Wspaniała robota, kochanie. Trzymam za ciebie kciuki – mruknął Tomek z uznaniem wprost do ucha rozpromienionej małżonki. – I żeby nam też się udało. Rozmawiałem już z szefem. Ustaliliśmy, że odchodzę z końcem lipca.

– Super! – Magda aż podskoczyła z radości. Zarzuciła Tomkowi ręce na szyję, mocno pocałowała w usta i poprowadziła w głąb domu. – Nie masz pojęcia, jak jestem szczęśliwa. Zobaczysz, będzie nam tu dobrze, bo w sumie w stadninie fajnie się mieszka. I żyją tu fajni ludzie. Zobaczysz, przedstawię cię wszystkim. Nauczę cię doić kozy i pokażę ci konie – paplała z entuzjazmem.

– Przestań już tyle gadać. – Tomek zamknął jej usta pocałunkiem. Wsunął pod jej koszulkę obie dłonie. – Gdzie jest klucz?

– Nie ma. Gdzieś się zapodział. Ale zawsze możemy zastawić drzwi krzesłem. Jak na filmach, wiesz, podeprzeć klamkę oparciem...

Stare jak świat drewniane łóżko nie wytrzymało miłosnych igraszek i finał małżeńskich uniesień przypieczętowało wielkim hukiem. Na szczęście, nie licząc podziurawionego przez połamane listwy siennika, nie odnotowano większych strat.

– Ale akcja. – Tomek zbierał się z podłogi, dysząc ze śmiechu.

Magda nie pozostała w tyle.

Radosne przekomarzanki przerwały gromkie okrzyki z zewnątrz – to Alicja akurat uznała, że nie ma sensu bawić się w demontaż rozlatującej się drewnianej szopy, i kazała po prostu ją spalić. W okolicy nie padało od kilku tygodni i wszystko wokół było suche jak pieprz, więc w obawie przed niekontrolowanym rozprzestrzenianiem się ognia przygotowano wiadra z wodą i piaskiem, uruchomiono stary hydrant i podpięto szlauch. Wiatr nie dmuchał, nie było na co czekać. Zrujnowana konstrukcja zajęła się płomieniem w jednej chwili, a ogień z trzaskiem strawił wysuszone na wiór drewno. Uprzedzony wcześniej komendant miejscowej jednostki straży pożarnej nie chciał nawet słyszeć o tym akcie bez nadzoru, więc osobiście zasiadł za kierownicą niewielkiego wozu pożarniczego i własnoręcznie dokonał kontrolowanego zapłonu. A później dopilnował fachowego dogaszania.

– Dziękuję panu. – Magda z wdzięcznością uścisnęła jego dłoń. – Czy mogę się jakoś zrewanżować?

– A i owszem – odparł siwy mężczyzna. W skupieniu podrapał się po głowie. – Potrzebuję przeprowadzić szkolenie, a pani tereny świetnie się na nie nadają. Zwłaszcza te piaszczyste padoki. Da pani radę pogodzić się z naszą obecnością przez jeden dzień?

– No pewnie. Proszę tylko dać mi znać parę dni wcześniej, żebym mogła odwołać jazdy dla początkujących. Reszta pojedzie w teren, więc nie ma sprawy.

– To jesteśmy umówieni! – Strażak zalecił przekopanie pogorzelniska i zasalutował z uśmiechem. – Do jutra powinno ostygnąć na amen. Dobrze, że nas pani poinformowała. Gdyby nas wezwał ktoś inny, do pożaru, musiałyby pani zapłacić mandat.

Tuż za płotem zebrało się kilkanaścioro żądnych sensacji miejscowych dzieciaków. Za nic miały pogróżki Zdzicha, który nakazał im odejść. Wkrótce dołączyła do nich i Leontyna. Najwyraźniej nie potrafiła sobie odpuścić atrakcji.

– Jutro trzeba to znowu porządnie przekopać – zarządziła Magda. – I to już będzie ostatnie zajęcie dla chłopaków – zdecydowała, co dalej z osadzonymi.

Jak do tej pory była bardzo zadowolona ze współpracy w ramach programu resocjalizacji. Mężczyźni pracowali chętnie, nie narzekali i każda robota szła im jak z płotka. Wbrew obawom nikt nikogo nie

skrzywdził. Wręcz przeciwnie.

Na wieść, że to już koniec ich roboty, Alicja zmarkotniała wyraźnie i zwiesiła nos na kwintę.

– A nie mamy jeszcze czegoś? – zapytała smutno.

Magda obrzuciła ją uważnym spojrzeniem.

– No dobra, powiem ci – westchnęła ciężko Alicja. – Wiesz, ten Krzysiek. Ten wysoki blondyn...

– Wpadł ci w oko? – domyśliła się Magda.

To tłumaczyło gorliwość instruktorki podczas nadzorowania więźniów.

– Aha. Ja jemu też. Chyba chcemy poznać się bliżej.

– Rozumiem, ale na razie nic nie poradzę. Nic już dla nich nie mam. Kiedy on wychodzi?

– Za trzy miesiące. I nie ma już po co wracać do dawnego życia. Nie ma gdzie się podziać. Mógłby robić cokolwiek, nawet przy koniach, więc pomyślałam, że może Zdzicha by tak...

– ...wywalić i zatrudnić Krzyśka? – dokończyła Magda.

– Mhm.

– A za co on siedzi?

– Za jakieś przekręty z samochodami – powiedziała Alicja, czerwona ze wstydu.

– Pomyślimy. A póki co, jak jutro zaczną tu kopać, to niech przewiozą jeszcze ten popiół do ogródka.

Będzie jak znalazł na nawóz pod przyszłoroczne warzywa.

– Mam lepszy pomysł. – Tuż obok niespodziewanie zmaterializował się Tomek.

– Niby jaki?

– Skoro tak marzysz o tym swoim warzywnym inspekcje, to może lepiej porządnie przekopać teren po tej szopie i urządzić cieplarnię właśnie tam?

– Tam? – zdziwiła się Magda.

– Tak. Bo tam masz wodę na miejscu, a w ogrodzie nie masz. Myśl, kobieto, myśl, bo ja nie będę zaiwaniać taki kawał z konewką – roześmiał się na cały głos i okręcił żonę wokół siebie.

Leontyna, nienawykła do tak absolutnego braku uwagi wobec swojej osoby, obrażona na cały świat, ponownie zaszyła się w Nestorze, gdzie ciosała kołki na głowach Bogu ducha winnej obsługi. Magda już słyszała Adama i jego obietnice, że teściowa ląduje na hotelowej czarnej liście. W myślach uśmiechnęła się do siebie, a później zasnęła w mężowskich objęciach jak dziecko, po raz pierwszy od dłuższego czasu wysypiając się naprawdę porządnie. Była tak szczęśliwa i radosna, że nawet upierdliwe zagrywki Leontyny nie mogły popsuć jej szampańskiego nastroju. Motyle w brzuchu rozfurczały się na całego.

O świcie wstała do toalety i zaraz powróciła w ciepłe ramiona męża. A że nigdzie się jej nie śpieszyło, postanowiła spać do oporu. Nie przeszkodziło jej nawet to, że Tomek w końcu wstał i poszedł robić śniadanie. Gdy wreszcie zerknęła na zegarek, dochodziła dopiero dziewiąta.

Przewróciła się na drugi bok i właśnie weszła w kolejną fazę głębokiego snu, kiedy pod oknem rozległ się wrzask.

Zdzichu darł się jak opętany. Na przemian to wyrzucał z siebie najgorsze przekleństwa, to wzywał wszystkich świętych.

Magdę poderwało na równe nogi. Zachwiała się, wybudzona gwałtownie. Odruchowo chwyciła się ściany, ale i tak osunęła się na leżący na podłodze materac.

– Co jest? – Dopadła okna i otworzyła je szerzej.

Okutana w wypłowiałą zasłonkę ciekawie wystawiła głowę na zewnątrz.

Stajenny nie wyglądał na pijanego. Raczej sprawiał wrażenie, jakby zobaczył ducha. Cały się trząsał.

– Zdzichu? Co jest? – Magda podniosła głos.

– Jezusie! Znalezli! Znalezli, kurwa ich mać! Znalezli, Panie święty!

– Ale co znaleźli? I kto?

– Trupa znaleźli! – wybełkotał przerażony mężczyzna i poblądłszy jeszcze bardziej, bezwładnie padł na ziemię.

Magda przeraziła się nie na żarty. Nie miała czasu na ubieranie się, więc szczelnie omotała się szlafrokiem i boso wybiegła na zewnątrz. W pierwszej kolejności pobiegła do ogródka zobaczyć, co ze Zdzichem, ale na szczęście okazało się, że to tylko omdlenie. Upewniła się, że stajenny odzyskuje przytomność, odetchnęła z ulgą i spróbowała wypytać, o co chodzi, ale on tylko wskazał ręką kierunek.

Z połami szlafroka w rękach Magda ruszyła jak podcięta batem.

Ludzie zebrali się tuż przy pogorzeliisku. Zwykle takie zgromadzenia bywały gwarne i ożywione, ale teraz panowała absolutna cisza.

Magda, wstrzymując oddech, podeszła bliżej. I od razu pożałowała, że zapragnęła na własne oczy zobaczyć, na co natrafiono przy przekopywaniu terenu pod spaloną szopą.

– O Boże... – wyszeptała na widok ludzkich kości obleczonych w strzępy przegniłej tkaniny. – O Boże.

Roztrzęsiona, skryła się w mężowskich ramionach.

– Nie patrz, kochanie, nie patrz – uspokajał Tomek.

– Ale jak? Kto to jest? – Magda ponownie zerknęła do płytkiego dołu.

Właściwie spodziewała się czegoś gorszego.

– Spokojnie. Na razie nikt nic nie wie. Już powiadomiłem policję. Jest w drodze. Prokurator też.

– Prokurator? – powtórzyła bezmyślnie.

– A myślisz, że trup w szopie na narzędzia to zjawisko normalne?

– Nie. Skąd on się tu wziął? Jak? Co teraz? – Magda rozejrzała się bezradnie.

– Niczym się nie martw. Za chwilę funkcjonariusze zabezpieczą teren i pewnie przesłuchają wszystkich. Oni już najlepiej będą wiedzieć, co dalej.

– Rany, ale numer.

W tej samej chwili powietrze przeszył krzyk Leontyny.

– Jeszcze tylko jej tutaj brakowało – westchnęła ciężko Magda. – Ciekawe, po jaką cholere tu przyjechała?

– Zaczekaj, zaraz się nią zajmę. – Tomek odwrócił się w stronę matki.

Nie zdążył nic powiedzieć.

– Przecież to jakiś horror! – krzyczała na cały głos Leontyna. – Może teraz ta głupia dziewczyna w końcu oprzytomnieje i sprzeda cały ten bałagan! To miejsce piekielne! Wiedziałam o tym od początku!

– Nie mam zamiaru niczego sprzedawać. A mamie nic do tego – odparła hardo synowa.

– Co takiego?! – Leontyna aż poczerwieniała z oburzenia.

– Tomek, błagam cię. – Magdzie puściły nerwy. – Zabierz ją stąd, bo inaczej za chwilę będą tutaj dwa trupy. Nie rękę za siebie.

– Jak śmiesz! – syknęła wściekle teściowa. – Z góry było wiadomo, że z tymi więźniami będą same problemy.

– Co też mama wygaduje? Przecież oni nie mają z tym nic wspólnego. To jakiś bardzo stary trup. Nawet ja to wiem, choć za bardzo się nie znam.

– Ale ja od początku mówiłam, że to zły pomysł. Teraz wychodzi na moje, a ona...

– Tomek! – Magda powstrzymywała się ostatkiem sił. – Zabieraj ją stąd! I to natychmiast! – cedziła przez zaciśnięte zęby. – Pókim dobra.

Pierwszy raz wystąpiła w takiej akcji, więc Tomka zaskoczyło nieco, że jego żona potrafi być tak stanowcza. Choć wcale się jej nie dziwił. Ostatnimi czasy jego matka stała się naprawdę nie do zniesienia.

– Dobrze, odwiozę ją – westchnął zrezygnowany. – To chyba najlepsze wyjście – dodał cicho.

Bez słowa zgarnął rodzicielkę do auta i odstawił ją do hotelu, żeby poszła się spakować. Po chwili powrócił i zabrał swoje rzeczy. W łazience zostawił kilka jednorazowych maszynek do golenia, dezodorant i szczoteczkę do zębów. Niech czekają na mój kolejny przyjazd, pomyślał.

– Bez sensu, żebyś dziś wracał, skoro i tak jutro rano mieliście wyjechać – podsumowała racjonalnie Magda. – Przepraszam, że tak wybuchnęłam, ale dłużej tego znieść nie mogłam.

– Przecież wiem.

– Twojej matce zawsze było daleko do wstąpienia w poczet świętych, ale dziś przegięła. Nie wiem, po co ją tutaj przywiozłeś, ale więcej tego nie rób.

– No przecież nie jestem ślepy.

Tomkowi zrobiło się głupio. Ten weekend nie tak miał wyglądać, ale on, ulegając namowom matki, popsuł wszystko. Jej przyjazd do Pieniek okazał się niewypałem tak totalnym, że trudno było sobie wyobrazić bardziej chybiony pomysł. Za to przy tej okazji dla wszystkich stało się jasne, że planowana przeprowadzka Leontyny do stadniny, lub gdzieś w ich najbliższą okolicę, absolutnie nie wchodzi w grę. Fakt ten mocno komplikował plany na przyszłość. Na sopockie mieszkanie wciąż nie było chętnych, a utrzymywanie go na potrzeby jednej tylko osoby było kompletnym bezsenssem. Do tego matka wymagała opieki, więc teraz trzeba było wymyślić jakieś salomonowe rozwiązanie.

Drogę powrotną do Gdańska pokonał wściekły na cały świat i nie odzywając się ani słowem. Miał nadzieję na chwilę oddechu, na oderwanie się od pracy i innych kłopotów, które ostatnio nie odstępowały go na krok. Ale nie. Że też nic nigdy nie może się udać tak po prostu, pomstował w duchu.

Makabryczne znalezisko siłą rzeczy skomplikowało i tak już niełatwe życie mieszkańców stadniny.

Pod dom zajechał właśnie radiowóz z pobliskiego komisariatu. Zza kierownicy wytoczył się posterunkowy we własnej osobie. Zafrasowany przyglądał bujne wąsiska i na widok nienaturalnie ułożonych ludzkich szczątków natychmiast rozkazał wszystkim się rozejść. Teren odgrodził specjalną taśmą.

– Nie wolno tutaj niczego ruszać – powiedział. – Robić zdjęć też nie. – Obrzucił uważnym spojrzeniem grupę jednakowo ubranych więźniów i chwycił za telefon, żeby wezwać odpowiednie służby. – Wszyscy musicie zaczekać, aż przyjedzie dochodzeniówka. To może potrwać, ale do tego czasu nikt nie może wyjechać. Zostaniecie przesłuchani.

Dla każdego przytomnie myślącego człowieka oczywiste było, że nieboszczyk nie skończył normalną śmiercią, zakończoną normalnym pochówkiem. Kiedyś musiało się tutaj wydarzyć coś złego. Nikt nie miał co do tego wątpliwości.

Czynności dochodzeniowe trwały niemal do wieczora, zanim dokładnie zabezpieczono miejsce, a ekipa dopełniła drobiazgowych procedur. Już wydawało się, że jej zabiegi mają się ku końcowi, gdy podczas poszukiwania dodatkowych śladów zlecono przekopanie fragmentu ziemi wokół nielegalnego grobu. Emocje powoli opadały, ale sensacja wybuchła na nowo. Kolejne ludzkie szczątki sprawiły, że Magda z nerwów dostała mdłości i poczuła, że zaraz zwymiotuje.

Ponownie zaczął się młyn.

Na to wszystko do stadniny zawitał Staszek z uzupełnioną dokumentacją ostatnich obowiązkowych szczepień.

– Jezus Maria! Co się tutaj stało? – zapytał.

– Pod zgliszczami starej szopy znaleziono szczątki dwóch osób – poinformowała go gospodyni.

– Ktoś spłonął w pożarze? – przeraził się weterynarz.

– Nie. To nie był wypadek. To jakaś stara historia. Ktoś dawno temu pochował te dwa ciała w szopie.

– O jasny gwint. – Staszek uważnie przyjrzał się zdenerwowanej Magdzie i od razu zaproponował jej zmianę otoczenia. – Masz ochotę pojechać gdzieś na kolację?

– Chętnie. Jeszcze nic dzisiaj nie jadłam. Dzięki.

– No to się uczesz, bo wyglądasz jak wiedźma. I jedziemy.

– Ależ dziękuję ci bardzo. Nie ma to jak komplement – roześmiała się słabo. – A czy ty przypadkiem nie musisz wracać do domu?

– Nie. Żona z młodym pojechała wczoraj nad morze, do swoich rodziców. Póki dzieciak mały i nie chodzi do szkoły, wolimy wcześniejsze wakacje i korzystamy z uroków naszych plaż, kiedy jeszcze nie ma tłumów.

– Mądrze. Zaczekaj chwilę. Chętnie zostawię cały ten bajzel na jakiś czas.

Więźniowie w końcu odjechali, zadowoleni, że udało im się spędzić kilka dni poza murami. Dekarze postanowili zostać na niedzielę w swoich domach. Tomek i jego matka wyruszyli do Trójmiasta już wcześniej. Magda na wszelki wypadek podała śledczym swój numer telefonu i z ulgą opuściła teren stądniny.

Przywykła do rozgardiaszu i hałasu, który panował tutaj w ostatnich dniach, a zatem gdy znienacka zrobiło się cicho i pusto, poczuła się nieswojo. Jakoś odeszła jej ochota na zakładanie grządek w miejscu szopy. Miała za sobą dzień pełen wrażeń i naprawdę potrzebowała choćby godziny wytchnienia w jakimś miłym miejscu. Niespodziewana propozycja Staszka spadła jej jak z nieba.

– A może zostawimy samochód i pójdziemy przez las? Miejsce, o którym myślę, leży w linii prostej jakieś dwa kilometry stąd. W pół godziny będziemy na miejscu.

– W porządku. Chętnie się przejdę. Czuję się tak, jakby ktoś mi obił głowę czymś ciężkim. Za dużo atrakcji. I jeszcze na dodatek z kompletem pretensji i fochów teściowej. Nie mam pojęcia, co ostatnio wstąpiło w tę babę. W jej rozumowaniu nie ma żadnej logiki. Na każdym kroku sama sobie przeczy. Cieszy mnie przynajmniej tyle, że mój mąż też to widzi. Bo jeszcze do niedawna udawał ślepego – roześmiała się Magda. – Na szczęście mamcia właśnie jedzie do sanatorium, więc można liczyć na chwilę spokoju – dodała konspiracyjnie.

Po czym przestała zagłębiać się w swoje prywatne sprawy. Nigdy nie lubiła rozmawiać o kłopotach, a już tym bardziej nie po takim dniu. I nie ze Staszkiem.

– A jak twoja teściowa? – zapytała.

– Moja? To święta kobieta. Do niczego się nie wtrąca. Też mieszka na Wybrzeżu, więc widzujemy się nieczęsto.

– Kurczę, daleko jeszcze? – zmieniła temat Magda.

Od kwadransa rażno maszerowali leśnym duktem łączącym dwie osady. Po drodze minęli kilka rozwidleń. Magda starała się zapamiętać charakterystyczne punkty, ale w końcu się pogubiła. Gdyby przyszło jej wracać samotnie, zabłądziłaby na sto procent.

– Chętnie bym gdzieś usiadła – jęknęła.

– Jeszcze chwila. Nie martw się. Zaraz zjemy coś dobrego, wypijemy zimne piwo. Albo i dwa.

– A jak później wrócisz do domu? Ja nie prowadzę hotelu, nie ma gdzie spać.

– Spokojna głowa. Pożyczę rower od Zdzicha. Jutro rano mu oddam i zabiorę auto. I po sprawie. A swoją drogą, to jakaś makabra takie ludzkie kości na posesji. Teraz pewnie zaczną się te wszystkie sekcje, badania genetyczne i Bóg wie co jeszcze. Aż wreszcie nastąpi godziwy pochówek.

– Nie wiem, nie znam się. Niech sobie śledczy robią, co chcą. Ja tylko pragnę, żeby jak najszybciej ktoś zabrał stąd te szczątki. Nie żebym bała się zmarłych, ale zawsze to niemiło. Brr! – zadrżała Magda.

– Chętnie bym ci dotrzymał towarzystwa, dopóki to nie nastąpi, ale chyba raczej nie wypada, co? – Staszek puścił oko i przyśpieszył kroku. – Już blisko. Czujesz?

Magda głęboko wciągnęła powietrze.

Rzeczywiście, wyraźnie dawało się wyczuć smakowite kuchenne aromaty. I nic dziwnego, skoro

wiejska karczma znajdowała się tuż za mijaną właśnie kępą krzaków. Żołądek Magdy fiknął z głodu koziółka i zaburczał głośno; na zamówienie dania nie trzeba było jej namawiać.

Na początek niemal jednym haustem wypijała zimne piwo. Gazowany napój przytknął ją na chwilę. Z trudem stłumiła beknięcie.

– Rany, kobieto, nie pij tak łapczywie, bo mi się tutaj nadziabiesz! – powiedział Staszek. – Nie na głodniaka, proszę.

– Wiesz, dziś taki dzień, że mi się należy – odparła Magda niedbale i zamówiła kolejne piwo.

– Miej litość! Przecież później będę musiał cię nieść taki kawał drogi. A aż takiej krzepy to ja chyba nie mam – roześmiał się jej towarzysz, zamawiając schabowego z kapustą. – Wiesz, to czasem dobrze, gdy żona gdzieś pojedzie. Codziennie można jeść, co się lubi.

– A lubisz coś poza schabowym?

Magda poczuła miłe rozluźnienie. Wygodnie rozparła się w ogrodowym fotelu.

Mimo gęstej warstwy chmur wieczór był bardzo ciepły. Po prostu idealny, gdyby nie chmury wściekle atakujących komarów. Właściciele karczmy na wszelki wypadek rozstawili w ogródku specjalne odstraszające lampy na owady, które jednak – dopóki bzykające potwory nie odpuściły z własnej woli – nie pomagały zbyt wiele.

Niemniej jednak nadeszła chwila, kiedy dało się odsapnąć spokojnie. Klimatycznie urządzonego swojski ogródek stanowił tak miłą odmianę od ciągłego rozgardiaszu i niedostatku panujących w stadninie, że Magdzie wcale nie chciało się wracać do domu. Tyle że obowiązki wzywały.

Zasiedzieli się w karczmie co najmniej o godzinę za długo. Dopiero znaczące spojrzenia barmana dały im do zrozumienia, że powinni już iść.

W lesie panowały egipskie ciemności.

– Kurczę – powiedziała Magda. – Nic nie widzę. Czy ty na pewno wiesz, gdzie iść? – zwróciła się do Staszka. – Aaa!

Wystający korzeń boleśnie zaatakował jej stopę.

– Chodź, daj mi rękę. I nie wrzeszcz tak, bo pobudzisz zwierzęta, a gajowy wlepi ci mandat. – Mężczyzna otoczył ją ramieniem i natychmiast poczuł, że drgnęła i zeszywniała. Zupełnie jak kot, który grzecznie siedzi w objęciach człowieka, ale tylko czeka na okazję, żeby czmychnąć. – Nie bój się, przecież cię nie zjem. To ja cię tutaj przyciągnąłem i to ja bezpiecznie odstawię cię do domu – powiedział i przygarnął ją jeszcze mocniej.

Obawy Magdy pierzchły jak ręką odjął. Jak do tej pory Staszek nie uczynił żadnego gestu, z którego mogłoby wynikać, że jest nią zainteresowany jako kobietą.

Byli już niemal na miejscu, gdy dopadła ich ulewa. Ściana deszczu przemoczyła oboje doszczętnie w ciągu kilku chwil. Kiedy ze śmiechem dopadli domu, woda wylewała im się z butów, a ubrania można było wykręcać.

– Dzięki Bogu jesteście. – W progu powitała ich rozradowana Alicja. – Hera oźrebiła się godzinę temu. Dzwoniłam, ale telefon zostawiłaś w kuchni.

– Wspaniale! – ucieszyła się Magda.

– Wszystko z nią dobrze. Za to wy wyglądacie, jakby ktoś was wyciągnął z jeziora – zauważyła Alicja.

Odpowiedział jej śmiech.

– W jakim stanie są pokoje na poddaszu? – zapytała Magda. – To raczej nie jest pogoda na rower, więc doktor musi u nas przenocować.

– Ale... – próbował protestować Staszek, lecz gospodyni pogroziła mu palcem.

Zgodnie z wiedzą Alicji w pokojach nie sprzątano od co najmniej pół roku, a nie zrobiono z nich graciarni tylko dlatego, że znajdowały się na górze. Ale że na zewnątrz nie zanosiło się na zmianę

pogody, Staszek mimo wątpliwości uznał, że nocleg to dobry pomysł. Zarówno pora, jak i aura były absolutnie nieodpowiednie na kolarskie popisy. Praca wiejskiego weterynarza do czystych nie należała, zatem doktor zawsze woził ze sobą w samochodzie podstawowe kosmetyki i szczoteczkę do zębów. Jeden problem odpadał.

– Śpij dobrze, maleńka. – Staszek cmoknął Magdę w czoło na dobranoc.

– Dzięki. Postaram się. I dzięki za wieczór.

– Zawsze do usług. – Skłonił się, tyleż uniżenie, co komicznie.

Zanim poszedł do łóżka, zajrzał jeszcze do stajni, żeby rzucić okiem na ostatniego w tym sezonie końskiego noworodka.

W karczmie Magdzie bardzo przypadło do gustu tradycyjne polskie jedzenie, więc z apetytem spałaszowała miche pierogów. Nie sądziła, że będzie w stanie pochłonąć tak wielką porcję, ale nie jadła nic od poprzedniego wieczoru i była potwornie głodna. Okrasa z cebulki i rumianych skwarków wyglądała i pachniała tak zachęcająco, że nie było szans, by na talerzu pozostało cokolwiek.

Teraz, od godziny, Magda co rusz przewracała się z boku na bok, zasłuchana w monotony szum deszczu. Mimo pełnego żołądka udało się jej wreszcie zasnąć, choć liczba koszmarów, które tej nocy nawiedziły ją w snach, pobiła wszelkie rekordy.

Rozdział 14

Lokalny jeździecki świątek był na tyle mały i ciasny, że wieść o nowo otwartym hotelu dla koni rozniosła się lotem błyskawicy. Dosłownie w ciągu kilku dni Magda powitała w stajni czwórkę nowych rezydentów. Wreszcie mogła sobie pozwolić na ostrożną radość. Pierwsze wpływy pojawiły się dokładnie w chwili, gdy głowiła się, skąd wziąć fundusze na uzupełnienie zapasów paszy dla koni. Do wynajęcia pozostało jeszcze kilkanaście odnowionych boksów, ale zapełnienie ich wymagało udostępnienia informacji gdzieś dalej. Okazało się, że o ile przez pierwsze tygodnie dawało się funkcjonować w Pieńkach bez internetu, o tyle obecnie raczkujący koński biznes sprawiał, że dostęp do sieci stał się najpilniejszą koniecznością.

Magda umieściła ten problem na liście spraw do załatwienia i siorbnęła kawę z wyszczerbionego kubka. Alicja wstała o świcie i poszła do swoich obowiązków w stajni, a Zofia krzątała się przy kuchni. Dziś była w świetnej formie, choć ostatnio coraz rzadziej czuła się dobrze. Na odkrycie w szopie zareagowała histerią. Nie było najmniejszej szansy, by złożyła zeznania, a przecież ze wszystkich obecnych jedynie ona mogła wiedzieć cokolwiek. Pogorszenie stanu zdrowia starej kobiety Magda łączyła z ostatnimi wydarzeniami, ale sposób na jego poprawę jakoś nie przychodził jej do głowy. Zofia poważnie niedomagała od dawna i dla wszystkich w stadninie było jasne, że może być tylko gorzej. Na domiar złego pogoda przedłużyła remont drugiego dachu o kilka dni, co nieco krzyżowało finansowe plany. Magda wciąż nie miała pojęcia, na jakie fundusze może liczyć przy zakładaniu hodowli strusi, a chciała uwinąć się z tym jak najszybciej. A najlepiej jeszcze przed wizytą męża. Teściowa na dniach jedzie do tego swojego upragnionego sanatorium, a Tomek ponoć poradził sobie z większością zawodowych formalności, dumiała, nie mogąc się doczekać, kiedy wreszcie wszystko zacznie funkcjonować w ostatecznym kształcie. W takim, jaki sobie wymarzyła, choć na razie nie wiedziała, w co ręce włożyć. Mimo że całkiem niespodziewanie odkryła w sobie smykałkę do zarządzania.

Nieustannie nękała ją natrętna myśl związana z odkryciem pod szopą. Dziwna i nienazwana. Magda była po prostu pewna, że gdzieś, kiedyś, słyszała coś, co mogło łączyć się z tą sprawą. Czuła, że odpowiedź ma tuż przed nosem, ale za nic nie potrafi jej dostrzec. Co gorsza, im więcej o tym rozmyślała, tym bardziej miała poczucie, że oddala się od celu. Musiało minąć ładnych parę dni, zanim doznała olśnienia.

– O matko! Przecież ja wiem! – wrzasnęła pośrodku delikatesów, przy okazji przykuwając kilka zdziwionych i pełnych politowania spojrzeń.

– Coś się stało? – zapytała sprzedawczyni.

Nagła myśl sprawiła, że Magda nie kupiła połowy rzeczy, tylko od razu podeszła do kasy. Zapłaciła i z piskiem opon ruszyła spod sklepu.

Po chwili zdyszana wparowała do gabinetu Adama.

Mężczyzna aż się rozpromienił.

– Cześć! – wysapała Magda. – Gdzie on jest?

– Kto? – zapytał Adam, uśmiechnięty od ucha do ucha.

– No on! No, ten twój portier!

– Jaki znów portier? – Sąsiad najwyraźniej miał ochotę na przekomarzanki.

– No, ten chłopak, który wioził nas merolem na kolację do Tczewa. Jak mu tam? Jacek?

– Jacek, Jacek. A co?

– Muszę się z nim natychmiast zobaczyć!

– To niemożliwe. Już u mnie nie pracuje. Dostał pracę w Radissonie w Gdańsku. Czy powiesz mi wreszcie, co się stało?

– Kurde, co za pech! Ale dobra, najwyżej go tam namierzę. W końcu w Gdańsku jest tylko jeden Radisson.

– Magda, usiądź. Spokojnie – powiedział Adam i zaproponował kawę. – Mów, bo umrę z ciekawości.

– Ech... To ty nic nie wiesz o trupach, które pochowano pod moją szopą?

Hotelarz aż otworzył usta ze zdumienia.

– Nie. Nie było mnie przez kilka dni. Zrobiłem sobie krótki urlop – odparł.

Zaaferowana Magda dopiero teraz zauważyła imponującą opaleniznę.

– Więźniowie, przekopując pogorzelnisko, przypadkiem natrafili na ludzkie szczątki – oznajmiła. – Później ekipa dochodzeniowa znalazła jeszcze drugie. Wstępnie wiadomo, że to młode kobiety. Obie straciły życie pod koniec lat dziewięćdziesiątych, w odstępie kilku lat.

– Matko jedyna, a kto je tam pochował?

– Pewnie ten sukinsyn, który wcześniej skrzył im karki.

– Jasny gwint. A może one po prostu nieszczęśliwie spadły z koni? Znam takie przypadki.

– No jasne, detektywie – roześmiała się Magda. – Czy ty myślisz, że jeśli jutro jakiś kursant przekoziółkuje przez koński łeb ze skutkiem śmiertelnym, ja go pochowam pod płotem? No weź pomyśl.

– Jesteś pewna, że nie ma tam więcej trupów?

– Tak. Na szczęście jestem pewna. Dokładnie zbadano cały teren. Adam, ktoś te kobiety zamordował. I to w czasie, kiedy jako dziecko bywałam tutaj na wakacjach u babci.

– Ożeż ty... – Mężczyzna poskrobał się po łysinie. – Ale co do tego ma Jacek?

– No właśnie. Gdy nocowałam w Nestorze po raz pierwszy, odprowadzając mnie do samochodu, bąknął coś, że słyszał, jakoby dawno temu na terenie mojej stadniny zaginęli bez śladu jacyś ludzie. Z tego, co sama pamiętam, ten cały hrabia był zdrowo szurnięty i jako dziecko strasznie się go bałam. A dzieci mają intuicję, wiesz. Rozumiesz teraz, dlaczego muszę jak najszybciej odszukać tego chłopaka?

– Pomogę ci. To nie powinno być trudne – odparł Adam z błyskiem w oku. – Zacznę od miejsca, w którym zazwyczaj chowam martwych kelnerów i odźwiernych. Grzebiemy tam również kuchcików, którzy padli ofiarą kulinarnych eksperymentów przełożonego.

– Ty na serio jesteś stuknięty – roześmiała się Magda.

Wreszcie skosztowała cappuccino z profesjonalnie spienionym aksamitnym mleczkiem.

Podeksytowana, że wyjaśnienie tajemnicy jest blisko, wróciła do siebie i podśpiewując, zabrała się do szorowania łazienki. Podobnie jak wszystko w domu, wyposażenie pomieszczenia również błagało o wymianę, ale chwilowo jego remont znajdował się na samym końcu listy domowych priorytetów. Pozostawało się z tym pogodzić i w miarę możliwości doczyścić kilkunastoletni brud.

Gdy Magda pucowała na błysk umywalkę, przypomniała sobie o niedokończonych zakupach. Nie minął kwadrans, a ponownie zaparkowała pod sklepem. Napełniła koszyk. Przemknęło jej przez głowę, by o ponure znalezisko w stadninie zagadnąć sklepikarkę, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie. Stara Zygmunтова była plotkarą jakich mało, a przy takiej sensacji długo nie utrzymałaby języka za zębami. Na razie wystarczyło, że wieść o odkryciu lotem błyskawicy obiegła okolicę, w której aż roiło się od przeróżnych spekulacji. Nikt do końca nie wiedział, co się stało, niemniej jednak zamieszanie w stadninie nie mogło ujść uwagi miejscowych. Domysłem nie było końca, obstawiano przeróżne

scenariusze – począwszy od znalezienia skarbu, poprzez odkrycie ropy naftowej, tudzież innych cennych złóż, po kręcenie kolejnego odcinka *W11* czy filmu akcji. Zwłaszcza że jeden z członków ekipy dochodzeniowej łudząco przypominał znanego aktora.

Nie ma co dolewać oliwy do ognia, stwierdziła Magda.

W drodze powrotnej wpadła na pewien pomysł i zaparkowała obok apteki. Miała w końcu osobisty pretekst, żeby zagadać do pana Edwarda, a ponadto dziś chciała kupić plastry, wodę utlenioną i bandażę do stajennej apteczki. Była pewna, że w przeciwieństwie do jedyne go w okolicy sklepu, stanowiącego istną wylęgarnię plotek, tutaj może liczyć na pełną dyskrecję.

Nie myliła się, lecz niestety znów trafiła w ślepy zaułek. Rodzina aptekarza mieszkała w okolicy dopiero od jedenastu lat. Nie licząc aktualnych plotek, nikt nie słyszał o niczym.

– Moja droga, ja nie chcę nic sugerować, ale w pierwszej kolejności poszedłbym na plebanie – powiedział farmaceuta. – Osobiście jestem ateistą, ale w takich małych wioskach proboszcz zna wszystkich. Chodzi po kołędzie, to i dowiaduje się różnych rzeczy. A jak nie po kołędzie, to mu przy spowiedzi rajfury powiedzą.

– Jest pan genialny! – Magda aż podskoczyła z radości i ucałowała starszego pana w oba obwisłe policzki. – Dziękuję.

W cichej miejscowości, w której zazwyczaj nie działo się nic ciekawego, już sama wieść o przybyciu nowej właścicielki stadniny stanowiła nie lada sensację. Połączenie tego faktu z ostatnimi wydarzeniami sprawiło, że Magda miała spore szanse stać się lokalną celebrytką. Znali ją niemal wszyscy, choć ona zdążyła poznać zaledwie kilka osób. Na składanie wizyt, w tym również na plebanii, nie pozwalał jej nawał roboty. Aż do teraz. Najwyższa pora poznać miejscowego duszpasterza, stwierdziła.

Na razie jednak wróciła do domu. Zależało jej na dobrym początku znajomości, na zrobieniu korzystnego wrażenia. Zofia właśnie upiekła pachnącą cynamonem szarlotkę, więc Magda odkroiła spory kawał ciasta. Nie wypada iść z pustymi rękami, pomyślała. Na razie nie mam kasy na wsparcie parafii, więc szarlotka musi wystarczyć. Już sam zapach ciasta upajał, o smaku nie wspominając. Co ciekawe, w napadach demencji Zofia potrafiła zapomnieć, jak ma na nazwisko albo jak miała na imię jej matka, ale przepis na jabłecznik miała wdrukowany w pamięć na stałe.

Plebania w Pieńkach położona była przy głównej drodze, vis-à-vis sklepu. Okazałego i zadbanego kościoła nie sposób było przeoczyć, zwłaszcza że strzelista dzwonnica dominowała nad okolicą. Staszek żartował, że to taka miejscowa wieża Eiffla – człowiek widzi ją na horyzoncie i wie, że się nie zgubi.

Magda przyhamowała i wjechała na brukowany podjazd.

Tuż za kościołem jej oczom ukazał się rozłożysty parterowy budynek. Na oko nieco zbyt duży jak na plebanie, ale wystarczyło spojrzeć uważnie, by zorientować się, że mieszczą się w nim również salki katechetyczne pochodzące z czasów, kiedy w szkołach jeszcze nie uczono religii.

– Dzień dobry. Czy mogę w czymś pomóc?

Młody pulchny mężczyzna wyłączył kosiarkę i otrzepał dłonie.

– Szukam księdza proboszcza.

– Słucham panią.

Proboszcz w cywilu znacznie odbiegał od stereotypu kapłana. Magda spodziewała się kogoś starszego od węgla, a tymczasem pleban miał maksimum czterdziestkę.

– Niech będzie pochwalony – powiedziała speszona.

Patrzyła zdumiona na faceta mniej więcej w swoim wieku, który nie dość, że zamiast odmawiać różaniec, nosił biały podkoszulek z logo zespołu rockowego i powyciągane dresowe gacie, to jeszcze na dokładkę kosił trawnik.

– Na wieki wieków – odparł. – A co to tak pachnie? – Zerknął ciekawie w stronę brytfanki.

– Szarlotka. – Magda uśmiechnęła się szeroko. – Właśnie przyszłam się wkupić. Jestem nową parafianką.

Wreszcie odzyskała rezon.

Ku jej zdziwieniu nie przeszli do kancelarii parafialnej. Ksiądz Michał poprowadził gościa na plebanię. Zasiedli w kuchni.

Magda zazdrośnie rozejrzała się po czyściutkim pomieszczeniu. Ech, chyba muszę tu przysłać Alę na szkolenie, pomyślała i po kurtuazyjnej wymianie zdań ostrożnie wybadła grunt. Atmosfera przy szarlotce i herbacie earl grey skłaniała do refleksji i zwierzeń. Magda była nawet bliska rąbnienia prosto z mostu, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Nie, ksiądz był zbyt młody. To nie o tego człowieka chodziło. Mimo to los sprzyjał domorosłej śledczej. Świeżo upieczony proboszcz sam z siebie pochwalił się niedawnym awansem i nominacją.

– Dopiero od miesiąca mieszkam na tutejszej plebanii, więc mało kogo znam – powiedział. – Tym bardziej się cieszę, że pani przyszła. Nie spodziewałem się przejęcia parafii tak szybko. Miałem przez jakiś czas pracować jako wikary pod okiem księdza Tadeusza, ale ten poczuł się bardzo źle i niespodziewanie wylądował w szpitalu. Wszyscy bardzo martwiliśmy się o niego. Niebezpieczeństwo wprawdzie minęło, ale i tak raz w tygodniu odprawiam mszę świętą w jego intencji.

– Och, jest w szpitalu? – Magda wzniosła oczy ku niebu w podzięce, że staruszek wciąż żyje.

Miała nadzieję, że również cokolwiek pamięta.

– Nie, nie. Już wyszedł. Początkowo planowaliśmy, że wróci do nas, ale uznał, że już pora, żebym przejął owieczki i został proboszczem.

– A gdzie przebywa obecnie?

– Zamieszkał w seminarium duchownym w Radomiu, w tamtejszym hotelu dla księży seniorów. Rozmawiałem z nim wczoraj. Ma się całkiem, całkiem. Jeśli dobry Bóg da, w przyszłym miesiącu po niego pojedę i przywiozę go tutaj, żeby mógł się pożegnać z parafianami. Koło gospodyń wiejskich już się szykuje na huczną imprezę. Oj, biedny nasz ojciec Tadeusz, oj biedny. Marny jego los, jak go te baby dopadną. – Ksiądz Michał uśmiechnął się serdecznie.

Zadowolony, że do stada dołączyła nowa owieczka, zaproponował dolewkę herbaty. Resztkę szarlotki zakamufłował w kredensie, ale co chwila łakomie łypał w tamtym kierunku.

Magda myślała, że udusi się ze śmiechu. Cudem udało się jej zachować kamienną twarz.

– A czy można odwiedzić księdza Tadeusza? – zapytała. – Czy w tym Radomiu panują jakieś specjalne reguły?

– A skądże. Może pani tam pojechać, kiedy pani zechce. On na pewno bardzo się ucieszy. Podać pani numer telefonu?

W pierwszej chwili Magda poczuła rozczarowanie, że nie załatwi sprawy na miejscu, ale mimo to do domu wróciła zadowolona. Nic straconego, pomyślała. Leciwy proboszcz Tadeusz żyje i jest na chodzie, a przecież od Radomia nie dzielą mnie lata świetlne. To raptem kilkaset kilometrów. Gdyby tak dobrze się sprężyć, można by załatwić sprawę jednego dnia.

Późnym popołudniem, usatysfakcjonowana dotychczasowymi dokonaniem, zadzwoniła zameldować o wszystkim mężowi. Tomek okazał jednak zaledwie umiarkowaną radość. Jego żona miewała ostatnio szalone pomysły i nie słuchała nikogo. Wcale mu się to nie podobało.

– Uważaj na siebie, kochanie – powiedział. – Błagam cię, bądź ostrożna. Przecież nikt o dobrych intencjach nie ukręca ludziom łbów i nie zakopuje ich pokątnie.

– No coś ty? – roześmiała się Magda. – Ten stary zwyrodnialec już od dawna nie żyje. A mnie interesuje wyłącznie to, kim były te kobiety. Policja od początku machnęła na to ręką. Wiesz, nie ma świadków, nie ma zgłoszenia, nie ma sprawcy. Szczątki są stare, nikt ich nie szukał. Rzecz przedawniła

się dawno temu.

– To po co się pakujesz w to bagno? Odpuść.

– Spokojnie. Jestem po prostu ciekawa. Kurczę, stary wcale nie wyglądał na mordercę.

– Kochanie, jakby morderca wyglądał na mordercę, to nikt by mu się nie dał zamordować.

– No faktycznie...

– Ufam, że będziesz rozsądna. Brakuje mi ciebie – zagruchał Tomek w słuchawkę, a pod Magdą ugięły się nogi.

– Kiedy wreszcie do mnie przyjedziesz? – zapytała.

Pomijając, że skręcało ją z tęsknoty, potrzebowała kilku rzeczy z mieszkania.

– Z końcem lipca.

– Co takiego? Przecież to jeszcze całe dwa tygodnie! – zawołała rozczarowana.

– Kochanie, mam w pracy totalny młyn. Wprowadzam w obowiązki swojego następcę. Nie ma mowy o choćby jednym dniu wolnego.

– Nawet w niedzielę? – zapytała smutno Magda.

– W niedzielę wdrażam go w buchalterię i cały ten cyrk z lekami robionymi na miejscu. To nie taka prosta sprawa. Poza tym mama wreszcie pojechała do tego swojego cholernego Ciechocinka, więc na co dzień muszę choć trochę zająć się domem. Ale obiecuję, że na początku sierpnia zamelduję się w Pieńkach. Mam nadzieję, że Zofia jeszcze nie jest tak stara, żeby nie nauczyć mnie jeżdżenia w siodle.

– Nie jest. Jak akurat ma dobry dzień. Zresztą w odwodzie jest jeszcze Alicja. Kurczę, sama bym chciała spróbować i przekonać się, czy jeszcze pamiętam cokolwiek. Tyle że nie mam czasu. No i sprzętu.

– Spokojnie, kochanie. Wszystko w swoim czasie.

W jakim swoim czasie? Dlaczego nie zaraz?, myślała Magda następnego dnia, jadąc do Tczewa, by kupić gumowe sztyblety. Mimo że w stajni były dostępne wszystkie rodzaje toczków i butów, to jednak wolała mieć swoje. W sumie wolała mieć swoje wszystko, ale na razie nie chciała mnożyć niepotrzebnych wydatków. Bryczesy zastąpi się zwykłymi legginsami, czapsy wysokimi skarpetami, postanowiła. Reszta musi poczekać.

Przy okazji kupiła jeszcze po promocyjnej cenie cienkie rękawiczki. Chwilowo ten zestaw musiał jej wystarczyć, choć przy wystrojonych nastoletnich amatorkach konnej jazdy, które ostatnio licznie odwiedzały stadnię, Magda powinna wpaść w kompleksy. Na szczęście miała to w nosie.

Nawiasem mówiąc, ostatnio zapanowała moda na kupowanie własnego sprzętu, tudzież końskich ozdób i wyposażenia. Dziewczynki dosłownie prześcigały się w tej kwestii, a rodzice, zachwyceni pasją pociech, nie szczydzili funduszy. Zaangażowali się do tego stopnia, że po tygodniu każda z nastolatek miała już własny, najczęściej różowy, kuferek z pełnym osprzętem do pielęgnacji wierzchowca. Rywalizacja była zacięta, a przechwałki na porządku dziennym – która ma lepsze zgrzebło, szczotkę czy kopystkę. Oczywiście całe to instrumentarium znajdowało się w stajni, ale nie miało to najmniejszego znaczenia. Rywalizacja zaostrzyła się, gdy każda z młodych amazonek weszła już w posiadanie kompletu przyborów do pielęgnacji. Dwie z nich podniosły poprzeczkę, przynosząc własne czapraki i nauszники dla koni.

– Widziałaś, jak wczoraj wystroiły Aresa? – pytała Alicja, krztusząc się ze śmiechu. Wyjęła telefon i odszukała zdjęcie w galerii. – Patrz. Tylko nie padnij.

– O kurde. Przecież on wygląda jak kretyn! – Magda parsknęła śmiechem na widok kasztanowego wałacha przyozdobionego różowymi skarpetami, nausznikami i czaprakiem z frędzlami. – Matko, trzymajcie mnie! Czy te dzieciaki powariowały do reszty? Przecież takie nauszniki zakłada się na zawody, a nie na maneż w Pieńkach.

– Nasz klient, nasz pan – stwierdziła sentencjonalnie Alicja. – No i nie myśl sobie, że to koniec. Podśledzałam dziś w stajni, że teraz będą kupować kantary i uwiązki, żeby i na pastwisku było paradnie. Bo nasze szare to obciach za piątkę. Ze stajni wstyd wyjść. A ty? – zmieniła temat. – Kiedy chcesz zacząć?

– Może dzisiaj wieczorem? Jak wszyscy już sobie pójdą i konie trochę odpoczną. Ostatnio siedziałam w siodle, jak miałam jakieś jedenaście lat, więc nie chcę się skompromitować.

– No coś ty. Każdy kiedyś się uczył. – Alicja w swojej trenerskiej karierze widziała już niejedno, więc tylko wzruszyła ramionami. – Anglezować potrafisz?

– Jasne, że potrafię. Chyba nawet raz udało mi się pogalopować. I jeździłam już w teren – powiedziała Magda.

Przypomniał się jej ojciec Staszka, który za czasów jej dzieciństwa był głównym stajennym. Całkiem możliwe, że coś wie i pomoże rozwikłać zagadkę, stwierdziła w duchu. Może mógłby podsunąć mi jakiś ślad, bo nawet nie wiem, o co konkretnie powinnam pytać.

Ponieważ nazajutrz i tak wybierała się do weterynaryjnego gabinetu po tabletki na odrobaczanie dla owczarków, postanowiła upiec dwie pieczenie na jednym ogniu.

Rozdział 15

W połowie lipca w całej północnej Polsce zapanowały prawdziwie tropikalne upały. Suche i gorące powietrze znad Sahary na dobre usadowiło się nad naszym krajem i zafundowało temperatury bliskie ekstremalnym. W miastach montowano wodne kurtyny i tymczasowe fontanny mające chłodzić rozgrzanych ludzi. Umęczeni wszechobecnym upałem mieszkańcy snuli się po ulicach lub kryli w klimatyzowanych wnętrzach.

Rezydenci stadniny mocno docenili fakt, że spędzają upały w lesie. W końcu ziemia i drzewa zawsze nagrzewają się mniej niż jezdnie i murowane budynki. Dekarzom udało się wreszcie skończyć prace, więc Magda zarządziła wietrzenie i suszenie wnętrz. Wprawdzie przydałoby się jeszcze profesjonalne odgrzybianie, ale na razie trzeba było skorzystać z gotowego preparatu (rodem ze składu budowlanego) oraz ciepłych przeciągów.

W środku dnia na nieosłoniętej ujeżdżalni nie dawało się wytrzymać z gorąca, zatem w trosce o kondycję zwierząt Alicja zarządziła przesunięcie jazd na wczesne godziny poranne. Druga tura lekcji miała odbywać się dopiero po zachodzie słońca. Gdy tylko umiejętności kursantów pozwalały, urządzano jazdy w terenie. Na zacienionych leśnych ścieżkach było zdecydowanie przyjemniej niż na nasłonecznionym piaszczystym placu. Niestety, dwa wierzchowce zostały chwilowo wykluczone z jazdy. Zawinił byle jak założony czaprak. Otarcia dotkliwie dawały się koniom we znaki.

– Takie są efekty, gdy pozwala się dzieciakom na samodzielne siodłanie – skwitowała Magda.

– Wiem – przytaknęła Alicja. – Ale w pojedynkę wszystkiego nie ogarnę. Nie dam rady sama w jednej chwili przygotować siedmiu koni do lekcji. W przyszłości trzeba będzie kupić żelowe podkładki. Ale to spory wydatek. Trudno, te dwa chwilowo pójdą do jazdy na oklep. Chcesz może skorzystać?

Magda po pierwszych trzech lekcjach przypomniała sobie podstawowe umiejętności. Jakoś dała radę, ale przypląciła to bolesnością łydek i ud. Po ponownym debiucie ledwie doszła do domu. A mimo to cieszyła się, że do końca nie zapomniała tego, czego nauczyła się w dzieciństwie. I że nie musi zaczynać od lonży, jak początkujący amator.

Teraz z jękiem przetoczyła się po łóżku i na drżących nogach z trudem dotarła do łazienki. Zrezygnowała z kolejnej lekcji i poszła przejść się po okolicy, żeby jakoś rozgrzać obolałe mięśnie.

Przyjemny poranny chłodek sprawił, że pomimo bólu rażno maszerowała przez las, aż natrafiła na polanę porośniętą krzewinkami poziomek. Aromat świeżych owoców odurzał odzwyczajonego od swojskich woni mieszczucha. Magda akurat przycupnęła z wysiłkiem przy kolejnym krzaczku, gdy zza krzaków na polanę wypadł zziajany Adam. Ciężko dyszał i ręcznikiem ocierał pot z czoła.

– Ty biegasz? – zapytała zdumiona.

Jej sąsiad jeszcze kilka dni temu otwarcie deklarował niechęć do wszelkiego rodzaju fizycznej aktywności.

– Jak widzisz – wysapał. – Muszę schudnąć.

– Świetna myśl – pochwaliła Magda, choć kompletnie nie potrafiła sobie wyobrazić chudego Adama.

– Jeszcze nie jestem taki stary, żeby całkiem położyć łagę na wyglądzie. Może zechce mnie jeszcze jakaś białogłowa? – Uśmiechnął się krzywo. – A co ty tu robisz?

– Ja lecę gnaty i tyłek oklepany od siodła. Ledwie łązę. – Magda wydała z siebie zboląły jęk. – A może dasz się namówić na wczasy w siodle? – Pozwoliła sobie na niewielką złośliwość. – Twoi bratankowie chwycili takiego bakcyła, że mimo iż Ala wprowadziła zakaz używania telefonów w stajni, chłopcy nie wychodzą stamtąd prawie wcale. No i jeszcze te chmary dziewczyn łąjących za nimi krok w krok. Chłopaki puszą się jak pawie.

Wśród podobnych przekomarzanek Magda i Adam wylądowali w Nestorze na porannej kawie. Później przeszli do stadniny.

Dzieciaki skończyły już poranne jazdy i właśnie zabrały się do końskiej toalety.

Stajnia po remoncie prezentowała się bardzo dobrze, więc Magda z Alicją za wszelką cenę starały się utrzymać w niej porządek i nie zaniedbać efektu. Pośrodku pomieszczenia stała Zofia, dyrygując nastolatkami z zaangażowaniem. W krótkich żołnierskich słowach porozstawiała towarzystwo po kątach i przydzieliła zadania.

– Ech, gdyby tylko była zdrowa, byłaby z niej wielka pociecha – powiedziała Magda ze smutkiem. – Pracuje tutaj od zawsze i zna każdy kamień w okolicy. To najlepszy fachowiec, jakiego znam.

– Ona choruje?

– Tak. Alzheimer. Ostatnio dopada ją coraz częściej. Na szczęście Zofia jeszcze nie wymaga całodobowej opieki, ale to tylko kwestia czasu. Niebawem pewnie zacznie zapominać nawet, że musi pójść do toalety. Już teraz trzeba mieć ją na oku. Czasami nie pamięta, gdzie mieszka i co tutaj robi.

– Szkoda. Mimo wieku wygląda na całkiem krzepką kobitkę – podsumował Adam.

Przy powitaniu z Zofią musiał zadrzeć głowę, choć nie zaliczał się do ułomków. A ona tubalnym głosem zaraz obsztorcowała jego bratanków. Wyzywając ich od wałkoni i obiboków, pogoniła chłopców do wygarniania ściółki. Spełnili polecenie bez szemrania.

– Świetnie – ucieszył się Adam. – Może wreszcie odkleją się choć trochę od komputerów i odkryją, że istnieje inny świat. Nie tylko wirtualna gra w futbol i wojnę.

– Spokojna głowa, nie mamy jeszcze internetu. Wszystko ma być podłączone dopiero wieczorem. Nareszcie i ja będę miała swoje okno na świat. Strona internetowa już się robi. Wystarczy opłacić domenę i już – powiedziała Magda.

– A później zlinkujemy nawzajem nasze strony – podchwycił Adam. – Oczywiście jeśli się zgodzisz. W końcu nasze usługi się uzupełniają, więc to chyba rozsądne?

– Całkiem niegłupie. Pewnie, że chcę. Stajniawpieńkach.pl. Brzmi dobrze, prawda?

Magda zaplanowała wypad do księdza Tadeusza, dopiero gdy jej mąż na dobre zainstaluje się w Pieńkach i wszystko poukłada się choć trochę. Lecz niespodziewanie okazało się, że do Radomia wybiera się Staszek, w najbliższy weekend, na jakąś weterynaryjną konferencję. Szkoda było nie skorzystać z okazji.

Do załatwienia pozostawała tylko sprawa noclegu. Magda chciała zarezerwować pokój w sympatycznym hoteliku położonym niedaleko miejsca sympozjum, tymczasem Staszek wpadł na lepszy pomysł.

– Zaczekaj – powiedział i aż rozbłysły mu oczy.

Wyszedł z gabinetu i wykonał kilka telefonów.

Magda uważnie przestudiowała wiszący na ścianie poster z układem trawiennym świni. Właśnie miała się zabierać do analizy psiego szkieletu, gdy uradowany Staszek wparował z powrotem.

– Załatwiłem.

– Co takiego?

– Jedziesz ze mną na konferencję. Właśnie zarezerwowałem ci miejsce. Będziesz udawać mojego pracownika. Pasuje?

– To tak można?

– A kogo to obchodzi? – Wzruszył ramionami. – Zapłacisz wpisowe, które wynosi tyle, co koszt dwóch noclegów, za to nie będziesz sama. Pierwszego wieczoru jest w planie ognisko z kapelą regionalną, drugiego uroczysty bankiet. Czyli to samo, tyle że w lepszych ciuchach. – Staszek puścił oko. – Generalnie rozrywkowo. Poza tym możesz sobie robić, na co masz ochotę. Nawet przyjść na prelekcje czy panele dyskusyjne. Kilka mogłoby cię nawet zainteresować.

– Będzie coś o strusiach? – roześmiała się Magda.

– Nie będzie. Lejtmotywnym jest zastosowanie ultrasonografii przy rozrodzie zwierząt gospodarskich.

– Kurczę. Może rzeczywiście coś skorzystam. W końcu trochę tych zwierząt mam. A jak z wyżywieniem?

– Wszystko w cenie. Pełny wypas. Sponsorzy okazali się hojni. Opłaty za uczestnictwo są naprawdę symboliczne.

Zadowolona z obrotu sprawy, Magda wróciła do siebie i sprawdziła skromną wyjściową garderobę. Niestety, nie znalazła niczego, co nadawałoby się na bankiet. Najlepsza byłaby jakaś mała czarna i szpilki albo jakieś inne czarne buty, ale dysponowała wyłącznie balerinami.

– Czym ty się zajmujesz? – wtrąciła się Alicja.

– A tym, że nie mam już czasu na zakupy. A tym bardziej pieniędzy.

– Tomek nie może ci dowieźć?

– Jest zajęty, a ja nie mam czasu jechać do domu. Poza tym nie mam po co jechać, bo i tak nie mam żadnej wieczorowej kiecki.

Do Magdy dotarło, że przez te wszystkie lata nie trafiła się jej ani jedna okazja, żeby kupić coś eleganckiego do ubrania. Wiecznie zajęty Tomek stronił od towarzyskich spotkań. W pracy bez przerwy miał kontakt z ludźmi i często miewał ich dosyć, zatem kolejne interakcje nie mieściły się w jego definicji odpoczynku. Był urodzonym domatorem, który wolał odpoczywać w spokoju niż udzielać się towarzysko. Magda natomiast odwrotnie. Czasem chętnie by gdzieś wyszła, choćby i z własnym mężem, ale on wolał jedzenie z dowozem do domu niż restaurację. Nieliczni znajomi wielokrotnie zapraszali oboje na okoliczność różnych okazji, ale zawsze coś stawało na przeszkodzie. Choć zazwyczaj Tomek był zmęczony lub po prostu nie chciał iść. Tłumaczył się nierzadko brakiem pieniędzy na prezenty ślubne, zatem nie bywali nawet na weselach. To kiedyś musiało się zemścić. W końcu zaczęto ich pomijać przy układaniu listy gości.

– Jak to: nie masz? – zdziwiła się Alicja. – Kurczę, to nawet ja mam. Ale ci nie pożyczę, bo z ciebie spadnie.

– No to lipa. Najwyżej po prostu nie pójde na bankiet i tyle. W sumie nie muszę. Mogę przecież posiedzieć w pokoju i pooglądać telewizję – powiedziała Magda i w tej samej chwili zorientowała się, że od przyjazdu do Pieniek spokojnie obywa się bez telewizora.

Normalnie byłoby dla niej niepojęte, że może spędzić wieczór bez włączonego gadającego ekranu, tymczasem tutaj po całym dniu była tak zmęczona, że nawet o tym nie pamiętała.

– Daj spokój! Taka okazja nie trafia się codziennie. Musisz coś mieć – uparła się Alicja.

– Nie mam kasy.

– Nie szkodzi. Radom to duże miasto. Na bank mają tam jakieś ciuchlandy. A kupno czarnej kiecki to żaden problem.

– Lumpeksy! Jesteś wielka. – Magda aż podskoczyła z radości.

Po pięciu minutach były już w drodze do Tczewa. W drugim sklepie z używaną odzieżą znalazły to, czego szukały – skromną czarną sukienkę z tiulowym karczkiem i rękawami. Magda przymierzyła ją z zapartym tchem i już nie wypuszczając ciuszka z ręki, czym prędzej uregulowała rachunek. Wydatek

rzędu kilkunastu złotych dostarczył jej wiele frajdy.

Już w domu Alicja zanurkowała w szafie i wydobyła z niej sporą drewnianą szkatułkę.

– Masz. Znalazłam to przy pakowaniu rzeczy Felicji. Kurczę, w sumie wyleciało mi z głowy, żeby ci to dać.

– Ale numer. – Magda uchyliła wieczko i wstrzymała oddech.

– Wspaniałe, co?

Magda nie wierzyła własnym oczom. W wyłożonych wiśniowym ałtarem przegródkach pobłyskiwały niezliczone kolczyki, broszki i bransolety. Niektóre wyglądały na stare. I chyba nawet cenne.

– Nie mów, że babcia Fela stroiła się w to do stajni, bo nie uwierzę. Skąd ona to wzięła, do licha? Nigdy tego nie widziałam.

– Ja też nie. Ale może coś ci się przyda na ten weterynaryjny jubel. Ech, nawet nie wiesz, jak ci zazdroszczę tego wyjazdu – westchnęła Alicja, jak uboga krewna pominięta w zaproszeniu na bal, i poszła do koni.

Magda zadumała się nad zawartością szkatułki i przymierzyła pierwsze z brzegu wiszące kolczyki z zielonkawymi kryształkami. Przez chwilę kombinowała z fikuśnym zapięciem, przy okazji raniąc się w ucho. Nigdy wcześniej nie widziała takiego patentu. Przyjrzała się dokładniej – śrubkę ze specjalnym pokrętelem pokrywał ciemny nalot, a gwintowany sztyft obracał się z dużym oporem. Ponieważ kiedyś słyszała o czyszczeniu biżuterii pastą do zębów, od razu zabrała się do roboty.

Stare kolczyki idealnie pasowały do czarnej sukienki.

Reszta zawartości szkatułki zaczeka na swoją kolej, zdecydowała. Nie znała się na kosztownościach, ale była prawie pewna, że przynajmniej część z nich to nie są zwykłe tanie błyskotki. Postanowiła to sprawdzić przy najbliższym pobycie w mieście; na razie nie miała na to czasu. Musiała przyszykować się do wyjazdu.

Nie licząc męża, Adama i Staszka, nikomu nie powiedziała o swoim prywatnym śledztwie. A i tak żaden z tej trójki nie wiedział wszystkiego. Magda, w obawie, że będą chcieli ją powstrzymać, ostrożnie dawkowała informacje. Najchętniej by milczała, ale musiała przecież z kimś się skonsultować. Policja jak do tej pory nie wykazała większego zaangażowania w sprawę, a Magdę zżerała ciekawość, co takiego przed laty wydarzyło się w stadninie. Liczyła na pomoc ojca Staszka, ale ten, niestety, nie żył od roku. Zresztą gdyby wiedział cokolwiek, podzieliliby się wiedzą z synem, który przed laty spędzał w stadninie każdą wolną chwilę i zapewne pamiętałby jakieś dramatyczne wydarzenia. Wypytany o to szczegółowo w drodze do Radomia, powiedział, że nie wpadły mu w ucho żadne plotki.

– Przecież to niemożliwe, żeby dwie babki wyparowały ot tak sobie. I żeby nikt ich nie szukał – zirytowała się Magda.

– Może i ktoś szukał, tylko o tym nie wiemy. Poza tym zwykle nikt nie szuka osób samotnych.

– No fakt.

– Pomyśl. Czy gdyby twoja sąsiadka zza ściany znikła zniemacka, zgłosiłabyś to na policję?

– Nie. To nie powinno mnie obchodzić. Mogłaby przecież wyjechać do rodziny za granicę albo po prostu się wyprowadzić. Nie, nie. Zdecydowanie nie interesuję się cudzym życiem.

– Sama widzisz, że takie sytuacje się zdarzają. Możliwe, że podobnie było i w tym przypadku. Ja wiem, że jesteś ciekawa. Kurczę, nawet ja jestem. W końcu nie co dzień znajduje się ludzkie szczątki.

– Zakładając, że hrabia był świrem, moja babcia i Zofia musiały o tym wiedzieć. Ja pamiętam tylko mój strach przed tym okropnym staruchem. Ale babcia nie żyje, a z Zofią nie da się normalnie porozmawiać.

– Też unikałem hrabiego. Z gruntu nie cierpiałem tego zasuszonego dziada.

Początek podróży do Radomia przebiegał pod znakiem korków, ale później piątkowy ruch zelżał nieco i kilometrów zaczęło ubywać. W końcu i Magda, i Staszek poczuli głód, więc przystanęli na zatłoczonym

parkingu przed przydrożnym zajazdem, zgodnie z zasadą, żeby w trasie jadać wyłącznie w miejscach, przed którymi panuje ścisk. Kierowcy ciężarówek świetnie znali adresy, pod którymi mogli się spodziewać zarówno niezłej jakości, jak i niewygórowanych cen. Jako że wcześniej Staszek stanowczo zaprotestował, gdy Magda chciała mu zwrócić przynajmniej połowę kosztów paliwa, teraz ona uparła się jak osioł, że zapłaci za obiad. I nie przyjęła odmowy.

– Twój mąż nie miał nic przeciwko naszej wyprawie? – zapytał jej towarzysz, łapczywie wychylając szklanke soku świeżo wyciśniętego z pomarańczy.

– A czemu miałyby mieć? – Magda wzruszyła ramionami. – Chociaż wie, czego szukam, siedzi zakopany w tych swoich receptach. Chyba rozumie, że mnie nie powstrzyma. – Uśmiechnęła się chytrze.

Kiedyś zapewne posłuchałaby Tomkowej przestrogi i nie chcąc sprawić mu zawodu, zmieniłaby plany, ale odkąd zasmakowała prawdziwej samodzielności, nie było takiej szansy. Tak, przyплыw tej nagłej niezależności być może zainteresowałby jakiegoś psychologa, lecz Magdzie tak spodobało się trzymanie steru, że nie zamierzała go wypuścić. Znienacka wokół niej pojawili się ludzie, a ona nie mogła się tym faktem nacieszyć. Zupełnie jak spragniony wędrowiec, który na pustyni natrafia na oazę. Z nowej rzeczywistości czerpała pełnymi garściami i wcale nie chciała przestać.

W Radomiu rozlokowała się w pokoju, od razu wzięła prysznic i przygotowała do wieczornego spotkania. Przez okno widziała płonące w najlepsze ognisko i zgromadzony wokół niego spory roześmiany i rozgadany tłumek. Nawet z oddalenia czuło się, że towarzystwo nie jest sobie obce, ale – o dziwo – Magdy nie peszyło to w najmniejszym stopniu.

Ponieważ wieczorem zrobiło się chłodniej, zdecydowała się na ciemne spodnie z modnymi przetarciami i jasną dzinsową kurteczkę. Włosy spięła gładko, w koński ogon, i wytuszczyła rzęsy nieco mocniej niż zwykle. Na koniec przejechała po ustach arbuzowym błyszczkiem.

Pewnym krokiem udała się do drewnianej wiaty. Kilka głów odwróciło się w jej stronę. Magda pochwyciła kilka zaciekawionych spojrzeń. Bez słowa podeszła do stołu z jedzeniem i nabiła na szpikulec spore pęto odpowiednio naciętej wiejskiej kiełbasy. Nieporadnie utoczyła szklanke piwa ze stojącego obok nalewaka, przy okazji rozchlapując trochę pianę. Choć ostatnio zazdrośnie przyglądała się umiejętnościom barmana w Nestorze, nie przyszło jej do głowy, żeby poprosić go o krótkie szkolenie. Mimo to była z siebie dumna.

– Proszę.

Tuż obok niej jak spod ziemi wyrósł rosły blondyn o posturze germańskiego woja. Wręczył jej paczuszkę nawilżanych chusteczek.

– Och, dziękuję. Ale ja... – plątała się zaskoczona Magda.

– Spokojnie. Ja też tego nie potrafię. Złośliwe to piwo – powiedział nieznajomy i wyjął jej z ręki kufel. – Szymon. Jestem z Torunia, a ty?

– Ja z Trójmiasta. To znaczy, mieszkam w Pieńkach – przedstawiła się oględnie.

Nie chciała zdradzić, że Staszek wkręcił ją na konferencję na przysłowiowy krzywy ryj.

– Specjalizacja?

– Co?

– W czym się specjalizujesz? Bo ja raczej w psach i kotach. Ale postanowiłem poszerzyć horyzonty. Konferencja to zawsze miły pretekst, żeby spotkać starych znajomych i poznać kogoś ciekawego.

– Rzeczywiście.

Magda poczuła do zwalistego blondyna odruchową sympatię. Pozwoliła nawet, by upiekł jej w ognisku kiełbasę. Tymczasem wystarczył kwadrans, by liczba uczestników imprezy wzrosła dwukrotnie. Ożywionym dyskusjom, wybuchom śmiechu i entuzjastycznym powitaniom nie było końca. Magda, co rusz zagadywana przez Szymona, nawet nie zdążyła poczuć skrępowania. Wszyscy traktowali ją jak

swoją. Alkohol rozluźniał atmosferę. Ludzie podchodzili, zamieniali z nią kilka zdań. A gdy po zachodzie słońca kapela przycięła oberka, ruszyli w tany. Oczywiście nikt nie znał kroków, ale przecież nie to było najważniejsze.

Magda kilkakrotnie pochwyciła rozbawione spojrzenie Staszka. Widać było, że jej towarzysz czuje się jak u siebie i świetnie się bawi, ale czuje za nią odpowiedzialność. Przez cały czas miał ją na oku.

Udało się im zamienić słówko dopiero po dłuższym czasie.

– Widzę, że szalejesz – zauważył. – Zatańczymy?

– Jasne. Szymon to świetny kompan – rzuciła roześmiana Magda.

– Wiem. Ale uważaj na niego, bo to niepoprawny kobieciarz i żadnej białogłowie nie przepuści.

Ostrzegam, bo nieraz widziałem go w akcji.

Jakby na potwierdzenie tych słów Szymon zarządził odbijanego i w pół słowa przejął tancerkę.

Wszystko byłoby świetnie, gdyby nie ten cholerny bawidamek, pomyślał Staszek i zaklął w duchu. Jego kolega po fachu przez cały wieczór adorował Magdę, więc można było odetchnąć z ulgą, dopiero gdy bezpiecznie znalazła się w swoim pokoju. Staszek osobiście odeskortował ją pod drzwi i pogroził palcem na dobranoc. Wrócił jeszcze do ogniska, ale było już tak późno, że wokół rozlegały się wyłącznie pijackie śpiewy. Dopił piwo, zrobił kilka kroków w ciemności i niemal wpadł na dobrze podchmielonego Szymona.

– Dobranoc, stary – powiedział, ale tamten zagroził mu drogę.

– Dobranoc, dobranoc. Niezłą dupencję se przywiozłeś, chłopie – odparł. – Pogratulować. Tylko czemu nie jesteś teraz z nią, a włóczysz się po nocy?

– A co cię to obchodzi? – Staszek pomału tracił cierpliwość.

– Bo mi się podoba. Ale skoro to twoja...

– To moja znajoma. Współpracujemy od niedawna. Poza tym ma męża.

– A kogo obchodzi jakiś głupi mąż? – tokował niezrażony Szymon. – Powiesz mi, gdzie ona mieszka? Ta niepokumana niunia z recepcji nie puszcza pary z ust, a ja nie znam nazwiska. – Czknął donośnie, przy okazji rozlewając piwo na trawnik.

– Jasne. Pokój trzysta pięćdziesiąt osiem, o ile dobrze pamiętam. I powodzenia, stary. Niech moc będzie z tobą! – Staszek uniósł kciuk i dusząc się ze śmiechu, pomaszerował do siebie.

Oczami wyobraźni widział już minę Szymona, gdy ten rozochocony i w pełni gotów do zalotów wparuje do pokoju pewnej emerytowanej prelegentki. Numer jej pokoju zapamiętał, gdy egzaltowana ekspertka od rozmnażania trzody chlewnej zgłaszała recepcjoniście uszkodzony zamek. Ten wił się, tłumacząc, że konserwator chwilowo jest nieobecny, ale problem zostanie rozwiązany jak najszybciej. Czyli dopiero rano.

Zanim położył się spać, Staszek na palcach zakradł się jeszcze pod drzwi Magdy. Przyłożył ucho, ale nie usłyszał żadnego dźwięku. Odetchnął z ulgą.

Na efekty naprędce skleconej intrygi nie trzeba było długo czekać – dosłownie po kwadransie na korytarzu rozległy się krzyki.

Trzeba będzie rano ostrzec Magdę, że Szymon na poważnie wziął ją na celownik, pomyślał Staszek, zasypiając z uśmiechem na ustach w poczuciu dobrze spełnionego obowiązku.

Rozdział 16

Poprzedniego wieczoru zapomniała zamówić budzenie do pokoju, a nocne imprezowanie skończyło się tym, że nie usłyszała budzika w telefonie. Magda zasnęła, i to porządnie. Właśnie dochodziła jedenasta.

– Jasna cholera!

Zerwała się z łóżka i wyjrzała przez okno, żeby ocenić temperaturę na zewnątrz.

Dzień był słoneczny, ale zdecydowanie chłodniejszy niż ostatnie piekielne dni w Pieńkach.

Magda przygotowała kolorową sukienkę i zrobiła makijaż. Zrezygnowała z upinania włosów. Po kwadransie zameldowała się na parkingu. Chciała wezwać taksówkę, ale Staszek zaprotestował stanowczo. Uparł się, żeby wzięła jego samochód, a że śpieszył się na prezentację, od razu wręczył jej kluczyki. Magda upewniła się jeszcze, że zabrała ze sobą dokumenty, i wycofała ostrożnie. Auto Staszka było sporo dłuższe od fiesty, ale na szczęście wyposażone w czujniki cofania, więc szybko pozbyła się obaw, czy poradzi sobie z tak dużym kombi.

Jako że ominęło ją śniadanie, po drodze podjechała pod sklep spożywczy i kupiła coś do jedzenia; tym razem drożdżówka i jogurt musiały wystarczyć. Międląc w ustach kęs bułki, Magda spróbowała zaprogramować nawigację, ale zrezygnowała po kilku próbach i wyklinając na skomplikowane nowoczesne pseudoudogodnienia, podjechała do najbliższego postoju taksówek. Wcześniej przezornie sprawdziła na mapie i wiedziała, że cel wyprawy znajduje się niedaleko, ale wolała zapytać o drogę. Później zrobiła to raz jeszcze i po kwadransie była na miejscu.

Położony na uboczu, w zadrzewionym ogrodzie, budynek Wyższego Seminarium Duchownego właśnie przechodził remont elewacji. Mimo soboty wokół panował ruch i rozgardiasz. Magda wysiadła, została powitana pełnymi aprobaty pogwizdywaniami budowlańców i napała na ogromne drewniane drzwi. Ani drgnęły. Spróbowała ponownie, ale bez powodzenia.

– To bez sensu. Niech pani popatrzy.

Rosły młody mężczyzna z dumnie wyprężonym, nagim i opalonym torsem wskazał na kartkę z napisem: „Wejście z drugiej strony”.

– Och, dziękuję. Nie zauważyłam – odparła speszona Magda. – A gdzie konkretnie?

– Pokażę pani – mruknął budowlańiec, strzepując z siebie cementowy pył.

Wcześniejsze gwizdy uznania teraz zmieniły się w mniej lub bardziej dosadne komentarze.

– Dzięki. Choć sądziłam, że jako kobieta będę miała w seminarium duchownym święty spokój – wypaliła Magda.

Z uznaniem zerknęła na muskularne plecy i wyraźnie zarysowane mięśnie ramion. Ostatnio widziała podobnie wyrzeźbione ciała w sopockiej siłowni, lecz zdążyła już odwyknąć od takich widoków. Mężczyźni w jej otoczeniu zwyczajnie nie nadążali: Adama ciężko było zaliczyć do wysportowanych i szczupłych, Zdzychu składał się głównie z kości, a Staszekowi, mimo proporcjonalnej budowy, daleko było do mięśniaka. Jedynie Tomek jako tako dawał radę, choć też niespecjalnie przykładął się do dbania o własne ciało.

– Bo mają spokój. Ale są wakacje i klerycy pojechali do domów. A moi koledzy to debile, wie pani. Zachowują się idioci, jakby w życiu ładnej kobiety nie widzieli.

– Bardzo pan miły. – Magda się uśmiechnęła.

– Normalnie to tutaj modlitwy lecą na okrągło, ale teraz, kiedy na miejscu pozostało tylko kilkunastu dziadków i trochę sióstr zakonnych, ledwo to znoszą. Bo w środku też jest remont.

Magdzie w końcu udało się dostać do wielkiego gmaszyska. Fasada z głównym wejściem, choć okazała, wcale nie zdradzała, że na tyłach kryje się tak potężna budowla wzniesiona na planie nieregularnego pięciokąta z centralnie położoną kaplicą. Robiła wrażenie. Wspaniale utrzymany, skryty za murami ogród śmiało mógł zdobić okładki brązowych czasopism o architekturze zieleni.

Niestety, wewnątrz nie było już tak bajkowo. Wszędzie panował nieopisany rozgardiasz.

Magda weszła za pierwsze z brzegu drzwi, za którymi słychać było hałas, i trafiła do ogromnego refektarza; kilkunastu mężczyzn właśnie wykuwało w ścianach bruzdy pod instalację. W pustym pomieszczeniu panował ogłuszający huk. Wiedząc, co zaraz nastąpi, Magda od razu okręciła się na pięcie, ale i tak dobiegły ją niewyszukane komentarze pod jej adresem.

– Cholera by wzięła – mruknęła pod nosem.

Mając nadzieję, że się nie zgubi, filmowymi ogromnymi schodami ruszyła na piętro w poszukiwaniu miejsca rezydowania księży seniorów. Cudem udało się jej nie zabłądzić.

Ksiądz Tadeusz już na nią czekał. Siwy, pokręcony od artretyzmu staruszek wyraźnie ucieszył się na widok gościa. A gdy dowiedział się, w czym rzecz, od razu zaproponował spacer na świeżym powietrzu. Początkowo rozmowa nie kleiła się; ksiądz wyraźnie badał teren. Lecz gdy się zorientował, że Magda nie ma złych zamiarów, rozruszał się wreszcie.

– Moje dziecko – powiedział. – Niebawem stuknie mi setka, więc wszystko już u mnie szwankuje. Nawet pamięć, choć wciąż jeszcze coś tam kojarzę. Najgorzej z tym reumatyzmem, ale cóż, nawet duchowni grzeszą co nieco i pokuta też im się należy. Pytałaś, czy pamiętam hrabiego. Oczywiście, pamiętam doskonale. Wyjątkowo antypatyczny i wyniosły typ. I zawsze sztywny jakby kij połknął.

– Czy znał go ksiądz dobrze?

– Nie. Tylko z tego, co ludzie we wsi gadali. On do kościoła nie chodził, a i wizyt duszpasterskich nigdy nie przyjmował. Nawet kolędnicy nie chcieli do niego z szopką zaglądać. Ale złym człowiekiem raczej nie był. Skąpy, bo skąpy, nie powiem, ale też nigdy głodnego bez jedzenia nie zostawił.

– Bogaty?

Magda już wyczuła, że niewiele się dowie, ale nie chciała kończyć spotkania na chybcika.

– Pewnie i był, bo przecież z czegoś żył i z czegoś ludziom płacił. Zofia i Felicja nie pracowały u niego za darmo, nieprawdaż? Reszta ludzi w stajni też pewnie nie. Nie pamiętam, żeby pracował, więc musiał mieć jakieś zasoby.

– A zatrudniał tylko ludzi z okolicy? To dziwne, że nikt miejscowy nie zgłaszał zaginięć. Nie pamięta ksiądz? Nikt wtedy nie przepadł? Niedawno ktoś między wierszami dał mi do zrozumienia, że w stadninie ludzie potrafią ginąć bez śladu. Trudno tego ze sobą powiązać.

– Ach, nie wierz ludzkim językom, moje dziecko. Baby we wsi różne niestworzone rzeczy gadają. Nieraz musiałem jedną czy drugą przy spowiedzi obsztorcować, żeby plotkami i pomówieniami komu niewinnemu krzywdy nie zrobiła. Stare, a głupie – westchnął ciężko ksiądz Tadeusz. – Tak się stare cholery nienawidziły, że jedna drugiej oczy by wyłupiła. A w każdy pierwszy piątek jedna przed drugą do kościoła biegały.

Znudzony schyłkiem życia staruszek, znalazłszy słuchacza, tak się rozgadał, że Magda z trudem opanowała chęć zerknięcia na zegarek. Od kiedy zamieszkała w stadninie, zaczęła go używać na nowo. Wcześniej zdała sobie sprawę, że sprzęty podające godzinę osaczają ją ze wszystkich stron: dekodery, budziki, wskaźniki ogrzewania podłogowego, zmywarka, piekarnik, mikrofalówka, telefon, odtwarzacz mp3, komputer i deska rozdzielcza w samochodzie. W Pieńkach jednak siłą rzeczy musiała przeprosić się

z konwencjonalnym czasomierzem.

Myślami poszybowała w odległe rejony. A niech ksiądz Tadeusz gada sobie pod nosem, pomyślała pogodnie. Tak, był przemiłym i mądrym człowiekiem, ale niestety zdania wypowiedane w jednostajnym rytmie i tonie miały usypiającą moc. Magda nawet nie próbowała wyobrazić sobie niedzielnych kazań w jego wykonaniu.

Powoli szukała pretekstu, żeby się pożegnać, lecz staruszek niespodziewanie chwycił ją za rękę.

– A o tej przygłupiej dziewczynie pani słyszała?

– Nie. A powinnam? – Magda stłumiła ziewnięcie.

– To jedyna osoba, która w okolicy zaginęła bez wieści. I to chyba właśnie w tamtym czasie.

– Jak to: zaginęła? W stadninie? Kim była? – Magdę aż poderwało z miejsca.

Teraz to ona kurzowo chwyciła pomarszczoną księżą dłoń.

– No, była kiedyś we wsi taka Marcysia. Sierota. Przygłupia, ale pocziwa. Usługiwała po różnych domach. Dorodna dziewoja, na brak adoratorów narzekać nie mogła. Rzecz jasna, żaden nie chciał się żenić, tylko do stodoły na siano zaciągnąć i wychędożyć. Bo kto by tam chciał na żonę głupią Marcyskę, co ją każdy chłop we wsi obracał?

– O rany. I co? Hrabia ją też, eee...

– A tego to nie wiem. Ale do majątku też często na posługę chodziła. Czasem i kościół sprzątała. Prała i prasowała, ale głowy nie dam, moje dziecko. Pamięć już nie ta. Kiedyś to ja i Pismo Święte znałem na wrywki, i brewiarz. I to po łacinie. – Ksiądz Tadeusz dumnie wypiął zapadniętą pierś i posłał gościowi serdeczne spojrzenie wyblakłych niebieskich oczu. – No i ta dziewczucha pewnego dnia znikła. I wszelki słuch po niej zaginął.

– I nikt nic nie widział? Nie słyszał?

– Nikt. Chodziły słuchy, że zaciążyła z kimś z miasta i on ją zabrał do siebie. Ale też niektórzy gadali, że miał żonę, a Marcyskę z brzuchem zostawił. No i nieboga przez to życie sobie i dziecku odebrała.

– O kurde. Ups... – zreflektowała się Magda. – Przepraszam. Czy pamięta ksiądz, kiedy to było?

– Niezbyt dokładnie, ale na pewno już po upadku komuny. Jakbym dziewczynę pochował, tobym miał wszystko dokładnie w księgach parafialnych zapisane. Ale ja jej nie chowałem.

Magda wróciła do hotelu z mieszanymi uczuciami. Jadąc do seminarium na spotkanie z księdzem, liczyła na zdecydowanie więcej. Jeśli nawet opowieść o niedorozwiniętej umysłowo rozwiązłej sierocie jest prawdziwa i fakt jej zaginięcia również, to co taka dziewczyna mogła mieć wspólnego z hrabią?, dumiała. Pamiętała doskonale wyniosłość właściciela stadniny, który z pewnością nie spotykałby się z jakąś dziewczką z gminu. W dodatku z taką o mocno zszarganej reputacji. No i po co miałyby ją mordować?

Zbliżała się pora obiadu, ale hotel wyglądał na kompletnie wymarły. Wszyscy grzecznie siedzieli na wykładach lub pochowani po pokojach odsypiali wczorajsze hulanki. Magda zadzwoniła do męża, lecz Tomek był bardzo zajęty, więc tylko w skrócie opowiedziała, co u niej, i przeszła do sali konferencyjnej z nadzieją, że być może dowie się czegoś ciekawego. Tyle że po kwadransie zaczęła się wiercić na krześle. Może weterynarzy i inseminatorów zapładnianie krów na masową skalę pasjonowało, ale ona wynudziła się setnie. Nie wypadało wyjść, więc kryjąc ziewanie, odliczała minuty do końca. Z tłumu wyłowiła Staszka i Szymona, zlokalizowała też kilka osób, które kojarzyła z poprzedniego wieczoru. Szymon chyba poczuł na sobie jej wzrok, bo znieacka odwrócił się i z szelmowskim błyskiem w oku przesłał całusa. Nienawykła do tak bezpośrednich zachowań, speszona Magda spuściła wzrok.

– Uciekłaś mi wczoraj – wymruczał jej do ucha w przerwie na kawę.

Zaszedł od tyłu i tak ją wystraszył, że upuściła filiżankę.

– Pogięło cię? – fuknęła wściekle.

– Przepraszam, nie wiedziałem, że jesteś taka płochliwa. – Uśmiechnął się szeroko.

Jego twarz nosiła wyraźne ślady wcześniejszej libacji, nie licząc faktu, że wyglądał na podchmielonego od nowa. Nonszalancko objął Magdę w pasie i skinął na obsługę, żeby posprzątała rozlaną kawę.

– Żeby wynagrodzić ci moją niezdarność, będę ci usługiwał przez cały wieczór – oświadczył.

– Masz pecha, stary, bo ja byłem pierwszy – powiedział Staszek. – Magda ma już zajęte wszystkie tańce w karneciku. – Okręcił zręcznie znajomą wokół siebie i wyprowadził na zewnątrz. – I jak tam księżulo? – zagadnął. – Podrzucił jakiś nowy trop?

– Niby tak, ale nie ma co się nakręcać. To może być ślepa uliczka.

Po obiedzie Magda zrezygnowała z ostatniej części wykładowej sesji i poszła na spacer. Po drodze natknęła się na zakład fryzjerski i pod wpływem impulsu weszła do środka. Wizyta u fryzjera stanowiła świetną alternatywę dla bezmyślnego zabijania czasu, a przy okazji elegancki kok byłby jak znalazł na wieczorny bankiet. Magda ostatni raz była uczesana w ten sposób na własnym ślubie, więc teraz, zadowolona, przeglądała się w każdej wystawie. Twarzowa fryzura podkreśliła łagodną linię podbródka i uwypukliła lekko wystające kości policzkowe.

W hotelowym pokoju poeksperymentowała nieco z makijażem. Działając w myśl prostej zasady, że cała filozofia polega na dokładnym rozcieraniu cieni, rozświetlaczy i bronzerów, machnęła ulubione przydymione oko. Nigdy nie malowała się zbyt mocno, ale też nigdy jeszcze nie rysowała się przed nią perspektywa tak eleganckiej imprezy. Wyjęła z szafy sukienkę i dodatki, żałując odrobinę, że nie ma szpilek, ale przy swoim wzroście od biedy mogła się bez nich obejść.

W lustrze nie poznała samej siebie. A że już dawno nie wyglądała tak ładnie, korzystając z okazji, zrobiła kilka selfie i wysłała je mężowi na osłode ciężkich godzin w pracy. Biedak, pomyślała. Nie dość, że ostatnio tyrał jak szalony, to jeszcze pod nieobecność matki sam musi zadbać o własny żołądek. Tomek samodzielnie potrafił przyrządzić wyłącznie ekspresowy kisiel i kanapki. Nawet zwyczajna jajecznica przekraczała jego umiejętności. W najlepszym razie kończyło się na nieodwracalnym przypaleniu patelni.

Nie musiała długo czekać na reakcję. Tomek zadzwonił natychmiast; zachwycony stylizacją oświadczył, że nie może doczekać się spotkania.

– Ustawiłem sobie twoje zdjęcie jako tapetę w telefonie. Liczę dni i tęsknię, kochanie. A tu jeszcze prawie dwa tygodnie. Nie wiem, jak to wytrzymam.

– Zobaczysz, szybko zleci – odparła wesoło Magda i sprawdziła godzinę. – A teraz już pędzę, bo się spóźnię.

– Pędź, pędź – powiedział. – I zrób im wejście smoka.

Natychmiast po zakończeniu rozmowy rozległo się pukanie do drzwi.

Byle nie Szymon, spłoszyła się Magda.

– Chwileczkę!

Sięgnęła po kolczyki i wpięła je w uszy. Zwisające zielonkawe kryształki doskonale dopełniały całości, zwłaszcza że stanowiły jedyną ozdobę kreacji.

– Mniej znaczy więcej – mruknęła pod nosem. – Proszę! – zawołała.

Staszek wszedł i stanął jak wryty.

– Eee... O, cholera. Wyglądasz, eee...

– Coś nie tak? – zapytała Magda zalotnie.

– Przeciwnie. Fantastycznie! Teraz ten idiota już na sto procent nie da ci żyć, a ja będę miał przekichany wieczór – podsumował Staszek. – Idziemy? – Z uśmiechem podał ramię towarzyszcze.

On również wyglądał bardzo elegancko. Magda nigdy wcześniej nie widziała go w garniturze, więc zareagowała szczerymi komplementami. Jej znajomy prezentował się bez zarzutu: opalony, starannie uczesany i ogolony, mógłby rzucić na kolana niejedną dziewczynę. Gdyby nie Tomek i Staszkowa rodzina,

to kto wie?, przemknęło Magdzie przez głowę, ale odegnała tę myśl. Wystarczało jej miłe i atrakcyjne towarzystwo.

Gdy oboje w doskonałych humorach pojawili się na sali, pochwycili spojrzenia kilkunastu par oczu. Staszek kątem oka dostrzegł Szymona, który wymachując rękami, dawał im znaki. Na szczęście siedział w głębi pomieszczenia, a miejsca dla przybyłych zarezerwowali inni znajomi. Para udała, że nie widzi rozpaczliwej gestykulacji, i usiadła na ostatnich dwóch krzesłach przy elegancko nakrytym okrągłym stole, zapewniając sobie spokój przynajmniej podczas części oficjalnej.

Magda promieniała. W całym swoim życiu nie usłyszała tylu komplementów pod swoim adresem, co teraz.

– Mój Boże! Jakie cudowne szmaragdy! – zaszczębiotała z zachwytem siedząca obok kobieta.

– Jakie znowu szmaragdy?

– Te w twoich kolczykach. – Poznana na ognisku nowa znajoma przysunęła się bliżej. – Cudowne!

– Ależ to są zwykłe kryształki. Fakt, trochę stare.

– Nie ściemniaj, kochana. Mój ojciec był złotnikiem, więc co nieco się na tym znam. Całe dzieciństwo spędziłam, gapiąc mu się na ręce, więc biżuteria nie ma dla mnie tajemnic. Nie dam się oszukać. To, co masz w uszach, to szmaragdy najczystszej wody.

Magda z trudem przełknęła kęs schabu faszerowanego śliwkami i nadstawiła ucha.

– Chyba jednak się mylisz – zaprotestowała nieśmiało.

– Nie ma takiej możliwości. Na początku myślałam, że to oliwiny albo dioptry, ale ostatecznie przekonał mnie klasyczny schodkowy szlif. Piękna głębia i czystość. Oczywiście nie dam głowy, choć jestem prawie pewna, że to z kolumbijskich kopalni.

– O kurde. – Magda odruchowo dotknęła kolczyków. – Przepraszam państwa na chwilę.

Z emocji zrobiło się jej słabo, więc musiała udać się do toalety.

Szok, który dopadł ją przy stoliku, nie mijał. Zwłaszcza że w domu miała więcej precjozów. Dużo więcej. Na biżuterii nie znała się nic a nic, a kolczyki na bankiet wybrała, kierując się wyłącznie ich urodą, przekonana, że to tanie kryształki. Nie przypuszczała, że mogą być cenne. Bo niby skąd takie kosztowności u babci Feli, osoby skromnej i niezbyt majątnej?

Magda pamiętała z rodzinnych opowieści, że dziadek, umierając, pozostawił babcię po uszy w długach, z którymi ta borykała się później przez wiele lat. A wystarczyło sprzedać cokolwiek ze szkatułki.

Ech, jakieś dziwne to wszystko, pomyślała, potrzęsając głową przed lustrem. Kolczyki zakołysały się wdzięcznie. Ostatnio co rusz spotykają mnie jakieś niespodzianki, westchnęła w duchu.

Dawno temu babcia Fela często pokazywała wnuczkom stare zdjęcia z młodości, pocztówki, porcelanowe figurki, ręcznie dziergane koronkowe serwetki, stanowiące kiedyś część posagu prababci, ale biżuterią nie chwaliła się nigdy. Magda z pewnością zapamiętałaby drogocenne cacka. No i jeszcze ten brak wzmianki o nich w testamencie...

Chuchnęła na lustro i palcem rozmazała wilgotną mgiełkę. W jej głowie trwała gonitwa myśli. Co zrobić? Co to w ogóle za historia? A może babcia nie wiedziała, co ma? Choć przecież gdyby wiedziała, stadnina nie znalazłaby się na skraju upadku. Reszta zawartości szkatułki to zapewne też nie tanie błyskotki, tymczasem ja zostawiłam ją na łóżku, przeraziła się Magda. I to chyba nawet otwartą!

Jak strzała wypruła z toalety do swojego pokoju. Musiała jak najszybciej skontaktować się z Alicją i poprosić, by tamta schowała pudełeczko, ale telefon w Pieńkach nie odpowiadał.

Jak zwykle, pokiwała głową z ubolewaniem. Spróbowała jeszcze kilka razy, ale bez skutku.

Trudno, wzruszyła ramionami. Jeżeli do tej pory nikt się nie połakomił, jest duża szansa, że biżuteria dotrwa nietknięta do mojego powrotu. Może to nawet i lepiej, że nikt poza mną nie będzie miał pojęcia o potencjalnej wartości błyskotek.

Magda patyczkiem kosmetycznym wytarła rozmazany cień pod dolną powieką, poprawiła szminkę na ustach; używała pomadki tak rzadko, że wystarczyła przystawka, aby zjeść wraz z nią cały kolor. Poprawiła włosy, zamknęła za sobą drzwi i przy windzie natknęła się na Szymona.

– Chyba byłem ostatnio zbyt namolny – powiedział. – Przepraszam. – Spuścił głowę w udawanej skruszce.

Ale pozer, stwierdziła w duchu Magda, niemniej dla świętego spokoju skinęła wybacząco głową. Teraz najbardziej pragnęła z powrotem znaleźć się w domu, ale przecież bankiet trwał w najlepsze i szkoda było zmarnować okazję zabłyśnięcia w towarzystwie. Tak, Staszek i jego znajomi gwarantowali zabawę na przyzwoitym poziomie, ale Szymon był pod tym względem niepewny. Już przy obiedzie widać było, że jest podпиты, choć w międzyczasie zdążył się nieco zregenerować, bo wyglądał i zachowywał się całkiem normalnie. Elegancko doprowadził Magdę do stolika, choć przy okazji wymusił na niej obietnicę wspólnego drinka przy barze po kolacji.

Staszek obrzucił oboje zdziwionym spojrzeniem, ale powstrzymał się od komentarza.

– Ominęła cię zupa rybna – powiedział. – Jakby co, to zjadłem twoją.

– Poważnie? To świetnie. Nie cierpię zupy rybnej. A co na drugie?

– De volaille i kładzione kluseczki ze szpinakiem. Nasza specjalność. Voilà! – wkroczył do dyskusji kelner, podając Magdzie przepisowo, z prawej strony, elegancko udekorowany talerz.

Z apetytem łyknęła na smakowicie przyrumienioną panierkę. A następnie spałaszowała zawartość talerza i rozejrzała się za czymś do picia.

– Wino? – zaproponował Staszek.

– Dziękuję. Chętnie.

Tymczasem długowłosey didżej odpalił miksery i wzmacniacze, a z głośników popłynęły znane taneczne standardy. Przygaszono światła, w części przeznaczony na tańce rozbłysły kolorowe refleksy i błękitne laserowe promienie. Pod sufitem zawirowała lustrzana kula, na parkiecie pojawiły się pierwsze pary. Magda nie potrafiła tańczyć, ale po kilku kieliszkach wina nabrała śmiałości. Pamiętała niedawne nauki Adama, więc zerknęła na tancerzy zazdrośnie. Aż kątem oka zauważyła Szymona, teraz już wyraźnie podchmielonego. Ewidentnie chwiejnym krokiem żeglował w jej stronę.

– Staszek, idziemy! – zarządziła teatralnym szeptem Magda.

Kurczowo chwyciła towarzysza za rękę.

Na szczęście od razu załapał, o co chodzi, i poprowadził ją na parkiet.

Tłum tańczących wyraźnie zgęstniał, więc Magda zapomniała o braku umiejętności i jak wszyscy podrygiwała w rytm muzyki, na wszelki wypadek nie wypuszczając dłoni partnera. Przy pierwszym wolnym utworze Szymon oczywiście chciał z nią zatańczyć, ale nie w ciemny bity Staszek szybko zamknął ją w objęciach i nie wypuścił aż do końca piosenki. A ona ufnie wtuliła twarz w jego ramię, uważając, by przy okazji nie upaprać mu garniturpu pudrem.

Przez dwie godziny zręcznie lawirowali pomiędzy kolejnymi posiłkami, wypitymi kolejkami alkoholu, skrzętnie odnotowując każde wyjście Szymona na papierosa.

Zmęczeni wrócili do stolika. Nagle Magda wyraźnie pobladła.

– Dobrze się czujesz? – czujnie zapytał Staszek.

– Nie bardzo. Chodźmy na zewnątrz – poprosiła. – Muszę się przejść.

Wieczór był ciepły, więc spacerowali prawie pół godziny. Magda w końcu ochłonęła na tyle, że mogła wrócić na salę.

– Jesteś pewna, że już okej? – Staszek nie ustępował. – Może jednak odprowadzę cię do pokoju?

– Nie, nie. Wszystko w porządku. Wiesz, za dużo tego wszystkiego jak na jeden dzień. Spotkanie, fryzjer, towarzystwo, jedzenie, wino, tańce. I jeszcze cały ten Szymon do kompletu. Niemało jak dla

jednej skromnej dziewczyny ze stajni. W życiu tak szampańsko się nie bawiłam. Nawet na własnym weselu. Wtedy byłam tak zdenerwowana, że niewiele pamiętam – roześmiała się Magda, ponownie zerkając w stronę parkietu.

– Skromnej? – Staszek posłał jej rozbawione spojrzenie. – Chyba żartujesz? Wyglądasz jak milion dolarów. Chyba nie ma tutaj nikogo, kto by mi ciebie nie zazdrościł.

– Ja? Ty chyba żartujesz?

– Popatrz choćby na Szymona. Reszta chłopaków jakoś trzyma fason, bo myśli, że jesteśmy razem, ale on to się zajął na amen. Żebyś wiedziała, co wczoraj wyczyniał, żeby ustalić numer twojego pokoju. W końcu wysłałem go pod drzwi starej prukwy od świń, a on w nocy wparował do niej w pełnej gotowości bojowej. Myślał, że idzie do ciebie. No, wrzask był na cały hotel. – Staszek aż zaniósł się śmiechem. – Głupia baba. Ja tam na jej miejscu bym skorzystał z takiego aryjskiego ciacha.

– Mówisz poważnie?

Magda nigdy nie zwracała uwagi na wrażenie, jakie wywiera na mężczyznach. Słowa Staszka były dla niej całkowitym zaskoczeniem.

– Jak najbardziej. Wrócimy do tematu jutro w drodze, ale teraz to bym jeszcze zatańczył.

Magda dostała skrzydeł i ochoczo ruszyła na parkiet. Niestety, gdy jej partner na chwilę poszedł do toalety, wpadła w sprytnie zastawione przez Szymona sidła. Casanova zaczął się za filarem. Sączył drinka za drinkiem i cierpliwie czekał na okazję. Teraz wyrósł jak spod ziemi i porwał zdobycz do tańca.

W sumie tańczył nieźle, ale przytulał się zdecydowanie za mocno i nieco za nisko zsuwały mu się dłonie. Gdy dodało się do tego kolano, które niby mimochodem próbowało wcisnąć się pomiędzy nogi Magdy, ona uznała, że ma dosyć. Tym razem bez wyrzutów sumienia wykpiła się złym samopoczuciem i mimo protestów partnera zeszła z parkietu.

– I jak? – Staszek obrzucił ją czujnym spojrzeniem.

– W porządku. Odprowadź mnie do pokoju. Proszę.

Bez słowa zostawił na talerzu niedojedzonego strogonowa.

Wymęczona Magda oparła w windzie głowę na jego ramieniu, a on przygarnął ją po przyjacielsku.

Byli już prawie pod drzwiami, gdy zza rogu korytarza wytoczył się Szymon. Kompletnie zalany i niedopuszczający do zapijaczonego umysłu, że jego towarzystwo, a już tym bardziej zaloty, mogło komuś nie przypaść do gustu.

– Dobra, doktorku. – Zastąpił im drogę. – Możesz już wracać, bo ta pani idzie ze mną.

– Nigdzie nie idzie. – Staszek gestem nakazał Magdzie milczenie. – A jeśli już, to nie z tobą, a ze mną. Zrozumiano?

– Akurat! Mądrała się znalazł. Kurde, pieprzony frajer ze wsi. He, he – zarechotał Szymon.

Popchnął Staszka, a ten, zaskoczony atakiem, zatoczył się na ścianę. Magda odskoczyła w bok.

– Chodź! – Szymon chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

– Zostaw mnie! – Zaparła się na pokrytej wykładziną podłodze.

– Nie chrzań, złotko! Od wczoraj widzę, że masz na mnie ochotę, tylko ten dupek nam przeszkadza!

– Zwariowałeś?! – Magda ponowiła próbę wyrwania dłoni z mocnego uścisku mężczyzny. Wiedziała już, że po dobroci się nie da.

– Zostaw ją, ty głupi, pijany skurwysynu! – oprzytomniał Staszek.

Podskoczył i założył natrętowi obezwładniający chwyt.

– Pomocy! – wrzasnęła Magda rozdzierająco.

W dwóch pokojach uchyliły się drzwi, ale niemal natychmiast zamknęły się z powrotem.

– Szymon, czy ty zwariowałeś? Co ci odbiło? Ja jestem mężatką – próbowała tłumaczyć Magda, ale bez powodzenia.

Pijany okazał się bardziej przebiegły, niż spodziewali się oboje. Niby odpuścił, ale gdy tylko wyczuł, że Staszek odrobinę rozluźnił chwyt, z całej siły odrzucił głowę do tyłu. Rozległo się głucho łupnięcie, które Magda usłyszała, zanim Staszek osunął się na podłogę. Oburącz trzymał się za twarz, spomiędzy jego palców ciekła krew. Szymon, nadzwyczaj zwinnie jak na tak zwalistego i niezbyt przytomnego osiłka, podskoczył do niego od tyłu, ale Magda była szybsza.

– Tylko go dotknij, a pokażę ci, gdzie twoje miejsce, padlino – wycedziła, kierując na napastnika wylot hotelowej gaśnicy. – Liczę do trzech. Jeśli go dotkniesz, przestanę liczyć.

Szymon wyraźnie stracił rezon. Wciąż dyszał, lecz pozbawiony pewności, że spuszczenie łomotu koledze to najlepsze rozwiązanie.

– Wypieprzaj stąd! – warknęła Magda. Kątem oka zerknęła na słaniającego się na nogach Staszka. – I lepiej się pośpiesz, zanim puszczą mi nerwy.

– Zamknij się, ty głupia prowincjonalna szmato!

Padło o jedno zdanie za dużo.

– Właśnie puściły – oznajmiła Magda pogodnie.

Spokojnym, płynnym ruchem odbiła wajchę, odbezpieczyła gaśnicę i z uśmiechem na ustach skierowała strumień piany na zaskoczonego Szymona.

Zza rogu korytarza wybiegli ochroniarze i powalili pokrytego pianą agresora na plecy.

Magda odrzuciła prowizoryczny oręż i podbiegła do Staszka.

– Pokaż to! Cholera jasna... – mruknęła, zobaczywszy, w jakim stanie jest nos. – Cholera, pięknie ci przycedził! Zwariował chyba. Co za idiota.

Rozdział 17

Chwilę później usadziła Staszka w swoim pokoju, włożyła mu w dłoń mokry ręcznik, a sama pobiegła na dół po lód. Na nieszczęście lód właśnie się skończył, a kostkarka jeszcze nie zdążyła z nową partią. Widok miny szefa baru, gdy Magda zanurkowała w zamrażarce i wydobywszy z jej dna pokrytą szronem butelkę johnny'ego walkera, uśmiechnęła się szeroko, miał na długo pozostać w jej pamięci.

– Oddam jutro, ale na razie się śpieszę! A jak nie oddam, proszę dopisać to do mojego rachunku – paplała, strzelając słowami jak karabin maszynowy.

Nie czekała na windę, tylko schodami pognała na górę.

Ochrona najwyraźniej spacyfikowała Szymona na dobre, bo pomijając odległe odgłosy dochodzące z sali bankietowej, wszędzie panowała cisza.

– Masz i przyłóż! – Podała Staszce owiniętą cienutką ściereczką butelkę.

– Dzięki. Co za bydlę! Przepraszam.

– Daj spokój. Trzymaj to, bo zimne. Inaczej kinol ci spuchnie.

– Spuchnie tak czy siak. Jutro siniak zejdzie pod oczy, a pojutrze będę mógł straszyć niegrzeczne dzieci – żartował Staszek mimo bólu.

– Może nie będzie tak źle?

– Będzie. – Odsunął zimne zawiniątko od twarzy. Otworzył butelkę i pociągnął z gwinta. – Chcesz? – zaproponował.

– Dobra, daj. – Magda upiła mały łyk i otrząsnęła się z niesmakiem.

Na szczęście znalazła w minibarku lodowatą coca-colę, więc pomieszała ją z whisky. Tak, to już nadaje się do wypicia, stwierdziła. Smakowało nawet, nawet. Po kwadransie zeszła do barmana po lód w kostkach, więc tym razem wparowała do pokoju z miną zdobywcy. Wrzuciła kilka kostek do drinków, a resztę zawinęła w szmatkę i ostrożnie przyłożyła do Staszkowego nosa.

On przytrzymał jej dłoń i delikatnie ucałował jej wnętrze. Magda zadrżała.

– Staszek, co...

– Ciii. Nic nie mów – wyszeptał i objął Magdę w talii. Jak dziecko przytulił głowę do jej brzucha i westchnął głęboko. – Nawet nie wiesz, jaka jesteś wspaniała – powiedział.

Wstał i spojrzał jej w oczy.

– Ale...

– Bądź cicho – upomniał ponownie. Tym razem objął ją i przycisnął jeszcze mocniej. – Kocham cię tak, jak jeszcze nigdy nikt cię nie kochał. Odkąd wyjechałaś kilkanaście lat temu, nie było dnia, żebym o tobie nie myślał. Żebym o tobie nie marzył.

– Przecież masz żonę, dziecko.

Magda mimo wysiłków czuła, że za chwilę się podda. W objęciach Staszka było jej słodko i dobrze. Bezwiednie zanurzyła palce w jego zmierzwionej ciemnej czuprynie. Tak bardzo chciała, żeby ta chwila trwała w nieskończoność.

– Przecież minęło tyle lat.

– I co z tego? Myślałem, że to pomoże. Ela jest wspaniała, świata nie widzę poza moim synem, ale też

nie pamiętam dnia, żebym nie zasnął z twoim obrazem pod powiekami. Wiem, że to chore. Boże, tyle lat! To się nie mieści w głowie. – Przerwał i pocałował Magdę w usta.

Z rozkoszą oddała pocałunek, lecz zreflektowała się natychmiast.

– Przestań. Nie możemy – wykrztusiła przejęta.

Wzrok Staszka błędził pod sufitem.

Magda dotknęła palcem męskiego policzka. Sama nie wiedziała, co skłoniło ją, żeby unieść rękę i pogładzić Staszka po twarzy. Podniosła oczy – spojrzenia obojga spotkały się, a pod Magdą ugięły się nogi.

Pocałunek był ciepły, miękki, pełen pasji. Wyrzuty sumienia zostały zepchnięte w najciemniejszy kąt. Chwilę trwało, zanim Magda oprzytomniała ponownie.

– Staszek... – szepnęła i odsunęła go lekko. Wiedziała, że jeszcze chwila, a sprawy wymkną się spod kontroli. Na to nie mogła pozwolić. – Musimy przestać.

– Cholera, ja nie mogę. – Staszek potrząsnął głową, jakby odganiał z niej coś, czego nie chciał tam mieć.

Z trudem zapanował nad sobą i ostatkiem woli zrobił krok w tył.

– To wszystko przez stres. Idź już! Zobaczmy się rano – ponagliła i siląc się na przyjacielski gest, pocałowała w policzek.

Staszek ociągał się, ale pozwolił wyprowadzić się na korytarz. Na pożegnanie dostał napoczętą butelkę whisky. Magda odprowadziła go niemal pod same drzwi pokoju, po czym zawinęła się na pięcie i niechętnie zawróciła do siebie. Chociaż bardzo chciała zostać. Jeszcze nigdy żadna decyzja nie kosztowała jej tak wiele. Teraz najbardziej w świecie pragnęła zatonać w silnych ramionach Staszka, z zapamiętaniem oddawać jego gorące pocałunki, lecz świadoma, jak niewiele dzieliło ją od życiowej głupoty, użyła całej siły woli, żeby nie obejrzeć się za siebie. Gdyby to zrobiła, przepadłaby z kretesem. A przecież nie mogła.

Kurczę, co we mnie wstąpiło?, pomyślała i z impetem opadła na fotel.

Ponieważ odechciało jej się spać, siorbnęła ledwie napoczętego drinka i włączyła telewizor. Zrzuciła buty i podwinęła nogi pod siebie. Cały czas brzmiały jej w głowie słowa Staszka. Za nic nie mogła się skupić, więc przełączyła się z filmu na kanał muzyczny.

Nie potrafiła pojąć, co się właściwie stało. Przecież była szczęśliwą mężatką. Przecież kochała Tomka nad życie i doskonale wiedziała, że nie wolno jej burzyć ich świata. Tak samo jak wiedziała, że i Staszek, mimo tego, co mówił, odnalazł rodzinne szczęście. Wiedziała, że nie ma prawa niczego psuć, ani u siebie, ani u niego. Wiedziała, rozumiała. Tyle że nie miała pojęcia, że to wszystko jest tak trudne. Nie dość, że musiała powstrzymywać własne zapędy, to jeszcze musiała przypilnować Staszka i nie pozwolić mu na wszystko to, na co w innych okolicznościach bardzo chciałaby przystać.

Reszta wieczoru upłynęła jej na podobnych rozważaniach. Aż wreszcie Magda osuszyła szklanekę i jak nieżywa padła do łóżka. Nawet nie zauważyła, kiedy usnęła.

Poranka nie mogła zaliczyć do łatwych. Niewyspana, najpierw chciała wyrzucić telefon przez okno, później zamordować recepcjonistę, który zadzwonił z pobudką. Koniec końców skrupiło się na skacowanym Staszku, który na dokładkę wyglądał jak zdjęty z krzyża. Zgodnie z przewidywaniami, zasinienie ze stłuczonego nosa równomiernie rozlało się pod oczy.

– O Matko Boska! – Magda nie potrafiła powstrzymać okrzyku.

– No. Ja właśnie w tej sprawie.

– Wyglądasz strasznie.

– A ty niby lepiej? – zakpił.

Magda dopiero co wstała z łóżka. Jej włosy wyglądały tak, jakby przed chwilą wsadziła palce do

kontakty. Niezbyt dokładnie zmyty makijaż sprawiał, iż odnosiło się wrażenie, że również i ona dzień wcześniej oberwała w nos.

– Odczep się! – warknęła.

– Jasne. Nie ma to jak przyjść z rana po pomoc – westchnął teatralnie Staszek.

– A co?

– A nie widzisz? Masz może jakiś puder? Przecież nie mogę tak iść na śniadanie.

– Mam. – Magda wreszcie domyśliła się, o co chodzi. – Ale musisz poczekać, dopóki czegoś nie zrobię ze sobą. Która godzina?

– Ósma trzydzieści. Zamówić kawę?

– Nie trzeba. Mamy swoją. Nastaw wodę w czajniku i zaparz, a ja tymczasem pozbieram się i pomyślę, jak ci pomóc – odparła.

Wyszła spod prysznicza po dziesięciu minutach, odświeżona, i zabrała się do makijażu.

Staszek ciekawie przyglądał się kosmetykom, które właśnie wylądowały na stoliku. Ponieważ jego żona nie malowała się prawie nigdy, miał okazję nadrobić zaległości w tym względzie. Magda wyjęła na blat kilkanaście rodzajów próbek pudrów i podkładów – fluidy, pianki, musy w różnych odcieniach dawały nadzieję, że uda się zamaskować krwawofioletowe sińce. Nie była zawodową charakteryzatorką, ale metodą prób i błędów dobrała odpowiedni odcień. Pomna wydarzeń z poprzedniego wieczoru, jak najszybciej pragnęła pozbyć się gościa z pokoju. Niestety, proces tuszowania obrażeń trochę potrwał. Konieczność dotykania twarzy Staszka, jego bliskość i wyraźne ciepło jego ciała sprawiały, że przeżywała katusze. Na szczęście pacjent miał zamknięte oczy i nie próbował drgnąć. Od dotknięcia jego ust Magda powstrzymała się ostatecznie.

– Gotowe – powiedziała zadowolona.

– Nie za mało tego mazidła? – zaniepokoił się, przeglądając w lusterku.

– Nie. Jeśli nałożę więcej, będziesz wyglądał jak emerytowany transwestyta. A tak wystarczą okulary przeciwsłoneczne i nikt się nie połapie.

– Magda... – zaczął, ale nie pozwoliła mu dokończyć.

Spodziewała się, co może usłyszeć, a wcale tego nie pragnęła. Nieważne, czy chciał ją przeprosić, czy poprosić o więcej. Wolała odrobinę niepewności, która dawała nadzieję na więcej niż jeden – ze wszech miar właściwy – scenariusz. W tej chwili była ona lepsza niż jakiegokolwiek inne status quo.

– Idź już na śniadanie. Teraz moja kolej na upiększanie. – Uśmiechnęła się z przymusem, siląc się na swobodny ton. – Koniecznie coś zjedz.

– Dobrze. A ty?

– Spokojnie. Zaraz coś ze sobą zrobię, spakuję się i jestem. Zajmij mi miejsce.

Niemal siłą wystawiła Staszka na korytarz i zasiadła przed toaletką.

– Uff! – sapnęła.

To straszne, pomyślała. To straszne, że człowiekowi czegoś nie wolno w sytuacji, gdy bardzo tego czegoś pragnie i w zamian oddałby wiele. Czasem nawet więcej, niż ma, pokiwała głową.

Staszek wybrał strategiczne miejsce na zewnętrznym tarasie, gdzie nikogo nie dziwiło, że zasiadł do stołu w ciemnych okularach. Dzień zapowiadał się upalnie i nawet rano ciężko było oddychać. Zanim przysłała Magda, zdążył już osuszyć cały dzbanek wody z cytryną i właśnie zabierał się do następnego. Połknął środek przeciwbólowy z podręcznej weterynaryjnej apteczki, więc przestała go boleć głowa, ale kac suszył jak cholera. Wiedział, że za kierownicą nic dzisiaj z niego nie będzie.

– Lepiej, jeśli to ty poprowadzisz – powiedział.

– Jesteś pewien? – Magda domyśliła się, w czym rzecz, ale perspektywa długiej trasy przestraszyła ją nieco.

– Niestety, nie masz wyboru. Chyba że poczekamy do popołudnia, a i też bez gwarancji – mruknął.

– Nie no, bez sensu. Dam radę.

– To idę po bagaże. Jesteś spakowana?

Magda skinęła głową i podała mu klucz do swojego pokoju.

W restauracji było całkiem pusto. Większość gości chyba jeszcze spała po całonocnej balandze, a ci, którzy wstali wcześniej, zdążyli już zjeść. Magda z apetytem spałaszowała jajecznicę na bekonie i powędrowała po dokładkę. Rankiem zazwyczaj nie jadała i pierwszy głód zaczynała odczuwać dopiero około południa, ale teraz była wściekle głodna. Na wszelki wypadek nałożyła sobie więcej.

– No proszę, proszę. Jaki apetyt – usłyszała tuż nad uchem.

Drgnęła przestraszona.

– Odczep się ode mnie – prychnęła.

– Coś ty taka nerwowa? – Szymon nie zamierzał odpuścić. – Kochaś cię wkurzył? Nie spisał się w nocy, co?

– Spadaj!

– Aleś bojowa. No proszę, proszę.

Rozczochrany i nieogolony podrywacz wyglądał okropnie: wymięta koszula z poprzedniego dnia, mocno przekrwione oczy i nieświeży oddech. Całość była wyjątkowo odpychająca. No i to pogardliwe spojrzenie. Magda, pewna, że Szymon nie da jej spokoju, zrezygnowała z dokładki, wyminęła go bez słowa i poszła na parking.

Staszek właśnie pakował torby do bagażnika.

– Napijemy się kawy? – zapytał z nadzieją, że złapie jeszcze chwilkę oddechu przed wyjazdem.

– Nie, lepiej nie. W restauracji grasuje Szymon. Chyba nie zauważył, że wczorajsza impreza już dawno się skończyła – powiedziała Magda ze śmiechem.

Wprawdzie Staszek miał wielką ochotę na zemstę, ale jego towarzyszką siedziała już za kierownicą. Zadowolona, że po wyprawie do księdza Tadeusza pozostały wygodne ustawienia lusterek i fotela, ponagliła.

– Wsiadaj. Kawę wypijemy po drodze – zarządziła, choć i ona miała ogromną ochotę utrzyć nosa natrętnemu blond chamowi.

I tak będzie miał się z pyszna, gdy ochrona uruchomi procedury, pomyślała i zrezygnowała z odwetu. Pewnie skończy się zgłoszeniem napaści na policji. A to z kolei oznacza zeznania, dmuchanie w alkomat i tak dalej. Szkoda mojego czasu.

Jak najszybciej chciała być w domu, bo w nadchodzącym tygodniu planowała odwiedzić położoną pod Olsztynem hodowlę strusi. Temat intrygował ją nieustannie, a że uciulała już skromne fundusze na adaptację na potrzeby ptaków starej siodlarni, chciała wystartować z biznesem jak najszybciej. O strusiach wiedziała już całkiem sporo, niemniej jednak wolała na własne oczy zobaczyć, jak opieka nad nimi wygląda w praktyce. A w podolsztyńskiej hodowli nie dość, że właściciele oferowali na sprzedaż ptaki z doskonałym materiałem genetycznym, to jeszcze zgodzili się podzielić z Magdą całą swoją wiedzę. Głos właścicielki brzmiał w słuchawce miło i serdecznie.

Jak na razie nie było szans na przyjazd Tomka, który korzystając z nieobecności brylującej w sanatorium matki, po uszy zakopał się w aptecznych sprawozdaniach. Do tego pojawiły się jakieś nowe okoliczności związane z niedawnym włamaniem i policja wznowiła śledztwo. Nawet przez telefon czujne ucho Magdy bezbłędnie wyłapywało zmęczenie i znużenie męża, więc niepotrzebne jej były zapewnienia, że on ma już dosyć i tylko marzy o tym, by rzucić w diabły trójmiejskie życie i przenieść się na spokojną prowincję. Magda nie posiadała się z radości, gdy oznajmił, że znalazł kupca na mieszkanie, a Leontyna wymarzoną alternatywę dla samotności na stare lata. Tomek nie znał jeszcze szczegółów, ale

ponoć w sanatorium poznała pana, który namówił ją, by zamieszkała w prywatnym ośrodku dla seniorów. Teściowa poważnie rozważała tę kwestię. Strach było cieszyć się na zapas, żeby nie zapeszyć, ale Magda nabrała ostrożnej pewności, że ich życie zacznie się układać. Jeśli tylko nie wydarzy się nic niespodziewanego, jej rodzina niedługo wyjdzie na prostą. Jeszcze tylko kilka niewielkich zakrętów i wreszcie powinno być dobrze, pomyślała.

Staszek, korzystając z okazji, że jest wieziony, zdrzemnął się na siedzeniu dla pasażera. Na nierównościach i wybojach jezdni jego głowa podskakiwała bezwładnie. Magda starała się jechać płynnie i delikatnie zmieniała biegi, ale remontowany odcinek drogi wykluczał komfort. Mimo jej wysiłków Staszek się obudził.

– Ale ze mnie towarzysz podróży – zażartował. – Gdzie jesteśmy?

– Mijamy Warszawę. Trochę pospałeś.

– Nieźle mi poszło – roześmiał się i zaproponował postój w najbliższym McDonaldzie. – Wiesz, przepraszam cię za wczoraj – dodał. – Niepotrzebnie się wygłupiłem. Naprawdę nie wiem, co mi odbiło.

– Wyraźnie speszony opuścił głowę i upił nieco kawy z papierowego kubka.

– Nie szkodzi. Wybaczam. – Magda okazała wspaniałomyślność. – Postawisz mi nuggetsy i będziemy kwita.

– Załatwione. Ale chciałbym, żebyś wiedziała, że wcale nie kłamałem.

– Żartujesz?

Niewiele brakowało, żeby zakrztusiła się kawą. Mimo wszystko sądziła, że to tylko takie męskie gadanie po nocy. Klasyczny zabieg wstawionego faceta, ukierunkowany na zaciągnięcie kobiety do łóżka.

– Nie. Ani trochę. Normalnie, na trzeźwo, nie powiedziałbym ci tego nigdy w życiu. Zabrakłoby mi odwagi. Nie masz pojęcia, jak mi ulżyło, że nareszcie wiesz – westchnął.

Bezradnie opuścił ramiona.

– Cieszę się, że ci ulżyło, ale czy pomyślałeś o mnie? – zirytowała się Magda. – Co ja teraz czuję i jak mi ciężko z tą wiedzą? – Dobry nastrój ulotnił się w jednej chwili. – Czy pomyślałeś choć przez chwilę, co będę czuła, gdy w końcu poznam twoją żonę i dziecko? Stanie się tak prędzej czy później, bo na naszym zadupiu wszyscy się znają. Czy nie przyszło ci do głowy, że kiedyś będę musiała spojrzeć jej w oczy? Już teraz mam moralnego kaca, choć przecież nie zrobiłam niczego złego. I zrobić nie zamierzam.

– Szczerze? – zapytał Staszek. – Nie. Zupełnie nie pomyślałem, ale cóż. Takie życie. W miłości i na wojnie wszystkie chwytaki dozwolone.

– Nie sądziłam, że jesteś takim egoistą – burknęła chwilę później Magda znad obiecanych nuggetsów.

Smakowały jak styropian pomieszany ze zmieloną tekturą, więc z obrzydzeniem odsunęła od siebie plastikową tackę i poszła po lody, licząc, że karmelowa polewa choć odrobinę poprawi jej humor.

– Po co żeniłeś się z Elą, skoro jej nie kochasz? – zapytała po powrocie.

– Z kimś przecież musiałem – padła iście męska odpowiedź. – A poza tym ja ją kocham.

– A ja nic już z tego nie rozumiem. – Magda potrząsnęła głową.

– Jak to: nie rozumiesz? Po prostu kocham was obie. Każdą na swój sposób. Przecież to proste.

– Nie dla mnie.

Magda zamilkła i wbiła wzrok w drogę, przy okazji naprędce licząc, ile jeszcze kilometrów dzieli ich od Pieniek.

Najbardziej na świecie chciała zostać sama.

Rozdział 18

Jezus Maria! Jak dobrze, że jesteś!

Z domu wybiegła Alicja, umorusana od stóp do głów. Krzywiła twarz z bólu i kurczowo trzymała się za przedramię.

– Co się stało?

– Jedziemy na pogotowie – oznajmiła, pakując się na przednie siedzenie fiesty. – Chyba złamałam nadgarstek.

– O matko! Już.

Podczas pośpiesznego wycofywania z podjazdu Magda lekko przestawiła zderzakiem psią budę i z piskiem opon ruszyła w stronę Tczewa. Uszkodzenia obejrzą później, postanowiła.

– Amor mnie zrzucił – stęknęła obolała Alicja. – Kurde, jak boli!

– Ciebie zrzucił?

– Idiota zobaczył Mućkę za płotem i chyba mu się spodobała. No i tak wierzgnął, że wyleciałam jak z procy.

– Mućkę? Przecież to inny gatunek – zdziwiła się Magda.

– Nie szkodzi. Ogiery tak mają. Jak nie ma na podorędziu chętniej kobyły, to dobra i krowa sąsiada.

– O kurczę, nie wiedziałam. A jakby przyszło co do czego, to on by tę krowę, eee... No wiesz... tego?

No i okazuje się, że człowiek uczy się przez całe życie, przyznała w duchu Magda. Wydawało się jej, że dużo już wie o koniach, tymczasem ta wiedza ograniczała się do podstawowych wiadomości niezbędnych przeciętnemu jeźdźcowi.

– No pewnie, że tego – odpowiedziała Alicja. – A myślisz, że skąd się bierze materiał do inseminacji? W większych stajniach są specjalne fantomy dla ogierów. A ogier to ogier, wszystko mu jedno. W razie potrzeby sztuczna kobyła też się nada.

Na widok miny szefowej zapomniała na chwilę o bólu i parsknęła głośnym śmiechem.

Na szczęście zarówno obrażenia Alicji, jak i uszkodzenia auta nie były poważne. Kontuzja okazała się zwichnięciem, a zderzak zaliczył jedynie powierzchowne otarcie. W pierwszym przypadku wystarczyła zdejmowana orteza i temblak, a na fiestę Magda machnęła ręką. Ważne, że Alicji nie zapakowano w gips, pomyślała, choć teraz i tak trzeba będzie pogonić Zofię do pracy. Na szczęście ostatnio stara instruktorka czuła się lepiej, a jej pomoc przy koniach była nieoceniona.

Na strusią fermę pojedę pod koniec tygodnia, postanowiła. I do Gdańska, do Jacka, byłego pracownika Nestora.

Ciekawość, co chłopak miał na myśli podczas ich rozmowy, nie dawała Magdzie spokoju. Niewątpliwie wzmianka o ludziach, którzy w stadninie przepadli bez wieści, musiała mieć coś wspólnego z odkryciem szczątków nieszczęsnych kobiet. Całkiem przytomne zeznania Zofii wniosły do sprawy niewiele nowego, poza tym, że śledczy dowiedzieli się, że hrabia istotnie miał szmergla i niekontrolowane ataki furii. Wszystko zmierzało do zamknięcia śledztwa. Ze względu na odległą w czasie śmierć arystokraty policja przestała interesować się sprawą, ale Magda pragnęła poznać prawdę. Wątek upośledzonej dziewczyny, która przepadła bez wieści, intrygował, a rozmowa z Jackiem

mogła zasugerować nowy trop.

Minęło kilka pracowitych dni, lecz wreszcie w piątkowe przedpołudnie Magda wyruszyła w stronę Olsztyna, a po dwóch godzinach zaparkowała przed największą strusiarnią w regionie. Przez całą drogę rozmyślała o różnościach, lecz teraz wystarczyła sekunda, by zapomnieć, że ma na głowie przeprowadzkę męża, remont, kontuzjowaną pomocnicę, teściową, wielbiciela, stadninę oraz cały związek z nią młyn. Widok kilkunastu beżowobrazowych ptaków przechadzających się godnie po wybiegu odebrał jej mowę. Choć wcale nie były tak duże i okazałe, jak wydawało się Magdzie wcześniej.

– Och, dzień dobry, kochanie! – powitała ją przed domem pięćdziesięcioparoletnia pulchna kobieta.

Bez uprzedzenia rzuciła się zaskoczonemu gościowi na szyję.

– To ja. Ula. A ty jesteś Magda, prawda?

– Tak, witaj. Ja właśnie...

Magda chciała coś powiedzieć, ale nowa znajoma nie pozwoliła jej dojść do słowa. Pogoniła nastoletniego wnuka, żeby zabrał z auta bagaże, i od razu zaciągnęła Magdę do zagrody dla strusi.

W internecie stało jak byk o specjalnych wymaganiach ciepłolubnych ptaszysk, tymczasem Ula zaprowadziła Magdę do... zwykłej stajni. A nawet gorszej niż zwykła. W Pieńkach w identycznych boksach trzymano kozy.

– To wszystko?

– Tak. A co?

– Myślałam, że pomieszczenia muszą być ogrzewane.

– No coś ty? A po co? Ogrzewanie wcale nie jest potrzebne. Strusie spokojnie znoszą temperatury do minus trzydziestu stopni.

– Jakim cudem?

– No fakt, niby pochodzą z ciepłych krajów, ale tam, gdzie żyją, dobową amplitudę temperatur wynosi kilkadziesiąt stopni. Polski klimat to dla nich pikus. Gdy w zeszłym roku spadł ponad metr śniegu, bardzo im się podobało. Brodziły zadowolone. Wyglądały na śniegu jak kaczkę – roześmiała się Ula. – Chodź do domu, pokażę ci zdjęcia.

– Coś takiego – wymamrotała Magda pod nosem. – Naprawdę nie potrzebują ogrzewania?

– Naprawdę. Trzeba tylko uważać na przeciągi. Zero przeciągów.

– Nawet maluchy?

– Tak. Fakt, najtrudniejsze są pierwsze trzy miesiące. Pisklęta są wtedy bardzo delikatne i nie ma opcji, żeby je zostawić samopas. Opieka przez całą dobę i nie ma przeprosić. Jak z noworodkiem. Do tego strusie w niewoli całkowicie zatraciły instynkt wysiadywania jaj, więc będziesz potrzebować sztucznej kwoki, inkubatora i podobnych wynalazków. A jak już się szczęśliwie wyklują, to najpierw przez dwa tygodnie muszą chodzić tylko po dywanie...

– Co? – Magda aż otworzyła usta ze zdziwienia.

Wiedza Uli miała się nijak do internetowego poradnika. A chłonięcie jej przez cały dzień sprawiło, że wieczorem Magda poczuła, że zaraz pęknie jej głowa. Była laikiem, co boleśnie uświadomiło jej zderzenie z praktyką. Informacja, że docelowo odpada inwestycja w ogrzewanie, wcale nie gwarantowała, że pójdzie łatwo. Niby strusie nie wymagały wielkiej opieki, w sumie jadły prawie to samo co konie, nie były drogie w utrzymaniu, ale i nie generowały znacznego zysku. Hodowla z prawdziwego zdarzenia wymagałaby potężnych inwestycji, tymczasem na razie Magdę było stać jedynie na małą strusią rodzinę, czyli samca i dwie samice. Mogła je potraktować jako dodatek do jazdy konnej i agroturystycznych atrakcji, które Adam zaplanował na sąsiedniej działce, czyli parku linowego i letniego wypoczynku.

Mit, że na strusich jajkach można zarobić krocie, upadł po mniej więcej godzinie zwiedzania fermy.

Owszem, zysk jest, twierdziła Ula, ale pozwala raptem sfinansować zakup ptaków i ich utrzymanie. Pominąwszy fakt, że strusie dożywają siedemdziesiątki i niosą się przez cały czas, o szybkim wzbogaceniu się można zapomnieć.

– To po co w ogóle je hodować, skoro to tak nieopłacalne? – zapytała Magda wieczorem przy stole, skołowana i zbombardowana natłokiem informacji.

– Ależ oczywiście, kochana, że się opłaca!

– Ale jakim cudem? Myślałam, że tych jaj będzie więcej i będę je mogła sprzedać restauracji po sąsiedzku, ale widzę, że nic z tego. Skoro jedno to mniej więcej dwadzieścia sześć kurzych, nikt przy zdrowych zmysłach nie zapłaci mi za nie stówy.

Załamana Magda posmakowała piekielnie mocnej nalewki z czarnego bzu.

– Moja droga, zanim wpakujesz się w te strusie, posłuchaj mnie uważnie – powiedziała Ula, kładąc na stole deskę wędlin własnej produkcji. W kamionkowej miseczce lśnił smalec z cebulką i jabłkiem. Tuż obok pachniał okrągły chleb wypieku gospodyni.

Magda nie przepadała za wódką, ale po tak tłustej i kalorycznej uczcie, na wszelki wypadek, dla lepszego trawienia, dała się namówić na kieliszek czystej. Otrząsnęła się z obrzydzeniem, ale dzielnie przełknęła palącą przetyk zawartość kieliszka, po czym ponownie wbiła zęby w chrupiącą pajdę z wielkimi równie chrupiącymi skwarkami. Z lubością przymknęła oczy.

Rozkoszując się domowym jedzeniem i napitkami, z uwagą słuchała uwag Uli i jej męża, który dołączył do nich dopiero pod wieczór. Wrócił wymęczony ze spotkania w Agencji Restrukturyzacji Rynku Rolnego. Z ulgą poluzował krawat.

– Przepraszam, czuję się w tym jak pajac, ale tak trzeba – powiedział. – Jak człowiek wygląda na dziada, to nie dostanie niczego. A w krawacie wzbudziłem zaufanie tego głupiego urzędasza. W jego przypadku określenie „ptasi mózdzek” jest całkowicie adekwatne. Z całym szacunkiem dla ptaków – roześmiał się Jakub.

Był już dobrze po sześćdziesiątce, ale wyglądał na mniej, choć ogorzałe policzki i siwy zarost teoretycznie powinny dodawać mu lat. Mimo wieku prezentował się świetnie. Śmiało mógłby występować w reklamach witaminowych suplementów dla seniorów, po których wszyscy, po tygodniu stosowania, stają się uśmiechnięci, czerstwi i zdrowi. Miał w sobie tyle energii, że z powodzeniem mógłby nią obdzielić kilkanaście osób.

– Nie zapominaj o przedszkolach i szkolnych wycieczkach. – Wychylił kieliszek czystej. – To cała filozofia. Dzieciaki chcą oglądać strusie, a za parę złotych chętnie kupią śliczne piórko. A pani wychowawczyni prawie nigdy nie wyjeżdża bez wielkiego jaja. I tak to się kręci. Jeśli masz zamiar na jakieś przedszkola, to zachęcam, żebyś kupiła strusie jak najprędzej. Póki jeszcze się niosą. Kończą we wrześniu, więc masz jeszcze trochę czasu, żeby wydatek się zwrócił. A później kasa za oprowadzanie, lekkie podskubywanie ptaszyska i szafa gra. Osobiście na początek polecam strusie afrykańskie.

– Dlaczego? Są łatwiejsze w hodowli?

Magda powoli miała dosyć. Od natłoku wiedzy i alkoholu zaczęło się jej kręcić w głowie.

– Nie. Są po prostu ładniejsze. A wiesz, dlaczego są czarne?

– Nie mam pojęcia. Zawsze mi się wydawało, że te czarne są z Australii.

– Z Afryki. Słyszałaś o czarnej nocy afrykańskiej? – zapytał gospodarz.

W przeciwieństwie do gościa właśnie się zregenerował. Wstąpiło w niego nowe życie.

– Słyszałam.

– No właśnie. Samce mają czarne upierzenie, bo wysiadują jaja. Nocą. Samice robią to za dnia, więc są szare. Wszystko dla bezpieczeństwa potomstwa. Jak widać, mimo że mózg strusia waży mniej niż jego

oko, to wcale nie są głupie stworzenia. – Jakub ponownie uzupełnił kieliszki i roześmiał się szczerze. – Choć gdy spojrzysz takiemu w oczy, widać jedynie pustkę.

Ula słusznie przestrzegała gościa, że jej mąż może gadać o strusiach godzinami. Wykończona Magda przyznała jej w duchu rację i tylko czekała na okazję, żeby elegancko ewakuować się do swojego pokoju. Ale Jakub się rozkręcił – rozochocony gadał nieprzerwanie, mimo że dochodziła północ, co rusz namawiając do degustacji nalewek własnej roboty. Żeby nie zasnąć przy stole, wsparta na łokciach Magda palcami podtrzymywała powieki. Gdy wreszcie gospodarz wstał i poszedł do toalety, podniosła się i ona, ale Ula zaproponowała kawę.

Biesiada zakończyła się nad ranem.

Po przebudzeniu Magda kompletnie nie pamiętała, w jaki sposób znalazła się w łóżku, a przy śniadaniu ze zdziwieniem zareagowała na informację, że w nocy dobiła targu. Głupio jej było przyznać, że niczego nie pamięta, więc delikatnie podpytała Ulę o konkretne ustalenia. Uważnie słuchając relacji, coraz szerzej otwierała oczy i raz po raz dziękowała Bogu, że jedzą w ogrodzie, a ona ma na nosie przeciwsłoneczne okulary. Przeraził ją fakt, że ma luki w pamięci, więc obiecała sobie solennie, że już nigdy w życiu i pod żadnym pretekstem nikomu nie pozwoli się namówić na wódkę i spirytusowe nalewki. Jak się okazało, zobowiązała się zaopiekować wnukiem gospodarzy przez resztę wakacji, nauczyć go jeździć konno i powozić. Wczoraj Ula i Jakub, gdy dowiedzieli się o stadninie, od razu podchwycili temat, że może warto byłoby poszerzyć ofertę ich fermy o lekcje jazdy konnej, ale Magda ostudziła ich zapały, tłumacząc, że musieliby zatrudnić instruktora i przygotować ujeżdżalnię. Entuzjazm osłabł nieco, choć nie na długo, bo opróżniwszy kolejny kieliszek, Jakub wpadł na pomysł, by wozić gości wozem po lesie. A jego gościa olśniło, że w Pieńkach są na zbyciu zaprzęgowe konie. Przy następnej kolejce Magda sfinalizowała transakcję – dwa siwki za trzy strusie – lecz teraz przeraził ją fakt, że zrobiła interes życia, a nawet tego nie pamięta. Nie pamiętała również obietnicy wypożyczenia zabytkowej bryczki w zamian za jej profesjonalne odnowienie. Wnuk gospodarzy był najmniejszym problemem, bo każda para rąk do pracy w stajni była na wagę złota. Strusiuwy biznes znał od podszewki, a z bratankami Adama dogada się na pewno. Zwłaszcza że aż podskoczył z radości na wieść o wyjeździe do stadniny. A gdy usłyszał o kolegach z sąsiedztwa i gromadzie dziewcząt, rozpromienił się jak bożonarodzeniowa choinka.

Magda robiła dobrą minę do złej gry. Gdybym trafiła na nieuczciwe jednostki, poszłabym z torbami, stwierdziła. Na szczęście zyskałam pomocnika i strusie, i jeszcze opchnęłam dwa siwki. Nie będę musiała oddawać ich do rzeźni, ucieszyła się.

Do rozwiązania pozostała jeszcze sprawa przewiezienia zwierząt w obie strony. Jakubowi niedawno skradziono specjalnie przystosowaną przyczepę transportową, więc chwilowo dysponował jedynie pikapem, który absolutnie nie nadawał się do użytku w wiadomym celu. Miał oprócz niego także zwyczajny samochód, ale w świeżo kupionej osobówce nie zdążył jeszcze zamontować haka. Fiesta Magdy też go nie miała, za to kombi Tomka już tak. Wychodziło na to, że przy odrobinie dobrej woli cała ta skomplikowana operacja logistyczna powinna się udać.

Poranek przebiegał w tak miłej atmosferze, że Magda opuściła gościnny dom Uli i Jakuba dopiero w porze obiadowej, objedzona jak prosię, kiedy już wiedziała, że z jej żył zdążył wyparować alkohol. Miała przed sobą drogę do Gdańska, bo wcześniej umówiła się z Jackiem, który dziś miał wolne. A że wynajmował pokój po odpowiedniej dojazdowo stronie miasta, postanowili się spotkać w pobliskiej kawiarni.

W sobotę Magda nie spodziewała się korków, ale nie przewidziała jednego – oto właśnie następowała wymiana turnusów. W normalnych warunkach należało zakładać przynajmniej dwie godziny jazdy, a teraz mogło być tylko gorzej. I było. Po kilku tygodniach spędzonych na wsi drogowy zgiełk przyprawiał

o szewską pasję. Pchający się z każdej strony weekendowi kierowcy, wszechobecny hałas, przerywany przenikliwym dźwiękiem klaksonów, na które nigdy wcześniej nie zwracała uwagi, drażniły tak, że w pierwszym odruchu Magda zapragnęła zawrócić i jak najszybciej znaleźć się w Pieńkach. Ale wytrzymała i dotarła na umówione miejsce.

Jacek już czekał. Zamówiła kawę dla obojga i zamieniła się w słuch.

Młody człowiek sprawiał wrażenie zakłopotanego, więc w duchu zacierała dłonie, że w końcu dowie się czegoś konkretnego. Ale rewelacje Jacka pochodziły z drugiej ręki, od jakiegoś pociotka oraz sąsiada, którzy dawno temu pomagali w stadninie. Niestety, wiedza ta nie wykraczała ponad mgliste wspomnienie niedorozwiniętej Marcysi. Chłopak przynajmniej potwierdził przypuszczenie, że dziewczyna najprawdopodobniej przepadła bez wieści, ale żadnych konkretów nie podał. Zapytany o konie, o których, jak twierdził, także słuch wszelki zaginął, tylko oblał się pąsem.

– Proszę pana, przecież ja sobie tego nie wymyśliłam – zdenerwowała się Magda.

– Ja naprawdę nic nie wiem.

– Ale to przecież pan mi o tym powiedział. I właśnie dlatego pana proszę o pomoc.

– To nieważne. – Zakłopotany Jacek wbił wzrok w podłogę.

– Jak nieważne? – Magda poczuła, że zaraz wyjdzie z siebie. – Przejechałam kawał drogi wśród weekendowych melepetów, żeby się z panem spotkać, a pan mi tu mówi, że to nieważne?

Chłopak milczał.

– Cóż. Dziękuję za kawę – syknęła Magda jadownicie i położyła na stoliku dwudziestozłotowy banknot.

– W takim razie muszę zawiadomić policję. Śledztwo jest w toku, a pańskie zeznania, które pan przede mną ukrywa, mogą wnieść dużo do sprawy.

– Ale ja nic więcej nie wiem! – odparł przerażony Jacek, zbierając się do odejścia. – Przysięgam! Słyszałem tylko o tej głupiej dziewczynie!

Magda nabrała przekonania, że przy ich spotkaniu w Nestorze chłopak nagadał jej plotek, bardziej żeby urosnąć w jej oczach niż z jakiegokolwiek innego powodu. Nie mógł wtedy wiedzieć, że po kilkudziesięciu latach stara sprawa nabierze rumieńców. Gdzieś tam coś słyszał, że w stadninie grzebano konie na lewo, że robiono szwindle w dokumentacji i nielegalnie sprzedawano koninę, ale nie miał pewności. I nawet nie pamiętał, od kogo usłyszał te opowieści. A już na pewno nie dysponował dowodami. Nawet jeśli coś takiego miało miejsce, musiało nastąpić w zamierzchłych czasach, bo obecnie wszystko w dokumentacji i w końskim rejestrze było w jak najlepszym porządku.

Magda westchnęła, rozczarowana, że nie dowiedziała się niczego nowego. Tak bardzo liczyła na to spotkanie, tymczasem wciąż tkwiła w punkcie wyjścia. Nie miała pojęcia, skąd w niej taka dociekliwość, ale teraz przepadło – trzeba dać sobie spokój z dochodzeniem na własną rękę. Sprawdziła już wszystkie możliwe źródła informacji i mogła się rozgrzeszyć. Gdyby tak żyła babcia Fela, westchnęła w duchu.

– Bingo! – zawołała i pacnęła się dłonią w czoło. – Listy! Przecież w nich może być coś jeszcze.

Babcina korespondencja wciąż spoczywała w trójmiejskim mieszkaniu, w pudle pod łóżkiem. W dniu jej odkrycia Magda nie przeczytała nawet połowy. A nawet i tego, co przeczytała – pomiędzy ocieraniem łez i wydmuchiowaniem nosa – nie pamiętała zbyt dobrze. Wzruszenie było wtedy tak silne, że nie była w stanie przeanalizować treści.

Zadowolona z olśnienia zawróciła na najbliższym rondzie i skierowała się w stronę domu. I tak, nie licząc listów, musiała zabrać stamtąd kilka swoich rzeczy, a wyjazdowy korek chwilowo zdawał się nie mieć końca. Pomysł przeczekania godzin wakacyjnego szczytu wydawał się Magdzie wybawieniem, zwłaszcza że zapragnęła świętego spokoju. Leontyna wciąż bawiła w sanatorium, a Tomek pewnie siedzi w pracy i robi remanent związany z przekazaniem apteki, pomyślała. A mimo to postanowiła na wszelki

wypadek zadzwonić do męża, za którym bardzo tęskniła, z nadzieją na krótkie choćby spotkanie.

Wygrzebała telefon z torebki, ale okazało się, że zafascynowana nowymi znajomościami, obfitą kolacją i zawilóściami hodowli strusi na śmierć zapomniała podłączyć komórkę do ładowarki. Bateria rozładowała się już przy wybieraniu numeru, więc Magda wrzuciła telefon do schowka, obok kluczy do mieszkania.

Rozdział 19

Po kwadransie była już pod blokiem.

Miejsce, na którym parkowała zazwyczaj, teraz zajmował ktoś inny, zatem postawiła fiestę obok i wsiadła do windy z uczuciem, jakby nie jechała nią co najmniej dwa lata. Zamyślona, ocknęła się wraz z sygnałem, że dotarła na właściwe piętro.

Trudno powiedzieć, kto zareagował większym zdziwieniem, Magda czy pulchna krótkowłosa brunetka siedząca przy kuchennym stole. Na widok prawowitej pani domu zaciągnęła na bujne piersi poły błękitnego szlafroka. Magda początkowo sądziła, że pomyliła mieszkania, i chciała przeprosić za najście, ale nagle dotarło do niej, że to jej kuchnia, jej garnki, jej dywanik w przedpokoju. I, co gorsza, jej własny szlafrok.

Wcześniej widywała podobne sceny wyłącznie w filmach i nigdy nawet przez myśl jej nie przeszło, że kiedykolwiek weźmie w jednej z nich czynny udział. Dlatego teraz stała z rozdziawionymi ustami, w pełni świadoma, że właśnie wygląda jak skończona idiotka. Jej myśli w jednej chwili doznały kompletnego paraliżu. Nie miała pojęcia, co powinna zrobić, jak zareagować. Najchętniej by wyszła, zawróciła na parking, a potem wjechała windą, weszła do mieszkania ponownie i uznała, że wcześniej wszystko się jej przywidziało.

– To może ja już sobie pójdę – bąknęła zmieszana brunetka. – Tylko ubrania zabiorę.

– Mam nadzieję, że własne. – Magda nie podarowała sobie złośliwości.

Tamta spąsowiała i spuściła wzrok, zupełnie jak nieświadoma niczego durna nastolatka, i spróbowała wymknąć się z kuchni, ale gospodyni zastąpiła jej drogę. Miała jeszcze cień nadziei, że może pod nieobecność matki Tomek zaprosił jakichś znajomych albo udostępnił mieszkanie jakiemuś kumpłowi na miłosną schadzkę, ale została pozbawiona ostatniego strzępka nadziei.

– Gdzie Tomek? – zapytała na bezdechu.

– Och, chyba jeszcze się kąpie – zaszczebotała brunetka i jak gdyby nigdy nic wyminęła osłupiałą Magdę. – Przepraszam cię. Mówił mi, że się rozwodzi. Nie wiedziałam, że kłamie.

– Nie kłamał – odparła Magda beznamiętnie i ciężko oparła się o framugę kuchennych drzwi. – A szlafrok możesz sobie zatrzymać.

– Co ty tu robisz?

Zaskoczony Tomek, odziany wyłącznie w ręcznik, nerwowo przeczesywał mokre włosy.

Magda знаła ten gest aż nazbyt dobrze. Pragnęła odezwać się, jakoś zareagować, ale szok odebrał jej zdolność jakiegokolwiek racjonalnej riposty. Teraz mogła zrobić dosłownie wszystko. Mogła płakać, wyzywać i krzyczeć. Mogła bić, mogła kopać, mogła w afekcie nawet dźgnąć nożem. Mogła przez okno wyrzucić rzeczy męża i jego kochanki. Mogła zrobić scenę i kazać się im wynosić, ale właśnie do niej dotarło, że to nie oni, a ona powinna się wynieść. W tym mieszkaniu, pomijając szczęśliwe początki małżeństwa, prawie nigdy nie czuła się jak u siebie.

– Magda, spokojnie. Ja wszystko ci wytłumaczę. To skomplikowane.

Tomek jak na zawołanie przybrał minę zbitego psa, ale Magdzie było już wszystko jedno. Po pierwszym szoku spłynął na nią absolutny spokój. Spokój tak tragiczny, tak straszliwy i martwy, jakby przed chwilą

własnoręcznie odebrała komuś życie. Albo jakby ktoś na jej oczach właśnie dokonał morderstwa. Nigdy nie sądziła, że można czuć coś podobnego.

– Co ty mi niby chcesz tłumaczyć? – zapytała. – Daruj sobie tłumaczenie i mydlenie mi oczu chwilą zapomnienia.

– Ależ kochanie...

– Kochanie? Czy ty upadłeś na głowę? – W głosie Magdy zabrzmiała pogarda.

Wreszcie rozumiem, co to takiego afekt, pomyślała. Miała dreszcze, mimo pełni lata. Jakże rozumiała tych, którzy mordowali z zimną krwią, a potem odbierali sobie życie, skacząc z wieżowca.

Jak automat przysunęła krzesło i sięgnęła do pawlacza po największą walizkę. W końcu i tak przyjechała po swoje rzeczy, tyle że nie spodziewała się, że jedzie po wszystkie. Tomek spróbował jakiejś bliżej nieokreślonej interwencji, jakichś wyjaśnień, ale Magda wyminęła go bez słowa i poszła się pakować.

Naprawdę jest tego tak mało?, zdziwiła się szczerze. Ale może to i dobrze, będzie mniej noszenia, stwierdziła. Zabrała wszystko, nawet drobiazgi. Zostawiła jedynie pamiątki i prezenty od Tomka.

– Nie weźmiesz ich? – wyskoczył jak filip z konopi.

– A po co? Przecież masz komu dać takie romantyczne duperele. A jak nie, to je sobie wsadź. Wiesz gdzie. – Magda z rozmachem przesunęła nogą pudło po podłodze.

W przedpokoju wyjęła jeszcze z szafy płaszcz, kurtkę i zimowe buty, i bez słowa, nie oglądając się, zamknęła za sobą drzwi. Ostatni widok, jaki zapamiętała, to jej wiarołomny, owinięty ręcznikiem mąż, bezmyślnie gapiący się przez kuchenne okno.

Z drogi powrotnej nie zapamiętała niczego, z wyjątkiem faktu, że jadąc zbyt szybko, przegapiła zjazd, a tuż potem zabiła kuropatwę, która wpadła jej pod koła. Głupie ptaszysko najwyraźniej poświęciło życie, żebym mogła uratować swoje, pomyślała ponuro, odbierając samobójczy czyn kuraka jak przestrożę. Natychmiast zdjęła nogę z gazu i zwolniła o połowę.

Na razie nowa rzeczywistość kompletnie do niej nie docierała. Magda odnotowała własne zdziwienie faktem, że wcale nie chce się jej płakać, ale złożyła to – i słusznie – na karb szoku. Miała nadzieję, że nie rozklei się, zanim bezpiecznie nie dotrze na miejsce. Co rusz spoglądała na wskazania szybkościomierza.

Na horyzoncie pojawiły się ciężkie ołowiane chmury; jechała wprost na nie. Od zawsze bała się burzy. Nawet bezpieczna w mieszkaniu, uciekała podczas nawałnicy od zamkniętych okien. Najchętniej schowałaby się w mysiej norze. Ale teraz na myśl o nadciągającym żywiole Magdzie nawet nie drgnęła powieka. Chyba wchodzi w fazę jeszcze głębszego otępienia, kiedy jest człowiekowi wszystko jedno, stwierdziła.

Do stadniny dotarła w chwili, gdy wraz z pierwszym grzmiotem lunął deszcz. Lało tak, jakby rozerwało się niebo. Kilkanaście kroków od fiesty do domu wystarczyło, żeby Magda przemokła na wylot.

W kuchni powitał ją smakowity zapach. Alicja jak zaczarowana tkwiła przy piekarniku i usiłowała zajrzeć do środka przez brudne od zapieczonych resztek okienko.

– Piekę ciasto – oznajmiła z dumą i uśmiechnęła się szeroko. Na widok Magdy od razu zrzęda jej mina. – Ale ci dołało.

– Nie tylko dołało, ale i dokopało. Właśnie nakryłam Tomka z jakąś lafiryndą w naszym mieszkaniu. Nareszcie wiem, dlaczego był ostatnio tak zapracowany i nie miał czasu przyjechać.

– O kuźwa, to grubo! – mruknęła Ala. – U mnie było podobnie, ale oprócz coraz to nowych dziwek jeszcze chlał na umór i bił. Jak się upił, to na nic się nie oglądał, tylko walił jak w bęben. Czasem się bałam, że mnie utłucze.

– Jezu... – Magda aż przysiadła na taborecie.

I nagle w tej zapyziałej kuchni, wśród zapachu domowego ciasta poczuła, że będzie dobrze. W końcu

mam przecież gdzie mieszkać, mam pracę i cel w życiu, skonstatowała. Do tej pory nie miałam marzeń, od dawna żyłam cudzymi. Na dodatek w przekonaniu, że nie stać mnie na własne, bo nie jestem ich godna.

Otarła łzę i buńczucznie wysunęła brodę do przodu.

– Cholera, będzie dobrze! – powiedziała z mocą. – Musi.

Alicja, uchyliwszy drzwiczki piekarnika, z obawą zajrzała do środka.

– Jeśli smakuje choć w połowie tak, jak pachnie i wygląda, to będzie najlepsze drożdżowe ciasto na świecie – powiedziała z dumą. – Dobrze, że Zofia mi pomogła, bo wiesz, z jedną ręką to nie za bardzo. Najbardziej się bałam, że nie wyrośnie. To moje pierwsze ciasto w życiu. Wiesz, że jutro dyrektor więzienia ma dać odpowiedź, czy wyraża zgodę na widzenie? Ustaliliśmy z Krzyśkiem, że podam się za jego narzeczoną. No a jak już do niego pojedę, to chciałabym mu przywieźć coś pysznego – paplała jak najęta.

Jeszcze niedawno cicha i przygaszona, od czasu poznania Krzyśka zmieniła się całkowicie. Zaczęła o siebie dbać i – o dziwo – dostrzegać wokół brud i bałagan. Kilka dni wcześniej z własnej woli umyła w domu wszystkie okna. To nic, że nie miała o tej czynności pojęcia, więc pomazała szyby niemiłosiernie. Ważne było, że zrobiła cokolwiek. Magda nawet słowem nie zająknęła się na temat powtórnego mycia, tylko serdecznie uściskała sprawczynię zamieszania. Po remoncie stajni, gdzie zapanował idealny porządek, to właśnie Ala trzymała dyscyplinę. Nabrała wigoru. Po prostu promieniała. A jej oczy błyszczały jak u wszystkich zakochanych. Stanowiła idealny przykład silnej kobiety, która podniosła się z kolan. Która po latach cierpień zebrała się na odwagę, by wyrzucić ze swojego życia wszystko, co złe, postawić na jedną kartę i zawalczyć o szczęście. Dostała od życia szansę i postanowiła ją wykorzystać. Możliwe, że Krzysiek wcale nie będzie tym kolejnym jedynym, ale na pewno przyczynił się do odzyskania przez Alicję dawno zapomnianej wiary w siebie i odkrycia przycupniętej w kącie duszy kobiecości.

Obie jechały na tym samym wozie, rozchybotanym i niepewnym, ale Ala już pewnie dzierżyła lejce, podczas gdy Magda dopiero co nań wskoczyła. Miała pewność, że i jej życie poukłada się jakoś, ale na razie nie miała pojęcia, co dalej. Jak przeżyć kolejny dzień z poczuciem, że Tomka już nie ma? Jak stawić czoła światu z myślą, że jest się niechcianą do tego stopnia, że niedawno kochający mąż już sypia z inną? Że przedkłada miłosne schadzki nad wspólny czas z żoną? Nie, nie. Jak na razie było tego zbyt wiele. Po świecie, który właśnie się zawalił, pozostał gruz. Kiedyś trzeba go będzie posprzątać, ale nie teraz.

Trzeba wiedzieć jak.

Alicja gadała i gadała, kompletnie nieświadoma, że nikt jej nie słucha. Magda zamyśliła się tak dalece, że nawet nie zauważyła nadejścia Zofii, która chciała zaparzyć sobie ziółka. Stara kobieta ponownie cofnęła się w czasie i właśnie sobie przypomniwała, że hrabia chętnie napiłby się wiśniówki przed snem. Coś jeszcze pomamrotała pod nosem, złorzecząc na jakąś francuską lafiryndę, i z zastawioną tacą opuściła kuchnię.

Magda również naląła sobie kieliszek wiśniówki. Pomna niedawnych doświadczeń ze zdrażliwymi trunkami, najpierw ostrożnie skosztowała odrobinę i w efekcie zdecydowała się na kubek ciepłego kakao, które zawsze przypominało jej pobyty u babci. Wystarczył zapach, by odżyły wspomnienia. Magda zobaczyła siebie w tej samej kuchni, tyle że wiele lat wcześniej. Jakże wtedy była szczęśliwa! Do szczęścia potrzebne jej były zaledwie konie, ciepły uśmiech babci Feli i towarzystwo Staszka. Gdyby tylko można było cofnąć czas...

– Ech! – westchnęła ciężko i zwiesiła głowę.

Życie właśnie boleśnie przygięło jej kark. Tak mocno, że nie miała siły się podnieść. Jak dotychczas świetnie opanowała sztukę chowania głowy w piasek, tymczasem w aktualnym stanie ducha bardziej by

się jej przydała umiejętność wstawania z kolan.

Jakimś cudem zasnęła i spokojnie przespała całą noc. Musiała śnić miły sen, bo raniem obudziła się z uśmiechem na ustach. Kilka sekund trwało, zanim dotarło do niej, że od wczoraj rzeczywistość wcale nie stała się piękniejsza. Rozpoczynał się kolejny przekichany dzień, równie trudny co poprzedni. Jeśli nie bardziej.

Magda wstała i ciężkim krokiem poczłapała do łazienki. Tym razem brudne zacieki na umywalce kompletnie nie zrobiły na niej wrażenia. Włożyła świeże ubranie.

W kuchni Zofia z zapalem prasowała stare chusteczki do nosa. Magda pamiętała takie z lat dzieciństwa, ale od tamtej pory nie widziała ich już nigdy. Kwadratowe kawałki kraciastej tkaniny ponownie przywołały boleśnie miłe wspomnienia.

– Co tak późno? – ofuknęła ją Zofia. – Konie trzeba oporządzić! Ile razy mam ci mówić, że on nienawidzi opieszających bachorów, co to śpią do południa?

– Ależ Zofio, jest dopiero wpół do dziewiątej. A ja już od dawna nie jestem bachorem – powiedziała Magda pojednawczo. – A już na pewno nie opieszającym.

– Tak! Wszystkie tak mówicie. Te dzisiejsze kobiety to jakieś nieporozumienie. Co jedna to gorsza, co jedna to bardziej leniwa! – grzmiała staruszka znad żelazka.

Znów miesza się biduli w pamięci, pomyślała Magda. Capnęła kawałek drożdżowego ciasta z dżemem i wyszła z domu.

Dzień był pochmurny, ale upalny. Po wieczornym deszczu między drzewami unosiły się strzępy mglistej pary. Magda nie była głodna, ale od niechcienia pogryzając ciasto, ruszyła w stronę lasu. To właśnie tam, pomiędzy drzewami, myślało się jej najlepiej. Potrzebowała ciszy, bardzo chciała się skupić i przeanalizować wszystko, ale nie była w stanie. Mimo wysiłków nie potrafiła wyzbyć się dziwnej intelektualnej drętwoty. Myśli krążyły wokół rzeczy najprostszych i za nic nie chciały popłynąć dalej. Możliwe, że była to forma psychicznej samoobrony, reakcja niepozwalająca na wybuch. Rzeczywistość przesuwała się obok, również odgłosy docierały z oddalenia. Zupełnie jakby ktoś zamknął Magdę w dziwacznej czasoprzestrzeni, która dawała tylko pozory życia i postrzegania tego, co dzieje się wokół. Niby wszystko funkcjonowało jak zawsze, ale poczucie, że gdy dotknie ręką jakiegokolwiek przedmiotu, ten się rozplynie, nie ustępowało.

Zadumana Magda potknęła się o kamień. Zakląła szpetnie.

– No pięknie, pięknie. Takie słowa z rana!

Zza kępy malinowych krzaków wyłonił się zasapany Adam.

– Mam to w nosie – prychnęła Magda nieuprzejmie i bez zachęty do dalszej rozmowy.

Lubiła sąsiada, owszem, ale dzisiaj nie miała ochoty na pogaduszki. Najchętniej powiedziała mu, żeby zostawił ją w spokoju.

– Nie wiem, jak ty, ale ja już swoje trzy kilometry dziś przetruchtałem. Może zatem wspólna kawa? – zaproponował. – Od wczoraj mamy nowy ekspres, prosto z Włoch. Masz ochotę? Pełna profeska, naprawdę.

– W sumie mogę mieć. Dzięki – odparła cicho.

Zrobiło jej się głupio, że była niemila. Przecież Adam nie zrobił jej niczego złego, wręcz przeciwnie. Od samego początku pomagał jej jak mało kto.

– To chodź. Opowiesz mi w końcu o tych strusiach.

Zajęta nowym tematem Magda na chwilę zapomniała o kłopotach. Zrelacjonowała Adamowi swoją wizytę na strusiej fermie, a on ucieszył się szczerze, że jego bratankowie wkrótce będą mieć towarzystwo. Pogratulował Magdzie pomysłu z zatrudnieniem ich w stajni, bo obaj chłopcy zmienili się nie do poznania. Zamiast bezmyślnie klikać w internetowe gierki na telefonach, wyszukiwali na

fachowych forach przeróżnych informacji na temat koni. Pierwsze postępy w nauce jazdy wierzchem uskrzydliły ich tak bardzo, że wczoraj wydebili od wuja kasę na nowe bryczesy.

– Jak tak dalej pójdzie, to jeszcze mi się na strusie zjawiają – zażartował Adam. – To kiedy pierwsze jaja od tych twoich Australijczyków?

– Raczej Afrykanów. – Magda uśmiechnęła się słabo.

Jeszcze do niedawna sama sądziła, że te wielkie czarno-białe ptaszyska pochodzą z antypodów. Na domiar wszystkiego to właśnie one znosiły te białe jaja, tak wielgachne, że jajecznicą z jednego można było nakarmić trzy wielodzietne rodziny. Wbrew pozorom australijskie strusie znosiły jajka sporo mniejsze, w dodatku całkiem zielone i już nie tak atrakcyjne jak te znoszone przez ich afrykańskich kuzynów.

– Pewnie kilka dni po przyjeździe – dodała. – Łatwo się stresują, więc pewnie będą musiały odchorować podróż i transport. O ile w ogóle uda się go zorganizować.

– A w czym problem? Potrzebują czegoś specjalnego? – Adam otarł pot z czoła.

– Nie, wystarczy przyczepa dla koni. Ale Jakub chwilowo nie dysponuje ani przyczepą, ani hakiem, bo dopiero co zmienił samochód. Ja mam przyczepę, ale też nie mam haka, a z samochodu mojego, eee... Z samochodu Tomka, mojego, hm, męża – zająknęła się – raczej też nie będę mogła skorzystać.

– Dlaczego?

– Powiem ci, ale jeszcze nie dziś. To zbyt świeże. Ale wiem, że dobrze nie będzie. – Magda zwiesiła nos na kwintę.

Walczyła z nadchodzącym płaczem.

– O matko. Co się stało? – zaniepokoił się Adam.

Zastąpił jej drogę i chwycił za ramiona.

Magda nie zważała, że jego koszulka jest całkiem mokra od potu. Ciepły tembr głosu i opiekuńczy gest sprawiły, że odruchowo wsparła czoło na jego piersi i rozplakała się jak dziecko.

– Nie mogę... – chlipnęła. – Przepraszam cię, ale naprawdę nie mogę.

– Nie mam chusteczki. Mam tylko to. – Skonsternowany pocziwiec podsunął jej swój mało świeży ręcznik.

– Nie szkodzi. – Magda pociągnęła nosem i otarła dłonią policzek.

Wiedziała, że nie powinna płakać. Zwłaszcza teraz. Ze wszystkich sił starała się powstrzymać potok łez, ale bezskutecznie; płynął obficie. Żebym choć miała ciemne okulary, pożałowała.

– Chodź. – Adam wziął ją za rękę. – Idziemy do mnie. Przy kawie opowiesz mi wszystko. A później ja przetrączę kulasy temu twojemu ślubnemu bałwanowi. Jakim draniem trzeba być, żeby zrobić krzywdę kobiecie. Zwłaszcza takiej jak ty. Idziemy!

– Ale... – Magda próbowała oponować, lecz gdy zorientowała się, że podążają do tylnego wejścia i nie będzie musiała paradować przez główny hol, odetchnęła z ulgą.

– Trzymaj. – W kuchni Adam wziął z wysokiego stosu czystą białą ściereczkę. – Jedna wystarczy? Czy może dwie? Jak długo zamierzasz ryczeć?

– Spadaj! – Na ustach Magdy pojawił się słaby uśmiech. – Pokaż mi tylko, gdzie jest łazienka.

Zanim się uspokoiła, minęło trochę czasu. Dzięki Bogu nie miała makijażu, a okład z lodowatej wody w zupełności wystarczył na podpuchnięte oczy. Przez nikogo niezauważona przemknęła do gabinetu Adama.

– Ciii.

Mężczyzna odwrócił się od szafy i z namaszczaniem wskazał na wiszące za nią obłe coś, przyobleczone w damską pończochę.

Musiało być dość ciężkie, bo wyraźnie obciążało elastyczną materię. Całość wyglądała nieco

makabrycznie. Magda aż się wzdygnęła.

– O kurczę, czy to się jeszcze rusza? – zapytała z odrazą.

– Ciii! – powtórzył Adam konspiracyjnym szeptem. – To dojrzewający schab. Jakby mnie kucharz wyśledził, toby mnie chyba zamordował, że na terenie hotelu uprawiam takie praktyki tuż pod jego fachowym nosem. Poza tym mógłby donieść służbom sanitarnym. Więc mnie nie zdradź, dobrze?

– Dobrze. – Magda bez przekonania wzruszyła ramionami. Chwilowo miała w nosie dojrzewający schab, który wyglądał jak odrąbany kawałek trupa. – To kiedy degustacja? I przede wszystkim co z tą obiecaną kawą?

Adam wydał dyspozycje przez interkom i gdy tylko przyniesiono im czarne jak smoła espresso, wycisnął z sąsiadki całą przykrą opowieść. Na jej twarzy co rusz malowały się inne emocje: od wściekłości, przez rozgoryczenie i smutek, aż po chwilowe rozbawienie i pełną refleksji zadumę. Wylała z siebie wszystko. Adam w roli słuchacza sprawdził się doskonale; nie przerywał, jedynie czasem dopytywał o jakiś szczegół. Cierpliwie czekał w pogotowiu z nową paczką chusteczek higienicznych.

– Normalnie nogi bym mu z dupy wyrwał, jakbym mógł – podsumował. – Co za dupek.

– Przestań. Takie nakręcanie się nic nie da. Nie ma się co oszukiwać, że to nie koniec.

Magda miała już dość. Rozmowa podziałała oczyszczająco, ale jej wciąż było ciężko na sercu.

– Nie mów hop, dopóki nie przeskoczysz. Ludzie wybaczą sobie nie takie rzeczy. Weź choćby Wojtka, mojego rodzzonego brata. Chyba już ci mówiłem, że chłopcy są u mnie, bo mój brat właśnie walczy o żonę? Jakbyś chciała wiedzieć, to kilka miesięcy temu poroniła. Straciła dziecko innego faceta.

Oszłomienie nieplanowanym zwrotem w perfekcyjnie zaplanowanym życiu trwało. Wszystko było zbyt świeże, żeby wyciągać wnioski i silić się na refleksję. Magda podziękowała Adamowi.

– Jeśli chcesz, możesz korzystać z mojej terenówki, jak długo będzie trzeba. Ma hak i bez problemu pociągnie każdą przyczepę – powiedział.

– Poważnie? – Magdzie na chwilę odebrało głos.

Takiego gestu się nie spodziewała.

– Tak. Musisz tylko zatankować, ale weź fakturę na hotel. Zawsze będzie taniej o VAT.

– Adam, ja cię kiedyś ozłocę. – Podeszła i delikatnie pocałowała go w policzek. – Dziękuję ci – wyszeptala przez zaciśnięte gardło. – Ta twoja żona to musiała być jakaś megagłupia, że cię zostawiła.

– Tiaaaa. Dokładnie tak samo jak twój mąż.

Wyściskali się po przyjacielsku, a on obiecał w ciągu godziny przyprowadzić terenówkę do stadniny i pomóc zamontować przyczepę.

Nie było na co czekać. Skoro środek transportu spadł jej jak z nieba, Magda musiała zorganizować wszystko ad hoc. Tymczasem zza chmur wyszło słońce i zapanowała tropikalna duchota. Ze względu na konie, przy panujących temperaturach wyjazd pod Olsztyn powinien nastąpić dopiero po zachodzie słońca. A zaraz potem kurs odwrotny.

– Kurczę.

Magda odruchowo poklepała się po kieszeniach szortów. Nie pamiętała, gdzie położyła telefon. Dzwonienie do siebie nie wchodziło w grę, bo komórka rozładowała się dzień wcześniej.

Po godzinie poszukiwań znalazła się w schowku w samochodzie. Po podłączeniu jej do ładowarki na wyświetlaczu pojawiła się lista nieodebranych esemesów i połączeń. Numer do Jakuba, kilka nieznanych, ale nic od Tomka. Do Magdy dotarło, że podświadomie czekała na znak życia od męża. Że zadzwoni, napisze. Że będzie przepraszał, kajał się, że będzie walczył. Nawet gdyby miał zrobić z siebie idiotę. Oświadczy, że nie wie, jak to się stało, że się pogubił, że żałuje, wszystko jej wynagrodzi i że będzie cacy. Tymczasem zero.

– I co?

Alicja wyłoniła się jak spod ziemi.

– I nic.

– Wiem, co czujesz. On nie zadzwoni. A jeśli nawet, to nie po to, na co czekasz. Odpuść. Dla własnego dobra.

– Wiem. Boże, jakie to wszystko jest trudne.

– O której chcesz jechać? – Ala na wszelki wypadek zmieniła temat.

– Pod wieczór, bo inaczej siwki się usmażą. Wrócę przed świtem.

Alicja pobiegła do stajni, by przygotować zwierzęta do podróży.

W ostatnich dniach, dzięki reklamie w internecie i lokalnej poczcie pantoflowej, w przerobionej na hotel stajni pojawiły się kolejne dwa konie, a na najbliższy tydzień zaawizowano jeszcze dwa. W normalnych okolicznościach Magda skakałaby ze szczęścia, ale teraz najnormalniej w świecie odcięło jej światło i napęd. W kwestii siwków zdała się na Alicję, odruchowo upewniła się, że miejsce dla strusi jest gotowe, i poszła spakować kilka drobiazgów na drogę. Miała zamiar obrócić w tę i z powrotem w ciągu jednej nocy, więc nie było tego wiele – podstawowy zestaw kosmetyczny i, ze względu na upał, dodatkowe ciuchy. Zofia przyszykowała jej kanapki na drogę i wręczyła staromodny termos z kawą, Alicja dorzuciła kawał drożdżowego ciasta. Na nic zdały się tłumaczenia, że w podróży co kilka kilometrów można zjeść w przydrożnym barze czy na stacji benzynowej i że taka wałówka wcale nie jest potrzebna.

Adam pojawił się zgodnie z obietnicą, sprawnie podpiął przyczepę i dokładnie sprawdził instalację elektryczną. Wspólnymi siłami, z niemałym trudem wprowadzili zdeorientowane siwki do przyczepy; jeden wszedł bez problemu, drugiego po półgodzinie podchodów przekonała dopiero marchewka. Magda nigdy wcześniej nie ciągnęła przyczepy, a już tym bardziej z żywym ładunkiem, więc obawiała się nieco. Na szczęście dobrze pamiętała drogę. Mam nadzieję, że nie przyjdzie mi zawracać, westchnęła w duchu.

Uściskała wszystkich obecnych, telefonicznie zaanonsowała przyjazd Jakubowi, a gdy ochłodziło się trochę, przejęta ruszyła w drogę.

Rozdział 20

Podróż ślimaczyła się okropnie.

Jak na złość w trasę wyruszyły wszystkie chyba motoryzacyjne ofiary, a na domiar złego na jedynej sensownej drodze właśnie rozpoczęto remont nawierzchni. Wprowadzono ruch wahadłowy, więc Magda odstała dobre pół godziny w oczekiwaniu na swoją kolej. W normalnych warunkach zapewne dodałaby gazu, żeby nadrobić stracony czas, ale w tych okolicznościach ograniczały ją przepisy odnośnie do jazdy z przyczepą i obawa o stan siwków. Ani myślała fundować zdenerwowanym zwierzakom rajdowych emocji. Droga, która normalnie zajęłaby jej maksymalnie dwie godziny, tym razem trwała prawie pięć.

Wdzięczna zapobiegliwej Zofii, Magda z apetytem wcinała kanapki jedną po drugiej. W korku przed kolejną mijanką dwukrotnie uraczyła się mocną kawą. Sprawdziła, czy z końmi wszystko w porządku, i o drugiej w nocy zajęła na miejsce.

Nie zdążyła na dobre wysiąść z auta, a od razu wpadła w matczyne objęcia serdecznej gospodyni. Ula ucieszyła się na widok gościa, jakby właśnie ujrzała dawno niewidzianą ulubioną krewną. Magda spodziewała się, że zrobi domownikom pobudkę, ale na miejscu wszystko było w gotowości. Przejęty personel czekał pod parą na konie. Ponieważ podczas pierwszego pobytu ich potencjalne lokum zostało sprawdzone, pozostało jej ustalić z Ulą końską dietę.

– Kochanie, tak się cieszę – oznajmiła gospodyni. – I z tych siwków, i z twojego przyjazdu. Wiesz, ten mój stary dziadyga, czyli Jakub, chyba się w tobie zakochał. Od tamtego wieczoru nie gada o niczym innym, jak tylko Madzia i konie. Albo konie i Madzia.

– No coś ty?

Magda poweselała. Radość z faktu, że jest tak mile widziana, zrobiła swoje. Podobnie jak duma z siebie po brawurowo pokonanej trasie.

– No, poważnie. Mój mąż cię uwielbia – potwierdziła Ula.

– Ja was też. Oboje. Rozumiem, że macie zapas karmy dla siwków? Zresztą one jedzą prawie to samo co strusie, tylko proporcje są inne.

– Jasne. Mamy cały wagon owsa. – Ula dumnie wypięła pierś. – One jedzą dużo owsa, prawda?

– Ależ skąd! Głównie siano. Owies to bardzo energetyczne pożywienie, nie wolno z nim przesadzać. Zwłaszcza gdy konie nie pracują. Stanowi jedynie część jadłospisu. Ale spokojnie, zaraz wszystko wam wyjaśnię. Junior gotowy do drogi? Jak tam moje strusie?

– Chcesz wracać od razu? – zdziwiła się Ula.

– Jak od razu? Mowy nie ma – zaprotestował Jakub.

Właśnie wyszedł z domu. Starannie przygładziwszy wilgotne włosy, uściskał gościa serdecznie.

Istotnie, Magda chciała jechać natychmiast. Była na to przygotowana, zwłaszcza że z kolei w Pieńkach wszyscy niecierpliwie czekali na strusie. Ostatnio urządzono dla nich nawet specjalną zagrodę na świeżym powietrzu. Wbrew pozorom biegające ptaki wcale nie potrzebowały dużego areалу – przepisowy wybieg musiał mieć jedynie stosowną długość. Na terenie stadniny miejsca było dość, więc nowi lokatorzy dostali szeroki, ponadstumetrowy korytarz.

– Też się nie zgadzam – dołączyła do męża Ula. – Przecież upiekłam chleb i szarlotkę. Poza tym Junior

śpi dzisiaj u kolegi i wróci dopiero rano.

– Ale ja muszę wracać.

– A guzik tam musisz!

Ula wzięła Magdę pod ramię i zaprowadziła ją na wciąż nagrzwany od słońca taras. O tej porze nocy komary już nie dokuczały, więc cała trójka z przyjemnością rozsiadła się na wygodnych poduchach.

Magda wciąż nie była przekonana.

– Mam zimne piwo. Zobacz, jakie lodowate. – Jakub puścił oko i z sykiem odbezpieczył butelkę.

– No dobra. Zostaję.

– Grzeczna dziewczynka – pochwaliła Ula i poszła do kuchni po jedzenie.

Magda pobiegła do auta po podręczną torbę, po czym z szerokim uśmiechem stuknęła się butelką z gospodarzem. Jej mocne postanowienie, żeby natychmiast wracać do domu, rozwiało się jak sen złoty. Nawiasem mówiąc, nie chodziło jej wyłącznie o miły czas z przyjaciółmi i nieobecność Juniora, ale również o dobro strusi, które podobno bardzo nie lubiły, gdy ktoś przerywał im sen. W dodatku w dzień czuły się pewniej, więc lepiej zniosą związany z podróżą stres.

Spokojnie mogła wygospodarować jeden dzień z dala od domu. Na miejscu wszystko pozostawało pod kontrolą, a w obecnym stanie ducha Magdy każda zmiana otoczenia i każda pozytywna emocja były na wagę złota. Na strusiej fermie dopiero po godzinie przypomniła sobie o zdradzie męża, co – jak uznała – niezłe wróżyło na przyszłość. Idąc tym tropem, wystarczy cały czas dostarczać sobie nowych zajęć i wyzwań, by nie cierpieć i nie rozpamiętywać przeszłości, pomyślała. Wiedziała, że prędzej czy później będzie musiała swoje przeboleć, ale teraz działało się tyle, że postanowiła przesunąć rozdrapywanie ran na nieco bardziej odległy termin.

Napisała wiadomość do Alicji, która w przeciwnym razie do rana nie zmrzyłyby oka w oczekiwaniu na powrót chlebodawczyni. To właśnie ona, najbardziej ze wszystkich zaangażowana w zarządzanie stajnią, najmocniej ekscytowała się zmianami. Do tego uskrzydlała ją świeża miłość. Ala aż przebierała nogami do wyjazdu na widzenie; zgoda dyrektora zakładu karnego już była, więc instruktorka dosłownie fruwała ze szczęścia. Lecz Magda była pełna obaw. Nie dość, że w stadninie ostatnio działało się aż za wiele, to jeszcze na dokładkę za kilka tygodni miał się u nich zameldować nowy ukochany. Krzysztof, mechanik samochodowy i były paser kradzionych samochodów.

Podczas drogi pod Olsztyn Magda długo nie mogła odegnąć wrażenia, że wraz z przeprowadzką do Pieniek w jej życiu zmieniło się dokładnie wszystko. Nigdy wcześniej na własne oczy nie widziała prawdziwego więźnia i nigdy nie widziała trupa. Nigdy wcześniej nie miała tylu przyjaciół. Nigdy wcześniej nikt jej nie zdradził i nie wystawił do wiatru, jak Tomek, poza którym nie widziała świata. W ciągu niespełna pół roku jej życie stanęło na głowie.

– Wiesz, ja nie mam pojęcia, czego mi brakowało, a co dała mu tamta – westchnęła z bólem.

– Niczego – podsumowała Ula. – Od początku coś musiało być do kitu, tylko ty tego nie widziałaś. Może teraz to głupio zabrzmie, ale za jakiś czas docenisz fakt, że stało się to prędzej niż później. Poczekaj, a dalsza perspektywa wiele ci wyjaśni.

– Ale przecież musiało mi brakować jakichś konkretnych. Nie wiem. Bioder, cycków, może piętnastu kilo nadwagi i opony na bokach?

Magda machnęła ręką, jakby starała się odegnąć sprzed oczu wspomnienie rywalki.

– Bzdura – skwitowała Ula dosadnie.

– Może gdybym została w domu, do niczego by nie doszło? W końcu to okazja czyni złodzieja.

– Moja droga. Nawet nie próbuj przypisywać sobie winy. Ten twój mąż to skończony kretyn. A poza tym nie masz żadnej pewności, że nie zdradzał cię już wcześniej. Ani tym bardziej gwarancji, że nie zdradziłby cię dopiero za jakiś czas.

– No, nie mam. – Słowa Uli wywołały wspomnienie Tomka, który przesiadywał w pracy po godzinach i znikał na całe noce. Nagle wszystko stało się jasne. – Boże, jaka ja byłam głupia. No, zwyczajna idiotka – stwierdziła Magda ponuro i opróżniła butelkę.

– No widzisz. Te konie to najlepsza rzecz, jaka cię mogła spotkać.

Ula miała rację. Paradoksalnie z pozoru idiotyczny pomysł z przejściem stadniny uratował Magdzie życie. A ona sama aż wzdrygnęła się na myśl, co by było, gdyby jednak nie nakryła męża na zdradzie i gdyby nie uparła się na stadninę. Zapewne posłusznie spłaciłaby długi teściowej i koniec końców została by z niczym. A tak domek z kart runął i nie było wyjścia. O ile wcześniej dopuszczała możliwość odwrotu, o tyle w tej chwili zatrzasnęła za sobą drzwi do przeszłości na dobre. Już wiedziała, co robić. Miała plany na przyszłość i była odpowiedzialna za kilka osób. Trzymiesięczny okres próbny w nowym życiu właśnie dobiegł końca. Cyrograf został podpisany, a Magda wykupiła bilet w jedną stronę.

Gdy następnego popołudnia Jakub zamknął przyczepę ze strusiami, poczuła tak dobrze jej ostatnio znany nerwowy skurcz w żołądku. Klamka zapadła.

Po drodze co rusz z obawą zerkała we wsteczne lusterko na ciągnięty ciężar. Nie rozpraszała jej nawet nieustanna paplanina Juniora, tak przejętego swoją misją, że postanowił zagadać Magdę na śmierć. Z jednej strony chciał jej opowiedzieć jak najwięcej o strusiach, z drugiej strony jak gąbka chłonał wszystko, co dotyczyło koni.

Przestała słuchać mniej więcej w połowie trasy.

Tym razem podróż minęła bez opóźnień, więc zajechali na miejsce wczesnym wieczorem.

Skołowane ptaki z honorami umieszczono w przeznaczonym dla nich boksie.

Wiść o nowych egzotycznych mieszkańcach stadniny rozeszła się lotem błyskawicy i już następnego dnia okoliczni mieszkańcy, pod rozmaitymi pretekstami, zaczęli pielgrzymować, by ujrzeć tę sensację na własne oczy. Alicja cudem uchroniła strusie przed licznymi odwiedzinami i pozwaniem do zdjęć. Część gości była tym faktem wyraźnie niepokieszona. Korzyść była taka, że przy okazji Magda zebrała zamówienia na kilkanaście jaj; zapomniała wprawdzie wypytać Ulę i Jakuba o warunki i czas ich przechowywania, ale ten kłopot właśnie spadł jej z głowy. Większym był raczej chwilowy brak strusiego nabiąłu.

O ile przez pierwszych kilka dni ptasi bunt uzasadniała stresem, o tyle po tygodniu zaczęła niepokoić się na poważnie. Mniej więcej z końcem września kończył się okres nieśności samic, a Magda potrzebowała pieniędzy na zakup zapasów paszy dla wszystkich zwierząt. Przed zimą chciała jeszcze uporządkować budynek krytej ujeżdżalni i jej część przeznaczyć na magazyn oraz przynajmniej zaizolować fundamenty i pozbyć się grzyba z domu. Reszta i tak musiała poczekać, bo na razie rezerwa finansowa pozwalała wyłącznie na skromne przeżycie. Magda ze strachem myślała o zimie. Co prawda według długoterminowych prognoz ta pora roku miała nie być zbyt sroga, ale nikt nie dawał za to głowy.

– Cholera by ich wzięła z tą pogodą – mruknęła pod nosem i wyłączyła komputer.

Nigdy wcześniej nie interesowała się prognozami meteo, ale ostatnimi czasy stała się w tej kwestii niemal specjalistką. Zdążyła już zaobserwować, że wieczorna rosa zwiastuje pogodny dzień, podobnie jak idący prosto w górę dym. Różowy zachód słońca zapowiadał silny wiatr, a bąble na kałużach długą ulewę.

– O co chodzi? – zapytała Alicja nieprzytomnie.

Nazajutrz wybierała się na widzenie z Krzysztofem, więc teraz z przejściem sprawdzała w piekarniku stan ciasta z rabarborem. Korzystając z okazji, miała również odwiedzić dawno niewidzianą kuzynkę w Bydgoszczy. Podekscytowana, z namaszczeniem kompletowała garderobę.

– Ja nic z tego nie rozumiem – odparła Magda. – Jak byłam dzieckiem, to pewien gazda z Poronina wychodził przed chałupę, patrzył na góry i doskonale przepowiadał pogodę. A teraz różni mądrale mają

komputery, satelity, a nigdy nic im się nie sprawdza. Co portal w sieci albo stacja telewizyjna, to inaczej.

– Przynajmniej dla jazd to sprawa nieistotna. Nasi zapaleńcy jeżdżą nawet w mrozie i w deszczu, więc się nie bój. Dochód z tego będzie raczej stały. Tak samo z hotelu. Niedługo odchowamy źrebaki i obie kobyły pomału wrócą do pracy. A gdyby tak jeszcze wykastrować Amora, też zacząłby chodzić pod siodłem. W sumie na piernik mu te jajca, skoro nie angażujemy go do reprodukcji? Trzeba go izolować i tylko z nim kłopot. – Alicja znacząco zerknęła na swój świeżo wyleczony nadgarstek.

Tej nocy Magda obudziła się z płaczem, w piżamie mokrej od potu. Jej naładowany ostatnio skrajnymi emocjami mózg właśnie się zresetował i wyrzucił z siebie ostatnie stresy. Koszmary były tak realne, że łzy płynęły jeszcze długo po przebudzeniu.

Z trudem uspokoiła ciężko bijące serce i spróbowała zasnąć ponownie, ale po godzinie zrezygnowała, owinęła się kocem i poszła do kuchni. Postawiła na kuchence garnek z mlekiem i w tej samej chwili usłyszała w ciemnej sieni ciężkie kroki Zofii. Wyszła im naprzeciw i zniecierpliwiona znalazła się w stalowym uścisku silnych ramion.

– Milicja! Milicjaaa! Złodziejkaa! – wrzasnęła staruszka.

– Zofio, to ja – wychrypiała z trudem Magda, ale uścisk tylko się wzmocnił.

– Jeszcze słowo, a zabiję cię, ty nędzna kurwo! Łapać złodzieja! – Kobieta darła się wniebogłosy. – Żeby tak naszego jaśnie pana hrabiego okradać! Psia twoja mać! Milicja!

– Ratunku!

Przyparta do ściany Magda z trudem zdobyła się na słaby okrzyk. Z przerażeniem walczyła o oddech. Palce krewkiej instruktorki niebezpiecznie zaciskały się na tchawicy.

– Cholera, Zofia, puść ją! To nie złodziejka! To kuzynka jaśnie pana! Przyjechała wczoraj w odwiedziny! – Rozczochrana Alicja jak burza wparowała do sieni i rzuciła się w stronę szamoczących się kobiet. – Zofia! Puszczaj ją! Pan hrabia chce herbaty! Już! Jazda!

Zofia zwolniła uścisk w ostatniej chwili.

Oszołomiona zajściem Magda osunęła się po zagrzebionej ścianie i gwałtownie łapiąc oddech, opadła na podłogę.

– Boże kochany! – Rozmasowała obolałą szyję. – Co jej odbiło? Jeszcze chwila, a ta wariatka by mnie udusiła.

– Cholera jasna, ona czasem tak ma – powiedziała Alicja. – W głowie totalnie się jej pierniczy, choć napady takie jak ten nie zdarzają się zbyt często. Pewnie nie wzięła leków.

– Chrzanię taki interes – zachnęła się Magda. – Musimy lepiej jej pilnować i szybko znaleźć jej jakieś lokum. To niemożliwe, żeby dłużej z nami mieszkała.

– A jej kasa?

– Pieprzyć jej kasę!

Mimo podeszłego wieku Zofia wciąż miała krzepę jak Horpyna i w starciu z nią Magda, mimo że młoda, nie miała większych szans.

Alicja doraźnie nafaszerowała pechową agresorkę lekami na uspokojenie, więc chwilowo sytuacja została opanowana.

– Pośni chyba z tydzień – oznajmiła. – Ale przynajmniej będziesz miała spokój, dopóki nie wrócę.

Magda odetchnęła z ulgą. Silne leki powinny zrobić swoje. Pod nieobecność Alicji każe Zdzichowi nocować w domu, postanowiła. Bo inaczej nie zmrużę oka.

Wiedziała, że o śnie dzisiejszej nocy może zapomnieć, zwłaszcza że za oknem już świtało. Poza tym po domu kręciła się Alicja, przejęta wyjazdem do Bydgoszczy. Pociąg z Tczewa miała o ósmej rano.

Od wschodu nad las wypełzła jasna kolorowa luna. Magda podeszła do okna i bezmyślnie zagapiła się w dal.

– Patrz, jak pięknie. Będzie dobrze. Zobaczysz. – Ala objęła ją ramieniem i uściśnęła pokrzepiająco.

– Wiem. – Magda siorbnęła kawy. – Musi.

– Mogę odwołać nocleg u kuzynki. Pod wieczór mam dwa inne połączenia pociągiem, więc mogę wrócić jeszcze dzisiaj, jeśli chcesz.

– Nie. Dziękuję ci, nie trzeba. I bez tego nie wiem, jak ci się odwdzięczę za wszystko.

– Daj spokój – obruszyła się Alicja, choć wyraźnie pokraśniała z zadowolenia.

– Nie wiem, jak bym sobie poradziła bez ciebie. Odwiozę cię na dworzec. Tutaj sobie jakoś poradzę.

W razie draki pójdę spać do Nestora. – Magda miała nietęgą minę, ale uśmiechnęła się słabo. – Jedź i baw się dobrze. Trzymam kciuki, żeby wam się udało. W końcu zasłużyłaś sobie na dobre życie. A facet w stadninie zawsze się przyda.

Z Tczewa wróciła do domu przed południem, bo wyprawa do miasta nie obyła się bez komplikacji. Mniej więcej w połowie drogi powrotnej Magda zauważyła, że coś złego dzieje się ze sprzęgiem, więc po przyjeździe zrobiła małe rozeznanie w internecie. Po sprawdzeniu niepokojących objawów i ustaleniu kosztów niemal się rozplakała. Zapowiadała się grubsza naprawa, na którą aktualnie nie było jej stać.

Po częściowo zarwanej nocy poczuła się głodna jak wilk, więc łąpczywie opróżniła litrowy karton truskawkowej maślanki i poszła sprawdzić, co z Zofią. Ostrożnie uchyliła drzwi, ale że stara instruktorka chrapała jak niedźwiedź w gawrze, Magda poszła upewnić się, co słychać w stajni.

W ostatnich dniach gościła u siebie dwie wielodzietne rodziny amatorów konnej jazdy, które rozbiły namioty opodal pastwiska i grillowały na okrągło. W zamian za darmowy nocleg przyjezdni zajmowali się końmi. Zakwaterowane w końskim hotelu wierzchowce wyprowadzały dziewczynki z okolicy, a miały to robić do końca wakacji. Na szczęście strusie przestały już stanowić nieziemską sensację i ludzie wreszcie dali im spokój. Magda jak dotąd wypuściła je na zewnątrz zaledwie raz. Po rozpoznaniu terenu ptaki wróciły do stajni na własną rękę.

Ze względu na nieobecność Alicji i niedyspozycję Zofii trzeba odwołać jazdy, dumiała. Tyle że postanowienie przyszło łatwiej niż wprowadzenie planu w życie.

Ojciec jednej z adeptek jazdy konnej, średnio utalentowanej dziesięciolatki, zrugął właścicielkę stadniny przez telefon, przy okazji wylewając na nią swoje żale i ubliżając od dyletantek marnujących właśnie świetnie zapowiadającą się karierę jeździecką jego latorośli. Po takim występie Magda uznała, że dalsza współpraca jest niemożliwa, i w kilku słowach podziękowała wzburzonemu mężczyźnie za uwagę.

Zdenerwowana odebrała kolejne połączenie, nie patrząc, kto dzwoni.

Głos Tomka sprawił, że ugięły się pod nią kolana.

Skończyło się na oficjalnym „dzień dobry” i suchej informacji, że dokumenty rozwodowe są już w drodze do Pieniek. Magda poczuła się tak, jakby dostała obuchem w łeb. Tomek nawet nie zapytał, co u niej słychać. Jakby rozmawiał z całkiem obcą osobą albo – co gorsza – z nielubianym kontrahentem, z którym nie chciało mu się gadać. Oznajmił beznamiętnie, że resztę rzeczy z trójmiejskiego mieszkania właśnie wysłał pocztą kurierską na koszt odbiorcy, i nie zająknąwszy się na żaden inny temat, zakończył połączenie.

Tuż po nim zadzwoniła Sylwia z pretensjami o jakieś bliżej nieokreślone zobowiązania, ale Magdzie nie chciało się słuchać siostry, więc rozłączyła się w pół zdania.

Zrezygnowana przysiadła na schodkach, skąd nie ruszyła się długo. Czym sobie zasłużyłam, żeby człowiek, z którym żyłam przez lata, koniec końców potraktował mnie jak obcą?, myślała rozżalona. Czym zawiniłam? Co zrobiłam źle i gdzie popełniłam błąd, bo musiałam go popełnić na pewno.

Po fazie zasmucenia nastąpiła fala złości. Piekłąc się i wyklinając na czym świat stoi, Magda miotała się po kuchni. W pół godziny przyrządziła obiad z dwóch dań i gnana furia pochłonęła dwa talerze

pomidorowej. Zofia wciąż spała, więc Magda poszła do stajni zanieść zupę Zdzichowi.

Och, nie!, wyszeptała bezgłośnie na widok nieprzytomnego stajennego.

Ten, pijany jak bela, leżał na sianie i głośno sapał. Między jego palcami tkwił tłący się niedopałek papierosa.

Oczy Magdy w sekundę zwęziły się w wąskie szparki. Jak automat odstawiła na podłogę pojemnik z zupą, cofnęła się o krok i z rozmachem kopnęła mężczyznę w zębra. Bez skutku.

– A masz, ty gnoju! A masz! A masz! – syczała, nie przestając walić jak w bęben.

Odciągnęły ją czyjeś silne ramiona.

– Magda! Przestań! Co ty robisz? Boże drogi, co się stało? – W głosie Staszka brzmiało przerażenie.

– Puszczaj! – Odepchnęła go i dysząc ciężko, wymierzyła Zdzichowi ostatniego mocnego kopniaka.

– Magda!

– Skurwysyn! – wychrypiąła wściekle.

Zrezygnowana przysiadła na brykiecie słomy.

– Chodź.

Staszek przysiadł obok i delikatnie objął szczupłe ramiona. Nie wiedział, co się stało, ale bardzo chciał pomóc.

Z ust Magdy wydobył się tłumiony szloch. Przytuliła się odruchowo.

– Dłużej nie dam rady – poskarżyła się. – Naprawdę. Walczyłam, ale nie mam już sił.

Jej twarz była mokra od łez.

– Ale co się stało? – Staszek wstał i podał jej chusteczkę.

– Co się stało? – zapytała ze szlochem. – A nic takiego. Poza tym, że mój mąż właśnie wyrzucił mnie z życia jak ostatniego śmiecia. Że te cholerne ptaki się nie niosą. Że zepsuło mi się sprzęgło i nie mam na naprawę. Że ten skurwysyn się upił, a miał mnie pilnować. Adama nie ma, nie mogę u niego zanoć. Do tego zrugął mnie klient i mam głupią siostrę. Nie mam pieniędzy na paszę dla koni...

– O czym ty mówisz? – Wzburzony Staszek dopiero teraz zauważył sińce na jej szyi. – Rany boskie! To on ci to zrobił? Dlatego mu dokopałaś?

– Nie – wyszeptała ze szlochem. – To Zofia. Coś jej się popieprzyło i dziś w nocy omal mnie nie udusiła. Myślała, że jestem złodziejką i chcę okraść hrabiego. Staszek... – urwała. Dotknęła męskiej piersi. – Boję się. Przytul mnie. Mocno. Proszę.

– Już dobrze, maleńka, już dobrze. – Przerażony Staszek ciasno zamknął Magdę w objęciach. – Spokojnie. Przy mnie jesteś bezpieczna. Gdzie Alicja?

– Pojechała do Bydgoszczy, na widzenie do Krzyśka. Wróci jutro.

– Moja maleńka... – wyszeptał, całując ją w czubek głowy. – Ciii...

– Zostań ze mną. Proszę – wykrztusiła. – Tak bardzo się boję.

– Dobrze – mruknął jej wprost do ucha.

Jego ciało właśnie splatało mu figła. W spodniach poczuł erekcję. Raz jeszcze spojrzął na Magdę, a to, co zobaczył w jej nagle pociemniałych oczach, sprawiło, że przestał myśleć.

– Staszek – ciągnęła. – Tylko ta noc, na moich warunkach. Chcę usnąć i obudzić się w twoich ramionach. Potem dam ci spokój, wykasuję twój numer z telefonu, usunę cię z grona znajomych na fejsie i wyrzucę cię z moich marzeń. Po prostu pozwolę ci odejść. Ja odejdę i ty odejdziesz. Każde w swoją stronę.

– Magda...

– Nie zobaczymy się już nigdy. Przecież w okolicy weterynarzy od groma, a ja...

Zamknął jej usta pocałunkiem.

Magda wiedziała, że sprowadza na siebie zgubę, ale nie miała siły. I, co gorsza, nie miała ochoty się

wycofać. Wręcz przeciwnie, pragnęła, żeby to trwało i nie zakończyło się na pocałunku.

Twarz Tomka, którą zobaczyła w wyobraźni, traciła kontury. Ciało Magdy zmieniało się w organizm czekający na dotyk mężczyzny, który jej pożądał. Tak, chciała go, chciała każdą komórką. Jej podbrzusze pulsowało niebezpiecznie, a to, co czuła, odbierało jej zmysły. Ze wszystkich sił starała się zachować zdrowy rozsądek i trzeźwo ocenić otaczającą ją rzeczywistość, ale nie była w stanie. Trudno. W tej chwili nie liczyło się nic innego.

– Chodź. – Pociągnęła Staszka w stronę domu.

– A co z nim? – Spojrzał na charczącego Zdzicha.

– A niech tu zdechnie. – Magda z pogardą splunęła na betonową podłogę.

Rozdział 21

Biegiem dopadli łóżka. Całując się i tuląc nieprzerwanie, pośpiesznie pozbyli się ubrań.

– Jutro będziesz musiał o mnie zapomnieć, ale dzisiaj jesteś mój. Cały mój – powiedziała z mocą Magda.

Stała przed nim naga, z satysfakcją odnotowując jego zachwycone spojrzenie. Staszek chciał chyba powiedzieć coś mądrego, ale z nerwów nie mógł wykrztusić słowa.

– Będziesz. Cały i do końca – padały twarde warunki. Magda, nie szczędząc namiętnych pocałunków, podawała konkrety. – Będziesz dziś mój, tylko mój, cały. I bez żadnych wykrętów. Jeśli oczekujesz jakichś wariacji na temat wyrzutów sumienia, to wycofaj się teraz. Ja nie mam czasu na gierki. W połowie mi nie wystarczy. Żeby mogła dalej normalnie żyć, muszę mieć cię całego. Ten jeden raz. Jeden jedyny. Jeśli mam później cierpieć, to niech chociaż wiem, za co, do cholery! – rzuciła zrozpaczona, wsuwając palce za gumkę jego bokserek.

– Chryste! – jęknął.

Scenariusz wydarzeń sprawił, że poległ, zanim zdążył pomyśleć. Pragnął Magdy całym swoim jestestwem, a świadomość, że i on nie jest jej obojętny, dodawała mu sił. Oczami wyobraźni widział wszystko, czego nie powinien. Co z tego, że ma żonę, skoro to tak bardzo mu się podoba?

– Nie potrafię przestać cię pragnąć – wyszeptał pomiędzy pocałunkami.

A później ułożył wygodnie rozpaloną Magdę na łóżku.

– Stasiu... – westchnęła w uniesieniu i na dobre straciła panowanie nad sobą.

Musiało minąć kilka dni, zanim udało się jej choćby na chwilę usunąć sprzed oczu obraz wpatzonego w nią mężczyzny. Niestety, wystarczyło przymknąć powieki, żeby znów zobaczyć jego twarz tężejącą w narastającej ekstazie. By znów czuć jego dłonie na swoim spragnionym pieścizot ciele, jego ciepło i zapach. By marzyć, że zasypia bezpiecznie i budzi się wtulona w jego sprężyste ciało. Aż w końcu zrozumiała, że nieplanowana terapia klin klinem przyniosła spektakularne efekty – owszem, przestał ją nękać obraz Tomka, lecz jego miejsce zajął wizerunek Staszka. Tymczasem ona nie wiedziała, który bolał ją bardziej i który sprawiał, że czuła się coraz bardziej nieszczęśliwa. Oliwy do ognia dolewała permanentna euforia zakochanej Alicji i zazdrość, której Magda za nic nie potrafiła stłumić. Nieszczęśliwie porzucona, nieszczęśliwie zakochana, nieszczęśliwie skazana na ból i na świadomość, że on jest tak blisko, a nie jest jej.

Wakacje dobiegały końca, żona Staszka wraz z dzieckiem zdążyła już wrócić do domu. Magda na wszelki wypadek jeździła do sąsiedniej wsi okrężną drogą, byleby tylko omijać szerokim łukiem uroczy domek z ogródkiem. Mimo że nie żałowała sobie absorbujących zajęć, całymi dniami snuła się jak zombi. Było jej zupełnie wszystko jedno. Nawet w dniu, w którym dostarczono jej do podpisania dokumenty od adwokata, nie zdołała wykrzesać z siebie choćby iskry złości czy żalu. Robiła, co do niej należało, ale funkcjonowała jedynie na pół gwizdka. Liczyła dni do przyjazdu Krzysztofa, nie mogąc się doczekać,

kiedy wreszcie wyrzuci Zdżicha na zbity pysk.

Twardo obstawała przy swoim. Nie pomagały obietnice poprawy i skrucha.

– Albo idziesz na odwyk, albo nie masz tu czego szukać – mówiła stanowczo.

I nie miała zamiaru zmienić zdania.

Żarty się skończyły. Skończyła się również dodatkowa darmowa pomoc w postaci bratanków Adama; dzieciaki wracały do szkoły. Junior także odjechał do domu.

W tych dniach jedynym sympatycznym epizodem było pojawienie się Wojciecha, brata właściciela Nestora. Przy wzajemnej prezentacji Magda wreszcie zrozumiała, dlaczego jasne oczy sąsiada wydały się jej znajome. Wojciech, syn starszej pary prowadzącej pracowniczą stołówkę niedaleko firmy, w której Magda pracowała ostatnio, był jej znany z widzenia. Jak się okazało, właśnie przystąpił do spółki i wraz z bratem miał finansować inwestycję na zakupionej niedawno działce; podczas wakacji wspólnikom udało się całkowicie uzbroić teren i załatwić potrzebne dokumenty. Projekt nowego ośrodka zachwycał. Pierwsze roboty budowlane miały ruszyć na dniach.

Przynajmniej z tego kierunku powiało optymizmem, westchnęła Magda w duchu. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem i do zimy uda się wybudować fundamenty pod wszystkie domki, już następnego lata mogą liczyć na nowych kursantów i pierwsze jeździeckie obozy.

Hotel dla koni od kilku dni miał już pełne obłożenie, a właścicielka stadniny poważnie myślała o adaptacji dodatkowych budynków od strony lasu, które na razie stały zapomniane, czekając na lepsze czasy. Sen z powiek spędzały jej tylko wciąż strajkujące jajecznie strusie i obawa, czy uda się przetrwać nadchodzącą zimę. No i Zofia.

Stało się jasne, że chora kobieta nie może już pozostawać w stadninie i w najbliższym czasie trzeba będzie załatwić jej nowy dom i opiekę. Wprawdzie odkąd staruszka trafiła do dobrego psychiatry, jej stan poprawił się znacznie, ale Magda nie potrafiła wymazać z pamięci tamtej koszmarnej nocnej sceny. Nawet za cenę comiesięcznych i stosunkowo wysokich świadczeń Zofii, regularnie zasilających domowy budżet. Ostatnio źle się czuła i miała na głowie wystarczająco dużo żmartwień, by jeszcze bać się lokatora pod swoim własnym dachem. Bliska załamania coraz częściej siadywała z notesem na kolanach i skrupulatnie zapisywała wydatki. Zupełnie odeszła jej chęć do życia, tymczasem zapleśniałe ściany domagały się odgrzybiania, a fundamenty porządnej izolacji. Tyle że Magda nie chciała się u nikogo zadłużać. Niedługo upływał czas bankowej karencji na spłatę kredytu i pojawiło się widmo regularnych i dużych wydatków.

– Nikt nie obiecywał, że będzie łatwo – mruknęła pod nosem i wystawiła twarz do słońca.

Z lubością wciągnęła aromaty mięty i bazylii.

Alicja, na fali zakochania i w ferworze odkrywania w sobie talentów kury domowej, urządziła ostatnio w starych doniczkach plantację ziół. Obie z Magdą nie za bardzo wiedziały, do czego je wykorzystać, ale miło było czasem rozetrzeć w palcach aromatyczny rozmaryn czy szałwię i powdychać ich cudownie intensywne zapachy.

Magda, międląc w dłoniach błyszczący bazyliowy listek, zadumała się tak bardzo, że opętańczy wrzask dotarł do niej dopiero po chwili. Zerwała się na równe nogi, pewna, że stało się coś złego.

– Mamy! Cholera, mamy! – wydzierała się Alicja, podskakując niecierpliwie.

– Matko, co mamy? Pali się czy co? – Magda poczuła nagły skurcz w dole brzucha.

– Tak! Jajko jest! To podłe bydlę przestało strzelać focha i zabrało się do roboty!

– Pokaż!

Magda biegiem rzuciła się do zagrody i ostrożnie wzięła w ręce ciężki i jeszcze ciepły owalny kształt.

– Matko, dziękuję – wyszeptała ze łzami w oczach i przytuliła jajko do piersi.

Nagle w jednej chwili ogarnęły ją radość i euforia bliskie tej, która towarzyszy przyjsciu na świat

dziecka. Spojrzała w puste oczy dumnej strusicy; gdyby nie obawa przed kopnięciem, uściskałaby wielkie ptaszysko z całej siły. Powróciła nadwątlona pewność, że będzie dobrze. Jedno głupie jajo sprawiło, że smutek i zwątpienie wyparowały jak kamfora.

Magda dostała skrzydeł. W biegu uściskała rozpromienioną Alicję.

– Wiesz, Ala? – oznajmiła. – Właśnie zachciało mi się życia przez duże Ż. Takiego życia na własny rachunek. I wiesz co?

– Co?

– No i właśnie je mam!

Dawno nic nie sprawiło Magdzie takiej radości. Zdążyła już przywyknąć do funkcjonowania w spowijającym świat egzystencjalnym bezwładzie. Bez mocy, nadmiernej odpowiedzialności, bez wielkich oczekiwań. Raz jeszcze spojrzała na jajko, od zawsze stanowiące symbol nowego życia. Takie wielkie musi symbolizować coś ekstra, pomyślała.

Ostrożnie zawinęła je w bluzę i pomaszerowała prosto do Nestora.

Rozpromieniona wparowała do biura, gdzie Adam i Wojciech właśnie studiowali jakieś plany. Dwie pary identycznych jasnych oczu spojrzały zdumione.

– Co jest? Pali się? – zapytał Adam.

– Nie. Tylko chcę ci to dać. – Magda z miną magika z namaszczeniem położyła zawiniątko na biurku. – To pierwsze jajo. Proszę. Jest twoje – powiedziała z dumą, jakby co najmniej to ona sama je zniosła.

Obaj mężczyźni aż podnieśli się z krzesel.

– Kurczę, dziękuję – ucieszył się Adam. – Ile jestem ci winien?

– Zwariowałeś? Przecież to prezent. Smacznego! – roześmiała się Magda i zawróciła do wyjścia.

– A ty gdzie? Siadaj! Przecież to trzeba uczcić – zaprotestował.

– Teraz nie mam czasu. Mogę pożyczyć na pół godziny twoją terenówkę? Moje auto jest u mechanika.

– Jasne. Kluczyki są pod dywanikiem.

– Przyjdę później, jak wszystko załatwię. Muszę lecieć.

Magda odwinęła się na pięcie i już jej nie było.

Odzyskana wiara w lepsze jutro sprawiła, że postanowiła wziąć się za bary z myślą, która uwierała ją i nie dawała spokoju od kilku dni.

Nie zwlekając, wyjechała na drogę i skierowała auto do apteki pana Edwarda. Poszłaby o zakład, że Tomek nawet słowem nie wspomniał staremu farmaceucie, że sprawa przejęcia interesu stała się nieaktualna. Jak się okazało, intuicja jej nie zawiodła. Gdy właściciel rozpromienił się na jej widok i obszedł kontuar, żeby się z nią przywitać, Magda wywaliła całą prawdę. Normalnie w podobnej sytuacji byłoby jej więcej niż niezręcznie, że musi usprawiedliwiać się za własnego męża, ale teraz wcale nie było jej głupio. Pierwszy egzamin z asertywności zaliczyła na piątkę z plusem. Zaskoczony pan Edward nie mógł uwierzyć w to, co słyszał, ale niestety – takie były fakty. A Magda nie poczuwała się do winy. Trochę było jej szkoda starszego pana, który zmartwił się wyraźnie, ale poza zapewnieniem go o swojej sympatii nie mogła mu pomóc. Tomek był dorosły. Ona też. Wszyscy byli.

Zadowolona, że odfajkowała ostatnią pozycję z listy spraw niezłatwionych, pogwarzyła z farmaceutą jeszcze przez chwilę na neutralne tematy. Już miała wychodzić, gdy w progu apteki stanęła rudowłosa kobieta. Wyglądała jak gwiazda filmowa z dawnych lat i kompletnie nie pasowała do otoczenia. Była tak piękna, że Magdzie na jej widok zapało dech. Nie widziała jej nigdy wcześniej i była pewna, że kobieta zatrzymała się w Pieńkach przejazdem. Odsunęła się o dwa kroki od lady, aby zrobić miejsce. Zjawiskowa dama kupiła test ciążowy i kwas foliowy w tabletkach, po czym pożegnała się uprzejmie i wyszła na zewnątrz.

– Ależ piękność – westchnęła Magda z zachwytem.

– To wy się jeszcze nie znacie? – zdziwił się szczerze pan Edward.

– Nie. A kto to był?

– To przecież Ela, żona naszego weterynarza. Dopiero co wróciła z dzieckiem z wakacji, bo złapała ospę. A teraz, jak na dokładkę, jest w ciąży.

Magdę zamurowało. Przestała słyszeć, co mówi aptekarz, wyszła przed aptekę.

Czuła się jak znokautowany bokser. W obawie, że zaraz upadnie, oparła się o poręcz przy podjeździe dla inwalidów i głęboko zaczerpnęła powietrza. Dużo by dała, żeby cofnąć czas, choćby o pół godziny. Siedziałyby sobie spokojnie w Nestorze i niczego nieświadoma świętowała wśród znajomych pierwsze jajo. I nowe życie.

– Dobrze się czujesz, moje dziecko? – zaniepokoił się aptekarz.

Właśnie zamykał drzwi na klucz i zamierzał iść do domu.

– Tak, tak. Nic mi nie jest. Ja już się pożegnam. Aha, czy mogę jeszcze coś kupić? – zapytała.

– Oczywiście. Co podać?

– Test ciążowy poproszę.

Spis treści

[Rozdział 1](#)
[Rozdział 2](#)
[Rozdział 3](#)
[Rozdział 4](#)
[Rozdział 5](#)
[Rozdział 6](#)
[Rozdział 7](#)
[Rozdział 8](#)
[Rozdział 9](#)
[Rozdział 10](#)
[Rozdział 11](#)
[Rozdział 12](#)
[Rozdział 13](#)
[Rozdział 14](#)
[Rozdział 15](#)
[Rozdział 16](#)
[Rozdział 17](#)
[Rozdział 18](#)
[Rozdział 19](#)
[Rozdział 20](#)
[Rozdział 21](#)